wolnelektury.pl

Józef Ignacy Kraszewski

Stara baśń, tom drugi

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Stara baśń

POWIEŚĆ Z IX WIEKU

TOM II

I

Nadszedł dzień Kupały — święto w całym pogańskim obchodzone świecie, dzień Białego Boga dnia i światłości, na którego cześć paliły się ognie nad Adrią[1], nad Bałtem[2], nad Dunajem, nad Łabą, Wisłą, Dniestrem[3], Rodanem[4] i Sekwaną[5]. Ze czcią tego Bel-boga, Bela[6], ludy wędrowały na zachód wszystkie, z kolebki swej rajskiej, w zimne kraje nowej ojczyzny.

Święto, Bóg

Dzień Kupały najdłuższy w roku, noc Kupały najkrótsza, były jednym ciągiem wesela, śpiewu, skoków i obrzędów.

I na tej górze świętej nad jeziorem, kędy się z sąsiednich mirów na Kupałę najwięcej ludu zbierało, już o wschodzie słońca z kąpieli wychodzące tłumy, przybrane w wieńce, poprzepasywane bylicą, postrojone ziołami kwitnącymi, otaczały starych gęślarzy.

Wzgórze lekko opadało zieloną łąką ku wodom jeziora. Na szczycie jego rosły stare dęby, brzozy rzadkie, a dalej gęstszy coraz las ciągnął się dwoma ramiony, łącząc z niezgłębionymi puszczami, które naówczas całą niemal tę ziemię okrywały.

Od rana widać tu już było młodzież, znoszącą suche gałęzie, łuczywo, bierwiona świeżo ucięte, gdyż martwego drzewa jak na budowę chaty nikt nie używał, tak i na ogień święty nosić go nie było wolno. Gałęzie nawet suche z żywego drzewa musiały być obłamywane, bo w tych, które na ziemi leżały, mieszkała już śmierć.

Drzewo, Zabobony

Ze wszech stron widać było sunące sznurami niewiasty w bieli, całe w wiankach i opaskach zielonych, chłopaków w narzuconych na ramiona siermięgach. Zewsząd po gajach i lesie brzmiały przedśpiewy, zwiastujące nocną uciechę.

Nagotowane ogniska widać było u skraju lasu, pod dębami i głębiej jeszcze. Kamiennymi siekierkami łupano drzazgi na podpał. Każda gromada obejmowała dawne miejsce i zgliszcze swe świąteczne. Gwar wesoły i śmiechy przebrzmiewały po lesie.

Pod dębem siedział Słowan, pod innym drugi śpiewak, którego zwano Wiłujem. Gdy jeden z nich nucił, przestawał drugi; śpiewali na przemiany, ale pieśń jednego nie godziła się z drugą, zdawali się raczej przeciwić sobie niż łączyć.

— Słoneczko, oko dnia jasnego, świeć nam a grzej — śpiewał stary gęślarz. — Strumienie światła na ziemię biegą... Światło nam lej, Kupało! Niech czarne smoki nie śmieją zaćmić twej twarzy, tyś życiem, szczęściem, nadzieją, tyś bóg jest nasz! Kupało... Królu, dniom naszym panuj bez chmury, do życia obudzaj chuć[7], tyś życia dawca, boże Kupało, siej, żyw i budź, Kupało...

Ucichło, a Wiłuj brząknął w struny i niezrozumiałą piosenkę nucił półszyderskim głosem.

— Pieśni ty moja, pieśni! Ptaszyno moja złota, tyś jak woda żywota, wskrzeszasz z śmiertelnej pleśni, lecz kto się w nurt twój miota, ten żywot prędko prześni. Dwojaka twoja cnota, żywot i śmierć jest w pieśni... Pieśń zmarłych wskrzesza z grobu, pieśń żywych na śmierć miota... W niej siła światów obu... I śmierci, i żywota...

Poezja, Pamięć, Śmierć

Spuścił głowę wypełzłą[8] i zamilkł, milczeli oba, bo chór śpiewał za nich pieśń kupalną.

Słońce zapadać miało, wszystkich oczy i twarze ku niemu były zwrócone. Czekano, gdy ostatni jego promień zniknie z drzew pozłoconych wierzchołków, aby ognie rozniecić i pieśni a korowody rozpocząć.

Starsze niewiasty siedziały na ziemi, a około nich cebry i garnki, i niecki z mięsiwem, i kołacze a korowaje[9] świąteczne widać było; młódź się kręciła i goniła po błoni, klaskając

---

[1] *Adria* — prawdopodobnie chodzi tu o fragment delty Padu w miejscu, gdzie jego wody przepływają przez miasto Adria, lub o Adriatyk. [przypis edytorski]

[2] *Bałt* — prawdopodobnie chodzi tu o Bałtyk. [przypis edytorski]

[3] *Dniestr* — europejska rzeka płynąca przez Ukrainę i Mołdawię. [przypis edytorski]

[4] *Rodan* — rzeka w zlewisku Morza Śródziemnego, płynąca przez terytorium Szwajcarii i Francji. [przypis edytorski]

[5] *Sekwana* — rzeka w północnej Francji, o długości 774 km. [przypis edytorski]

[6] *Bel* — jedno z określeń babilońskiego boga Marduka. [przypis edytorski]

[7] *chuć* (daw.) — chęć, pragnienie. [przypis edytorski]

[8] *wypełzły* — łysy. [przypis edytorski]

[9] *korowaj* — pszenne, wykwintne pieczywo, ciasto weselne. [przypis edytorski]

w ręce. Dziewczęta trzymały się gromadą, kupkami na nie nacierali chłopcy, rzucano słowy; wyścigano się, krzycząc, i odpędzano chustami napastujących.

— Kupało! Kupało! Łado! — odzywały się tu i owdzie śpiewne głosy.

Około stosu Wiszów stał już Ludek i Sambor, który na gród wracać nie chciał, niemało niewiast i czeladzi. Poglądano ku lasowi, w stronę dworu, bo jednej Dziwy i Żywi nie było, a Dziwa miała pierwsza ogień podpalić i pieśń zanucić o Kupale.

Ogień, Wierzenia

Chłopcy tymczasem suche tarli drzewo, aby zrobić ogień boży, który by sam się zrodził, młodym był i nowym, a potem przez rok cały na domowym palił się ognisku. Był to ogień, którego z domu nikomu wynosić obcemu nie dawano. Kto ogień wynosił z chaty, brał z niej życie.

Już dwa smolne łuczywa dymiły w ich rękach, a ogień się jeszcze nie ukazywał i Dziwy nie było. Sambor więcej patrzył na ścieżkę, którą przyjść miała, niż na robiący się ogień święty, który powinien był zapłonąć, gdy słońce zagaśnie.

Wtem z dali pokazały się dwie dziewczęta w bieli, szły z wolna, trzymając się za ręce. Zielone wianki miały na głowie, zielonymi przepasane były splotami, snopki ziół niosły w rękach, ale szły milczące, bez pieśni. Były to Dziwa i Żywia, obie jeszcze smutne po ojcu żałobą. Dziwie chodziły po głowie wyrazy starej Jaruhy, a choć półoszalałej babie nie dawała wiary, w sercu jej coś ciągle powtarzało: „Nie idź na Kupałę!".

Choć dzień był boży, weselny, szły smutne, zbliżyły się tak do swojej gromady, a Sambor z daleka patrzył na twarz dziewczyny i dziwił się, że tak była posępna.

Wtem Ludek zbliżył się do niej.

— Siostro — rzekł — chodźcie wy razem w parze, nie idźcie daleko w las... Ja Domanowi nie wierzę... W noc Kupałową dzieją się czasem straszne rzeczy... Wieleż to dziewcząt przepada w lesie! Nad ranem, u świtania, gdy szał ludzi ogarnie, pamięć tracą.

Dziwa się rumieniła, słuchając, gryzła w ustach ruty gałązkę i trzęsła głową.

— Nic się nie stanie — rzekła. — Ani się Doman, ani żaden waży przystąpić do mnie, będę między swoimi. Jest was dosyć chłopców, aby siostrę obronić!

Brat zamilkł, a Żywia, rzucając chciwie oczyma po gromadach, śmiała się bliskiej uciesze, nogi się jej do skoków rwały, lica pałały, oczy błyskały, nuciła niecierpliwa.

— Dajcież pokój ze strachami! — śmiała się. — Nikt się do nas nie waży... Ale w taki dzień, nie czyńcież nam niewoli... Tyle naszej uciechy.... Kupało...

Dokoła śmiech i wołanie zagrzewały, dziewczęta przybiegały do nich i rwały za rękawy, aby szły z nimi. Powoli i na twarzy Dziwy jaśniej się zrobiło, uśmiech się zjawił blady.

I ona mruczała po cichu:

— Kupało! Kupało!

A z dala słychać było śpiew.

Słońce, Księżyc, Ślub

— Słońce w morzu się kąpało, bo na wesele iść miało... Wiodą, wiodą pannę młodą, w złote szaty przyodzianą... Księżyc jedzie z gwiazd drużyną, witaj słoneczko kochane... Ty mi będziesz królowało... Słoneczko moje jedyne! Kupało!

Porwanie

Chłopcy stali na uboczu, szeptali cicho, z ukosa patrzyli na dziewczęta i wybierali oczyma. Szał czasem opanowywał nad ranem te gromady i dziksze z nich szły jak „stada" w las, porywając gwałtownie dziewczęta. Zwano też te szały „stadem". Rodzina jednak każda pilnowała swoich i stała na czatach, aby do „stada" nie dopuścić i od porywania obronić.

Dziwa patrzyła na zachodzące słońce, którego promienie ozłacały jej twarz i lśniły się we włosach. Ostatni blask zagasał, już tylko łuna czerwona wskazywała, gdzie zapadło; dwa smolne łuczywa ogień obejmował boży, zażegniętą żagiew podano dziewczynie, która żywo i zręcznie pod stos ją podłożyła. W tej samej chwili przy wszystkich ogniskach błyskały już ogniki i wielkim głosem wołano radośnie: „Kupało!".

Niewiasty stawały kołem, biorąc się za ręce osobno, osobno mężczyźni i pieśni brzmiały po lesie dokoła.

Po polach, na puszczy, w całej okolicy, przed chwilą cichej i głuchej, wszystko przeszło w radosne drganie i okrzyki. Zdało się, że i drzewa, i wody, i obłoczki na niebie, i trawy na polu, pieśnią tą i radością odbrzmiewają.

Bóg, Światło, Ciemność, Święto, Śpiew

Zbudzone śpiewem, podniosło się wodne ptastwo na jeziorze, zaszeleściało w krzewach, a wokoło stosów dziewy zawiodły uroczystą pieśń kupalną, o bogu w złotym wieńcu, co polom niósł ziarna złote, co łąkom niósł rosy, co ludziom chleb dawał, co wypełniał

kłosy, co ule zasładzał, który czynił dzień, miłość zsyłał i wesele. Był to dzień ślubowin niebieskich słońca z księżycem. Radowała mu się ziemia, otwierała skarby swoje, noc ta nie miała tajemnic, wszystko zaklęte wracało do swobody, duchy jasne zstępowały z niebios i poiły ludzi własnym weselem... Śmierć i czarne widma kryły się w przepaści, pod ciemny płaszcz Jamy[10].

Śpiew

Ledwie pieśń pierwsza przebrzmiała chórem, ze swymi zwrotkami, dała się słyszeć druga. Chóry dalekie odpowiadały sobie. Dziwa z podniesioną głową szła przodem, wiodąc skoki i zawodząc pierwsza, dziewczęta biegły za nią posłuszne.

Zrazu śpiew ciągnął się powolnie, krokami szły ociężałymi, potem pieśń żywiej brzmieć zaczęła, ruch coraz szybszym się stawał, rozgorączkowywał głos, miotały ręce, podnosiły głowy i oczy... Stare niewiasty, oparte na kijach, siedzące na ziemi, które pójść nie mogły z korowodem, poklaskiwały, siedząc, poruszały głowami, całym ciałem drgały wspomnieniem młodości.

Ogień

Las płonął światłami i huczał pieśnią, i tętnił skokami.

Z dala widać było ogniów łuny, a około nich wirem, kołem zwijające się cienie, z rozwianymi włosy, rozpuszczonymi szaty, rozsypującymi się wieńcami, podniesionymi rękami.

— Hej! Kupało! Kupało!

Gdzie indziej chłopcy brali kąpiel płomienną, skacząc przez ogniska i przyklaskiwano ich skokom; kiedy niekiedy krzyk się dał słyszeć, bo parobcy rzucali się na dziewczęta, a wśród tego szału, zamętu, nocy, działo się często, co tylko na Kupałę przebaczonym być mogło.

Lecz więcej śmiechów było słychać niż krzyku, a wesela niż płaczu.

Niewiasty jeszcze wiodły tany, gdy chłopcy z zapalonymi żagwiami zaczęli przeskakiwać ogniska, a potem wyścigać się po łące i wybiegać na polanki z nimi.

Gdzie indziej lano miód w ogień na ofiarę Białemu Bogu, przygasał płomień na chwilę i buchał potem z nową mocą. Parobczaki nieraz spotkali się w skoku, wśród płomieni i dymu, uderzyli o siebie... Nieraz, śmiejąc się, chwytali za bary, padali na ziemię i tarzali, mocując.

U wszystkich ognisk razem rozpoczęły się te skoki, a wnet potem z ogniem pogony[11]. Z pozapalanymi żagwiami, których ogień w biegu nie powinien był zagasnąć, obiegano posiane zboża, barcie, łąki, wołając Kupały.

Na niebiosach, jakby spod zasłon przypatrując się ciekawie temu, co się działo na ziemi, szła zorza wieczorna całować się ze wschodzącą jutrzenką... Noc zaledwie przysłoniła lasy, a już dzień świtał za nimi.

Teraz rozpoczynało się picie i ucztowanie około ognisk, wśród wesela i śpiewu.

W kółku swoim, znużona już śpiewaniem i skokami, siedziała Dziwa i w ogień patrzyła.

Sambor nad nią czuwał z dala, lecz ani razu, ni razu nawet okiem nań nie rzuciła. Chłopak, choć go kusili parobczacy do wyścigów i do picia, niewiele miał ochoty; kręcił się błędny, odchodził i powracał, wciąż na oku mając córkę gospodarza, a na pamięci Domana... Dziwa go zobaczyła tak stojącego na straży i skinęła na niego.

— Idźże do ludzi! — rzekła. — Idź się wesel z drugimi!

— A wy... Dziwo! — odparł Sambor. — Czemuż wy chodzicie chmurno i smutno?

— Ja... — poczęła cicho dziewczyna — ja! Bo moja dola inna niż wasza! Choćbym chciała, weselić się nie mogę... Czego oczy nie widzą, to serce czuje, a gdy serce smutne, trudno być twarzy wesołą...

Podniosła oczy do góry.

— Za lasami, za górami — mówiła jakby do siebie — łuny płoną... Inne łuny... Śpiewy słyszę, nieweselne... Szumią bory... Tłumy ciągną, żagiew w jednej, miecz w drugiej dłoni... Woda się w krew przemieniła, białe lilie poczerniały... Hej! Hej!

I zwiesiła głowę smutnie, zapominając o Samborze, który ze strachem jakimś, stojąc za nią, słuchał i nie rozumiał. To, co mówiła, tak się nie godziło z tym, co dokoła tętniło... Chłopak długo jeszcze z dala się w nią wpatrywał, ale już nie śmiał się przybliżyć. Żywia

[10] *Jama* — bóg śmierci i władca świata umarłych (piekła) w hinduizmie. [przypis edytorski]
[11] *pogon* — gonitwa, bieg. [przypis edytorski]

wyrywała się z korowodu przy ogniu i przybiegła do niej, usiłując ją pociągnąć z sobą; chwytała siedzącą za ręce, próbowała chwycić z sobą i wracała, śpiewając, sama.

Sparta na dłoni dziewczyna obrywała bylicę z wianka, bawiła się kwiatkami i jak nieprzytomna myślą gdzie indziej się być zdawała... Może przy ojcu i matce...

Jakiś czas Sambor spod dębu, o który się sparł, patrzył na nią, trwał na czatach, lecz Dziwa raz jeszcze go przywołała do siebie i kazała mu iść do zabawy.

Posłuszny, poszedł, sam nie wiedząc dokąd, bo mu się wcale skakać i ścigać nie chciało.

Ciągnął z wolna, bez myśli, ku lasowi. Chciało mu się uciec gdzieś, skryć się, spocząć, a bór był pełen ogni i wrzawy. Nie było w nim prawie ciemnego kąta.

Siedzieli na ziemi starzy, pijąc i jedząc, pod drzewami szeptały pary młode; dziewczęta szły sznurami, wiodąc się za ręce, zastępowali im chłopcy... Uciekały z krzykiem, a biada tej, co się pochwycić dała... Wnet cały zastęp rzucał się na jej obronę, parobczaki powołani biegli na pomoc, walka zawiązywała się nierówna, aż dziewki się płonącymi polany w końcu obraniać musiały.

Sambor pominął kilka ognisk i kilka obozowisk na ziemi, uganiającym się chwycić nie dał. Zatrzymywali go znajomi i nieznajomi, aby z nimi pił, aby szedł z nimi — odmawiał. Posądzano go, że coś złego miał na myśli...

Zaszedł tak aż w głąb boru, gdzie już tylko z dala przez gałęzie przeciskała się łuna od ognisk i ciemno było dokoła. Tu pod dębem legł. Głosy kupalne słychać było, ale nie widać nic oprócz blasków, które czasem złociły gałęzie u góry. Listki na nich naówczas wydawały się jakby z blaszki złotej, a ptaszki przebudzone latały pozłacanymi skrzydłami. Sambor legł i głowę a oczy w ręce utulił. Słuchał śpiewów i nie słyszał, marzyły mu się, bo z wolna sen za powieki go chwytał.

Wtem z dala coś zatętniło... Załopotało... Zadrgało. Czy zwierz, spłoszony tą wrzawą? Ale zwierz szybko pomyka, a tętent sunął się powoli, ostrożnie, milknął i wznawiał... Zbliżał się i stawał... Sambor rozróżnił już stąpanie kilku koni i ludzi, ciche szepty. Skrył się więc głęboko w gąszcz, w trawy i krzaki, i czekał.

Ostrożnie wysunęła się z boru ludzi kupka. Blask, który wpadał z dala, nie dozwalał rozeznać twarzy. Mężczyzna jechał na koniu silnym, dwu za nim, kilkoro czeladzi podążało pieszo. Schylali głowy i podnosząc gałęzie, przypatrywali się ogniskom.

— Podkraść się trzeba pod koło... — szeptał jeden. — Co za dziw na Kupałę porwać sobie dziewczynę? Komu jej nie dają po woli, musi wziąć gwałtem... Bylem ją na koniu miał, to moja, nie wyrwie mi się, nie dogonią, nie odbiorą... Zechcą bronić... Choćbym życiem przypłacił! Na prawo...

Bijatyka

I szepcząc, posunęli się wszyscy ku brzegowi lasu, mijając przyczajonego Sambora. Zsiedli z koni, wiodąc je po cichu za sobą i kołowali, wybierając, kędy przejść mogą niepostrzeżeni. Jeden odgarniał gałęzie i oko puszczał przodem, a sam wśliznął się potem, stawał, szedł bacznie. Sambor też za nimi wypełznął z krzaków, wyminął ich i niespokojny, rzuciwszy się drugą stroną, gąszczami puścił się szybko ku ogniskom. Pośpiech ten go zdradził, usłyszał wnet pogoń za sobą, silne ręce chwyciły go z tyłu. Wyrwał się i stanąwszy do boju, uderzył głową w piersi napastnika tak silnie, że padł na ziemię. Lecz padając, porwał i Sambora z sobą, chwyciwszy za koszulę. Wzięli się na ziemi za bary, dusząc i mocując, tarzając razem w gęstwinie, gdy dwóch jeszcze przypadło i siadłszy na parobka, zdusili go tak, iż tchnąć nie mógł.

Wnet zawiązano mu gębę, spętano ręce i nogi.

Domyślono się zdrady, zlękniono popłochu i skrępowanego Sambora popchnęli w krzaki, a sami pobiegli nazad do koni.

Słyszał, jak śpiesznie oddalali się, szepcząc pomiędzy sobą.

Związany, próżno się rzucał po ziemi, usiłując więzy potargać. Łyka i powrozy były mocne. Leżał więc tak, rozpaczając a nasłuchując, ale pieśni, krzyki, wrzawa, trzaskające ognie nie dawały rozróżnić żadnego głosu.

Świt

Jak wiek długo trwała ta męczarnia. Blask ogni zaczął niknąć, a brzask dnia wciskać się z góry. Coraz jaśniej robiło się w lesie. W krzakach budziły się ptaki, kręciły się i podlatywały około niego. Przyleciała para gołębi dzikich, gruchając, i pierzchnęła, kukułka zakukała kilka razy, górą zaszelepotały skrzydła jakiegoś wielkiego ptaka, którego dojrzeć nie mógł.

Cisza nastawała ze dniem.

W dali słychać było ze śpiewami odciągające gromady. Słońce zajrzało w głąb lasu, na wzgórzu nie było już nikogo.

Miotając się ciągle i targając, Sambor nareszcie gębę naprzód potrafił od chusty uwolnić, zębami na rękach i piersi więzy porozrywał, po długiej męce pękły nareszcie — był wolny!

Złamany, poraniony, wściekły, wyrwał się, biegnąc ku polanie. Tu pusto już było, dymiły jeszcze gdzieniegdzie niedogasłe ognie, leżały czarne węgli kupy i potłuczone garnki, i rozbite naczynia. Wszystkie gromady poodciągały do domów. Sambor, półżywy, spotniały, zwlókł się i stanął, gdy usłyszał głos za sobą.

Czarownica

Z dala na ziemi pół leżała, na pół siedziała baba. Zwano ją wiedźmą Jaruhą. Ta to sama była, która w lesie Dziwie na Kupałę iść odradzała, ale sama śpieszyła, i widać było teraz, że nie darmo... Jaruha, która była okolicy i gospodyń postrachem, bo łatwo jej było mleko odjąć, we zbożu węzeł zawiązać, wodę zaczarować, dzieżę zakwasić — miała się dobrze przy Kupale.

Poili ją wszyscy, aby gniewna nie pomściła się urokiem. Siedziała rozmarzona, pijana, wahając się, przechylając, podśpiewując, szepcząc sama do siebie. Zobaczywszy Sambora, podniosła rękę i wołać nań poczęła.

— Hej, sam tu, chłopcze, rękę mi daj! Zaraz mi rękę daj! Nie bój się, nic ci złego nie zrobię... Jeszcze ci mogę lubczyku[12] dać, aby cię dziewczęta kochały... Ino mi rękę daj, rękę daj! Bo sama nie wstanę, a muszę iść! Chłopcze... Słyszysz?! Rękę daj lub urok ci rzucę... Kark skręcisz do nowego miesiąca... Rękę mi daj!

Sambor się odwrócił, żal mu się starej zrobiło.

— Jaruho! — rzekł. — Choćbym ci się podnieść pomógł, nie pójdziesz ty o swej sile, a ja cię prowadzić nie mogę, bo mi do chałupy czas.

— Nie mędruj, daj ino rękę... Jak wstanę, jak się ustoję, pójdą jeszcze nogi moje... Chłopcze...

Sambor przystąpił i oburącz podniósł starowinę. Trzęsła się, stojąc, chwiejąc, jak gdyby paść miała, ale utrzymała na nogach. Oczyma zakrwawionymi popatrzyła na niego.

— Cóżeś to ty spał tak długo ? — zabełkotała.

— Nie spałem, matko! Źli ludzie mnie związali, ledwiem porozrywał pęta... Jaruho! Nie stało się co na Kupale?

Starucha popatrzyła nań, przekrzywiła usta i rozśmiała się.

— A co się stać miało? To, co się zawsze na Kupałę dzieje. Kupała bóg gorący, dziewcząt dosyć nacałował... A jedną, najkraśniejszą! Hę?

Ręką machnęła i zaśpiewała ze śmiechem:

Przyjechał pan na koniku,
Porwał dziewkę przy gaiku...
Oj, gaju — ty zdradniku...
Oj byłoż — było krzyku!
Kupało!

— Którą? Kto? — zakrzyczał Sambor.

Starucha palcem pogroziła na nosie.

— Ej ty! Parobku... Parobku! Tobie się też jej chciało! Gospodarskiej córy. Zerkałeś i ty na nią, ja wszystko wiem... Pyszna była... Mądra była... W wianku sobie chodzić chciała... Ano... Wianek z wodą płynie... Z wodą. Porwali ją... Porwali młodą... Do komory, do komory wiodą... Cha! Cha! Otóż tobie królowanie dziewicze!

W ręce plaskać zaczęła, a Sambor załamał swoje.

— A bracia! A czeladź! A nasi?!

— Pobili, potłukli, porwali, ponieśli... Albo to na Kupałę nowina! Albo to co złego? Co się młodość ma marnować? Doman kmieć bogaty... Kobiet ma kilka, a żony żadnej. Ona tam będzie królować... Oj, Kupała! Kupała! — zaczęła Jaruha, śpiewając, zataczając się i w ręce chude poklaskując.

Stał Sambor jak zabity. Baba, w oczy mu patrząc, śmiała się.

[12] *lubczyk* — zioło, któremu przypisywano moc wzbudzania miłości. [przypis edytorski]

— Dobrze tak! Harda była! Ja to wiem, ja to wiem, czego się jej chciało... U ognia w chramie[13] stać, by się jej ludzie do kolan kłaniali, a ona im wróżyła... E! E! A do garnków, do kądzieli! Pomiatała swatami, żaden godzien jej nie był... Jam jej wczoraj mówiła: „Nie idź na Kupałę...". Przyszedł księżyc, panicz gładki, nie pomoże krzyk i płacze, na konika z dziewką skacze... Na koń wsadził, na dwór biały uprowadził... Ot, co może Kupała...

Śpiewała Jaruha, podskakując na murawie, choć nogi jej nie bardzo służyły. Sambor się oddalał z głową zwieszoną.

— Bywaj zdrów, dobry chłopaku — wołała za nim. — Pójdę już ja bez pomocy... A ty, coś starej podał rączkę, jak zechcesz, to ci młodą wyswatam... Taką, że ją tylko całować a całować i jeść jak malinkę... Bywaj zdrów... Idę sama...

I poszła powoli, podśpiewując, śmiejąc się głośno do siebie, hukając ku lasom, rozmawiając z ptakami, które przelatywały.

Chłopak się wlókł niespokojny i gniewny do domu. Drogą znaną same nogi wiodły.

Gdy stanął u zagrody, znalazł w podwórku wszystkie niewiasty zawodzące, parobków z Ludkiem w drugim końcu zebranych. Ludek miał głowę zakrwawioną. Kłócili się wszyscy, siostry i bratowe płakały.

Wpadli na powracającego wszyscy, gdzie był. Począł opowiadać, co się z nim działo, oni mu też, jak ich już powracających, z lasu wybiegłszy, Doman z ludźmi napadł i mimo oporu Dziwy, co go przekleństwy i łzami odstraszyć chciała, na koń ją rzucili i unieśli. Ludka, który jej bronił, uderzył jeden po głowie oszczepem, innym się też razy dostały.

Porwanie, Kobieta, Mężczyzna, Obyczaje, Morderstwo, Śmierć, Zemsta

Jeszcze spór trwał o to, kto winien, że dziewki nie obroniono. Ludek chciał zgromadzić swoich i napaść na dwór Domana, aby się pomścić gwałtu i zniewagi, choć drudzy go odwodzili tym, iż zwyczaj był nieraz żony porywać, a gdy pochwycona została, nie godziło się jej odbierać, gdy we wrotach ukazała się — Dziwa!

Krzyk wyrwał się z piersi niewiast, które gromadą ku niej pobiegły.

Stała z twarzą płomienistą, niemal krwawą, na koszuli widać było też krwi bryzgi, konia za uzdę trzymała, który ją tu przyniósł. Wianek jej w drodze ze skroni spadł, odzież miała zmiętą i zszarzałą, w oczach błyskał ogień straszny.

Stanęła przed chatą, milczała, zdawała się na pół obłąkana.

Rzucili się ku niej, wołając: „Dziwa!". Siostra padła, wieszając się jej na szyi i płacząc. Dziewczę długo jeszcze, drżące, słowa nie mogło wymówić; Sambor otworzył jej wrota i z lekka cugle konia wziął z jej ręki.

Z wolna poczęła iść ku chacie, nie patrząc na nikogo, ledwie uścisnąwszy siostrę, która ją pocałunkami okrywała. Doszła tak do przyzby, padła na nią, ręce opuściła i załamała.

Obstąpili ją wszyscy kołem.

— Dziwa, jakżeś ty mu się wyrwała?

Nie mówiła długo nic. Żywia jej w kubku świeżej wody przyniosła, napiła się, westchnęła, z oczu puściły się łzy.

Sambor coś szeptał, patrząc na konia; był to koń Domana, po sierści jego jasnej płynęła struga krwi przystygłej.

Dziewczyna siedziała zamyślona, to ręką wodząc po czole, to coś szepcząc sama do siebie i uśmiechając się smutnie.

— Tak chciał! — zawołała nareszcie. — Zamiast Dziwy... Nija[14] mu się dostała... Tak chciał... Jam zabiła Domana... Po co mnie brał siłą?

Spojrzała na brata, marszcząc brwi.

Porwanie

— A! Wy! Coście mnie obronić nie umieli... Jam się lepiej potrafiła. Od świętej góry do Domanowego dworu daleko... Ujął mnie wpół i cisnął... Konia siekł... Lecieliśmy czwałem... Krzyku mego nikt nie słyszał... Chciałam mu wydrzeć oczy, ręce miałam jak połamane... Drgały mi z gniewu i złości... Śmiejąc się, uspokajał. Mieczyk mu błyszczał u boku... Zobaczyłam go... Zmilczałam, przyczaiwszy się... Jemu się zdało, że mnie ugłaskał... Milczałam, jedno drugiemu patrzyliśmy w oczy... Jak dziecko bawił mnie obietnicami... Słuchałam. Koń, ustając, zwalniał biegu. Mieczyk mu świecił u boku... Do dworu

[13] *chram* — świątynia. [przypis edytorski]

[14] *Nija* a. *Nyja* — bóg (tu: bogini) świata podziemnego w mitologii słowiańskiej; odpowiednik *Plutona* w mit. rzym. [przypis edytorski]

było daleko... Mówił, że mnie miłował i dlatego gwałt uczynił... Patrzyłam mu, milcząc, w oczy... Mieczyk drżał pod moją dłonią... Schylił się, chcąc pocałować... Nie krzyknęłam... Nóż miałam w ręku... Do zagrody było daleko, gdym mu mieczyk w piersi wbiła... Jego własny... Chwycił za piersi rękami i spadł na ziemię... A jam z koniem poleciała... Nie było mnie gonić komu, ludzie przy panu zostali.

Spojrzała po braciach, którzy zasępieni milczeli, po siostrach, które strwożone oczy sobie rękami pozakrywały. Ludek patrzył na nią.

— Domanowe braty nie darują — rzekł. — Krew trzeba będzie dać za krew...

Dziwa i wszyscy umilkli.

Trwała cisza długo.

— Mnie już tu nie być —- odezwała się nareszcie dziewczyna, patrząc w ziemię. — Pożegnam ja się z wami i pójdę stąd na zawsze... Jak mnie nie stanie, zemsty za mnie brać nie będą... Pójdę, gdzie oczy poniosą, kędy dola poprowadzi...

Dom, Rozstanie

Wstała Dziwa, niewiasty wszystkie płakać i jęczeć zaczęły. Żywia objęła ją za szyję i razem weszły do chaty.

Bracia naradzali się cicho, co poczynać mieli. Dziwy długo nie było. Poszła świąteczne potargane zwlec szaty i wianek uwić sobie nowy. W komorze po cichu związała węzełek bielizny na drogę, a Żywia, widząc te przygotowania, na ziemi, płacząc, legła.

Płakały potem cicho, ściskając się obie.

— Żegnaj mi jedyna, żegnaj rodzona... — pół śpiewając, mówiło dziewczę. — Żegnaj ty mi na wieki! Ja muszą iść, porzucić wszystko... gdzie oczy i dola niosą. Pójdą na ostrów[15], na Lednicę, do chramu Nijoły[16], stanę u ognia świętego, stać będę aż oczy wypłaczę i zgasną... Aż ja żyć albo ogień palić się przestanie.

Wyrwała się z objęcia siostry.

— Teraz chodź, Żywio moja, siostro jedyna, pożegnajmy ognisko, pożegnajmy kąty, pożegnajmy progi i ściany, i bydełko, i konie, i wszystko żywe i martwe... Z czym się żyło, co kochało...

Uroczyste to było pożegnanie, do którego się wszystkie przyłączyły niewiasty. Szła Dziwa do ogniska i rzuciła nań łuczywo ostatnie.

— Bywaj zdrowy, ogniu mój domowy... Już ja ciebie nie podsycę, świecić mi do kądzieli nie będziesz, ani grzać zziębniętą... Ogniu ojca, matki, sióstr i braci... Świeć im jasno, grzej im duszę... Bywaj zdrowy...

Szli potem do chlebnej dzieży, którą Dziwa objęła.

— Bywaj zdrowa, matko, coś mnie chlebem białym karmiła... Bodajś zawsze pełna była i we czci u ludzi stała... Chleb twój karmić mnie nie będzie...

Tak samo próg żegnała, komory, gumna, stodoły, szopy, krówkę czerwoną, owieczki bure i konie, i psy nawet... I studnię, z której wodę brała, i wrota.

U studni wzięła Dziwa wiadro, zaczerpnęła raz ostatni, napiła się i zapłakała... Uściskała siostrę, bratowe, braci, wszystkich pożegnała, kłaniając się do nóg wkoło... Wrota raz ostatni otwarły się i zamknęły za nią; szła żegnać rzekę, co pod dworem płynęła, i kamienie, na których ojciec siadywał.

Nikt się podróży tej sprzeciwiać nie śmiał. U płota uwiązany stał koń skrwawiony Domana; kazała go puścić i nagnać, aby do swojego wracał stada.

Koń

Stara Wielicha i dwu zbrojnych parobków odprowadzać ją mieli do jeziora, na Lednicę. Sambor się wprosił trzeci.

Gdy Dziwa jeszcze raz ostatni obejrzała się ku zagrodzie a powiała chustką białą, płacz i jęk dały się słyszeć ze dworu. Siostry i bratowe posiadały na ziemi i jak po umarłej zawodzić poczęły.

A w dali słychać było, jak koń Domana, puszczony na wolę, czwałem, rżąc, przez lasy pędził do swoich.

II

Koło dworu Domanowego cicho było i pusto, gdy następnego dnia Myszko przybył na koniu i stanął u wrót.

[15]*ostrów* — porosła roślinnością wyspa na rzece a. jeziorze. [przypis edytorski]
[16]*Nijoła* — Nija a. Nyja. [przypis edytorski]

— Nie ma Domana? — zapytał sługi, który we wrotach stał.

Milczał parobek.

— Jest pan doma? — powtórzył.

Nie było odpowiedzi.

— Cóżeś to oniemiał? — zawołał po raz trzeci, groźnie już, przybyły kmieć, któremu się czoło pofałdowało.

— Co mam mówić? — nieśmiało począł chłopak. — Doman leży na pościeli raniony, baba mu ranę myje i ziołami zakłada... Dyszy jeszcze... Ano, życia mało.

Myszko się rzucił na koniu i skoczył z niego.

— Kto go ranił?

Kobieta, Mężczyzna, Walka, Hańba

Tu znowu zabrakło odpowiedzi; pokraśniał sługa, oczy spuścił, widocznie wstyd mu powiedzieć było. Niepewien nawet był, czy się godzi zdradzać te tajemnice, bo dla mężczyzny rana przez dziewkę zadana bezczestną[17] była prawie.

— Nie wiem — rzekł ostrożnie parobczak, chociaż świadkiem był, gdy padał Doman na ziemię.

Myszko się dziwnie nań popatrzył, lecz już nie spytał go więcej i z wolna pociągnął do dworu, do świetlicy.

Ciemno w niej było. Przy ogniu, który się palił maleńki wśród kamieni, skurczona siedziała Jaruha, prażąc coś w garnuszkach i skorupkach i szepcząc po cichu.

W głębi izby, na skórze, leżał blady, z oczyma w słup otwartymi, z usty, których blade wargi były rozwarte, w gorączce, półsenny Doman. Na piersi widać było pokrwawioną koszulę i płachty mokre.

Jaruha spojrzała na wchodzącego i palec pomarszczony, czarny, położyła na ustach, ale Doman już drgnął, ruszył się, jęknął i jakieś mruczenie niewyraźne z ust mu się wyrwało. Oczyma zatoczył, ciałem się ruszyć, nie mogąc. Myszko szedł ku niemu powoli. Ni jeden, ni drugi nie mówił nic, gość siadł w nogach na ławie.

Choroba, Lekarz, Czarownica, Czary

Tymczasem starucha sięgnęła do kubka stojącego przy niej, napiła się, otarła usta i poszła, mokre jakieś niosąc ziele, do chorego. Położyła mu je na piersiach, zaczęła mruczeć, ręce obie nad nim podniosła, przebierając palcami, splunęła na jedną i drugą stroną. Doman nie ruszał się, tchnął tylko ciężej.

Na ten znak życia pies, który leżał na ziemi, podniósł głowę z wolna i wlepił w pana oczy.

Myszko nie spuszczał z niego wejrzenia, ale się odzywać nie śmiał. Zdawał się chory spać i marzyć. Niekiedy białe zęby jego ścięły się i zazgrzytały, to znów uśmiechał się niby. Ręce mu drgały, jakby coś chciał pochwycić... I opadały bezsilne.

Myszko skinął na Jaruhę.

Przystąpiła doń, wprzódy rozpatrzywszy się w nim dobrze, i stanęła z pokorą.

— Kto go ranił? — zapytał gość.

Jaruha milczała długo, trzęsąc głową.

— Hę? Dzik! — rzekła. — A tak! Dzik... Kłem rozdarł mu piersi...

Gość oczy ciekawe zwrócił na nią i ruszył ramionami.

Jaruha się poprawiła:

— Jeleń... Albo ja wiem? Na łowy wyjechał, a z łowów go przynieśli...

I trzęsła głową, brodę w ręku ściskając.

— Oj, łowy te, łowy... Gorzej wojny takie łowy!

Widoczne było z twarzy gościa, iż słowom jej nie wierzył. Ale w tej chwili na progu ukazał się Domanów brat, Duży. Myszko wstał i podszedł ku niemu, a Jaruha, u łoża stojąc, za nimi patrzała, bo wyszli ze dworu na podwórko.

— Mówże choć ty prawdę — zapytał Myszko. — Co mu jest, kto go ranił? Gdzie?

— Wstyd przyznać się — cicho szepnął brat młodszy — za dziewką poleciał na Kupałę, za Wiszową... Porwał ją na koń... Dziewka mu miecz od pasa wzięła i w piersi wbiła...

Spuścił głowę Duży, jakby go to wyznanie zbyt wiele kosztowało.

Namarszczył się słuchający.

— I uszła? — spytał oburzony.

[17] *bezczestny* — hańbiący, odbierający cześć, godzący w honor. [przypis edytorski]

— Doman z konia padł, bo go srodze raniła, nie wiem, czy i żyć będzie, choć baba krew zamówiła i okłada ranę — mówił Duży — a dziewczyna z koniem do domu uszła.

Słuchając opowiadania, Myszko zdawał się ledwie uszom wierzyć; śmiałość dziewczyny, nieopatrzność Domana wydawały się niepojęte. Zamilkł.

— Wywołajcie babę — rzekł po namyśle. — Spytamy jej, czy z niego co będzie, czy przepadł... Mnie on potrzebny i nam wszystkim...

Posłuszny chłopak skinął od progu na Jaruhę, która z udaną powagą, choć widocznie podchmielona, wysunęła się z chaty.

— Słuchaj, stara wiedźmo — rzekł, odwracając się ku niej przybyły — będzie on żył?

Jaruha podniosła głowę, pokiwała nią, spuściła, podparła brodę na ręku, myślała długo.

— Kto to może wiedzieć — rzekła. — Albo to ja tam była, gdy mu krew upływała? Albo ja patrzyła, gdy go zabijali? Ja swoje robię... Krew zamówiłam, ziela nawarzyłam, płachty położyłam... A może kto ranę przeklina... Może urok rzucili?

Nie można się z niej było dowiedzieć więcej. Myszko stał zafrasowany, gdy w świetlicy usłyszeli wołanie.

— Bywaj tu!

Pobiegli wszyscy, Doman się był, na łokciu spierając, podniósł blady, ale przytomny, i pić prosił. Jaruha mu jakiegoś gotowanego napoju przyniosła, który pochwycił chciwie. Oczyma powiódł po izbie, brata poznał, a obcego zobaczywszy, spuścił oczy. Ręką uciskał piersi, jakby mu co zawadzało. Myszko stał nad nim.

— Widzisz — rzekł — z koniam padł... I na mieczyku się przebiłem...

Nie śmiał oczów podnieść.

— Myślałem, że mi koniec przyjdzie... Ano, jeszcze żyję...

— A to ja wam krew zamówiłam, proszą miłości waszej — wtrąciła Jaruha. — Gdyby nie ja... Hę! Hę!

— Co wy tam uradzili, Myszku? — spytał, odwracając rozmowę.

— Dziś z tobą o tym nie gadać, kiedy leżeć i lizać się musisz.

— Wyliżę się... — rzekł Doman. — A nie chcę, abyście mnie zapominali, jeśli co do roboty macie... Nie ja, to bracia pójdą i ludzie... Bylem chodzić mógł, nie zaśpię doma... Człek najprędzej wydobrzeje, gdy na konia siądzie...

— Nieprędko wam o koniu myśleć — przerwała Jaruha. — Krew by się znowu puściła, a jakby mnie nie było do zamówienia...

Nikt baby nie słuchał i umilkła. Duży nawet na drzwi jej wskazał. Wiedźma, pokręciwszy się około ognia, wyszła, mrucząc.

— Źle z nami — rzekł Myszko — źle z nami, Domanie. Na wiecuśmy nie obradzili nic, a teraz gorzej się jeszcze kroi. Chwostek sobie zebrał dużą drużynę, nawet między naszymi... Bodaj[18] po Niemców posłał i Pomorców, aby mu w pomoc przybywali; chce nas wszech zawojować i obrócić w niewolniki... Radźmy sobie...

— Pierwsza rzecz — rzekł Doman — tych się zbyć, co jemu służą, a z nami iść nie chcą, bez tego nic...

— Pewnie — odparł Myszko. — Z tymi, co jawnie z nim trzymają, rzecz łatwa... Ale kto wie, ilu z nim potajemnie? Starego Wisza nie stało.

Na wspomnienie starego Wisza głowę spuścił Doman i zamilkł.

— Trzeba nam dalej prowadzić mirową[19] sprawę... Nikt nie chce stanąć na czele gromady, aby mu się to nie stało, co Wiszowi... Jechałem do was na radę... A wy....

— E! E! Co będę kłamał — żywo zawołał, jakby z trochą gorączki, Doman. Prawda, Hańba

Odsłonił piersi, odrzucił płachtę i śmiejąc się dziwnie, pokazał siną, ledwie przysychającą ranę, która miała kształt miecza, jakim była zadana.

— Patrz, Myszko — dodał — dziewka mi ją zadała! Dziewka! Wiszowa dziewczyna. Wyrwała mi się z rąk jak śliski węgorz... Srom i wstyd! Przed ludźmi nie pokazać oczu chyba, póki jej nie będę miał... Nie utai się to... Własna czeladź mnie zdradzi... Baby się ze mnie urągać będą... Prawda, brata raniłem, gdym ją chwytał, ale od dziewki dostać ranę...

---

[18] *bodaj* — podobno, chyba. [przypis edytorski]

[19] *mirowy* — dotyczący miru, tj. gminy. [przypis edytorski]

Padł na pościel.

— Weźmiesz ją i pomścisz się — zawołał Myszko. — Chciałeś ją mieć za żonę... Uczynisz niewolnicą lub zabijesz... Nie truj się tym i bądź spokojny...

— Bylem siły miał trochę, doma nie zostanę... Pali mnie łoże i srom...

— Słuchajże, Doman, wy z kim ? — przerwał Myszko.

— Z wami... — odparł krótko ranny i wskazał na brata. — On, ja, moi ludzie, czeladź. My, stare kmiecie, jesteśmy do swobody nawykłe, do ostatniej kropli krwi miru bronić będziemy. Kneź mir łamie, niech głowę da!

— Niech da głowę! — zawołał Myszko i wstał. — Więcej już słyszeć nie chcę i nie potrzebuję... Na tym dosyć...

Duży przyniósł mu miodu w kubku, gość z pośpiechem do ust go zbliżył i napił się, biorąc rękę Domana.

— Za rychłe wyzdrowienie twoje... Słowo?

— Słowo kmiece... I klątwa[20]... Ja z wami... A umrę ja, z wami bracia, do ostatniego...

I legł na pościel. Myszko wyszedł i na konia siadł.

Na powrót weszła Jaruha, zbliżając się do łoża chorego; spojrzała na piersi, z której płachty zrzucone leżały na ziemi i załamała ręce. Poczęła je podnosić, mrucząc.

— A zdrowym byś być chciał, miłościwy panie — poczęła. — Baba was wyratowała i słuchać jej nie chcecie!

Nie opierał się chory, gdy mu znów owe mokre zioła i bieliznę na piersi przyłożyła. Znużony, choć małym wzruszeniem, Doman się zdrzemnął zaraz. We dworze milczenie było znowu.

Nadchodził wieczór, gdy Duży, stojąc we wrotach, zobaczył jezdnych, z lasu wychylających się na pole.

Było ich czterech. Jeden przodem jechał wprost na dwór. Już z dala poznał chłopak Bumira, kmiecia, który mieszkał ku Gopłu. Bumir stary był już, ale jak żubr silny, kark miał gruby, nogi i ręce ogromne, brzuch spasły. Ciemne włosy, na pół już siwe, bezładnie otaczały mu głowę okrągłą, w której wypukłe oczy żabie i usta szerokie siedziały. Z Bumirem mało co się znali, nie lubił go Doman; po co tu ciągnął, trudno było odgadnąć. Stanął ze swymi u wrót.

Gość, Obyczaje

Gościnność stara nikogo, miłego czy nie, odpychać nie dozwalała.

Pozdrowili się z Dużym.

— Zabłąkałem się — rzekł Bumir — dacie mi spocząć u siebie. Ludzie się zagnali za jeleniem, który oszczep niósł w sobie. Jakiś zwierz, w którym Licho[21] siedziało, poprowadził nas na obłędy[22]... Drugi dzień włóczymy się po lesie...

— Brat mój się okaleczył, leży ranny — odezwał się Duży — ale dom rad wam.

— Ja rany leczyć umiem — zawołał Bumir — pójdę, zobaczę...

— Baba go opatruje...

Bumir, sapiąc, z konia zlazł i nie pytając, do izby ciągnął[23].

— Sadło, którym rany zalewam, czeladź ma — odezwał się Bumir. — Zalejemy mu sadłem i do kilku dni znaku nie będzie.

Wchodzili do izby. Doman, jakby poczuł już obcego, ruszył się zaraz. Jaruha, która przy ogniu drzemała, zbudziła się, spluwając i gniewna. Bumir, nie zważając na nic, do chorego poszedł.

Gdy na siebie spojrzeli, zaraz postrzec było można, że gospodarzowi gość ten niemiłym był.

— Zabłądziłem, dacie mi spocząć... — rzekł, siadając na ławie.

Doman ręką skinął i bratu dał znak, by gościa przyjmował. Bumir się rozsiadł i sparł na stole.

— Sadło moi ludzie mają — rzekł — które najsroższe rany goi... Niedźwiedź jucha raz mi do połowy skórę ze łba zdarł, wyleczyli mnie nim...

— Miłościwy panie — zawołała Jaruha — już tu nic nie trzeba... Ja krew zamówiłam i zioła mam, co ranę prędko przygoją. Nie trzeba nic.

---

[20] *klątwa* (daw.) — przysięga; por. czas. zaklinać kogoś. [przypis edytorski]

[21] *licho* — zły duch, diabeł. [przypis edytorski]

[22] *na obłędy* — błędnymi drogami. [przypis edytorski]

[23] *ciągnąć* — tu: iść, podążać. [przypis edytorski]

Chory też dał znak ręką, Bumir zamilkł.

Wszedł Duży z miodem znowu i z kołaczem, a za nim wnieśli misy. Gość począł jeść łakomie, pić chciwie i póki się nie nasycił, sapał tylko. Jaruha wyszła na podwórze, gdzie się rozrywała, żarty strojąc z czeladzią. Duży też stadninę począł opatrywać — zostali sami. Bumir znać[24] tego sobie życzył, bo się zaraz do gospodarza przysunął.

— Ej, Domanku miły — począł, pochylając się ku niemu — nie w porę tobie ta rana i choroba... U nas źle... Nam trzeba ludzi i rąk... Kmiecie, braty nasze, burzą się i złego piwa nawarzą...

Namarszczyło się czoło choremu.

— Cóż się to tam dzieje? — mruknął.

— Na naszego knezia wszyscy bij zabij... Poszalawszy...

Doman, już nic nie mówiąc, słuchał.

— Zginiemy wszyscy — rzekł cicho Bumir. — Knezia pogniewali, zemstę wywołają, Niemców sprowadzi na nas...

Widząc, że gospodarz nie mówi nic, Bumir ciągnął dalej.

Władza

— Jest już zmowa na knezia... Już się zbierają, radzą... A wszystko to tylko, aby jednego ze swoich posadzić na grodzie. Nie o swobodę im idzie, a o skarby na zamku... My to wiemy. Ano, omylą się, bo nas jest dużo też, co staniemy za kneziem i nie dopuścim... Nie dopuścimy! — zawołał Bumir, bijąc kubkiem o stół.

Oczy mu się zapaliły.

— Myszkom się chce panować, my wolimy tego, co jest... My już go znamy, a tamci, jeszcze się nie napiwszy, głodniejsi będą... Nie dopuścimy...

— Obliczyliście się? — zapytał Doman.

— Co się mamy liczyć? Leszki pójdą wszystkie z nami, bo to ich sprawa, pojednają się... Kmieciów też dużo jest, co chcą spokojnie swoje lechy[25] uprawiać... A gromady, co się wyrwą, kneziowscy ludzie rozgniotą na miazgę.

Podstęp

Bumir się tak odkrył ze swą wiarą, po miodzie, nieopatrznie; Doman, daleko przebieglejszy od niego, dawno przewidział, ku czemu to idzie i czuł, że Bumir go spyta nareszcie, z kim on trzymać myśli. Powiedzieć fałszu nie chciał, a prawdę zdawało mu się wyśpiewać niebezpiecznie. U narodów wpół wykształconych[26] instynkt zachowawczy często dziwne formy przybiera i do różnych fortelów się ucieka. Domanowi przyszło na myśl, aby się chorobą posłużyć; w chwili, gdy Bumir kończył mówić, jęczeć począł i chwycił się za pierś.

Jaruha, stojąca pod oknem, usłyszała ten głos i pospieszyła nań.

Czary, Strach, Zabobony, Duch, Choroba

Bumir umilkł. Przyniesiono zaraz płachty nowe; chory się skarżył. Wiedźma zapowiedziała, że musi zamawiać ranę i że nikomu przy tym być nie wolno. Stary kmieć czarów się i bab obawiał. Z przerwaną więc rozmową wyniósł się za próg, sapiąc, obiecując sobie wrócić dla dokończenia jej; ale po dość długim oczekiwaniu Jaruha wyszła, objawiając, że skutkiem jej zamawiania chory zasnął i spać będzie do jutra, do rana, a snu mu przerywać nie wolno, bo by duchy złośliwe chorobę rzucić mogły na tego, co by obudził chorego.

Rad nierad Bumir się znalazł w podwórzu, nic nie sprawiwszy, z tym że na resztę musiałby czekać do rana. Na to nie było sposobu. Pilno jechać musiał drugich namawiać, bo go był kneź znać wysłał, wziął więc na bok Dużego.

— Ja do jutra rana tu stać nie mogę — rzekł mu niecierpliwie. — Doman śpi... Jutro mu powiecie ode mnie, aby pamiętał, co mówiłem, i z tymi trzymał, co mir miłują, a radzi siedzieć w pokoju. Powiedzcie mu to koniecznie, ja przed nocą jeszcze kawał drogi ujechać muszę.

Taką sztuką odprawiony Bumir, zły, mrucząc, na konia siadł i pociągnął dalej. Doman wszakże spać nie myślał, babę tylko namówiwszy, aby mu się wykłamać pomogła. Zaledwie usłyszał, że konie za wrotami były, ruszył się na pościeli. Leżenie mu dokuczyło, chciał choć popróbować, czy mu się wstać nie uda. Przeraziła się Jaruha, która wcale nie życzyła sobie widzieć go uleczonym tak prędko, i poczęła niemal gwałtem nazad pędzić na łoże. I siły też nie pozwalały bardzo się dźwigać. Doman, zaledwie popróbowawszy

[24] *znać* — tu: widać; widocznie. [przypis edytorski]
[25] *lecha* — zagon. [przypis edytorski]
[26] *wpół wykształcony* — tu: na poły ukształtowany. [przypis edytorski]

i poczuwszy się jeszcze osłabłym, nazad na łoże legł. Jaruha znowu zamawiała. Miała przy tym jeść i pić do syta, czyniła się też potrzebną, jak umiała.

Późno już było i Doman usnął po tych wysiłkach, gdy nowy gość do chaty się wcisnął.

Jak on tu potrafił się dostać, trudno było babie zrozumieć.

Właśnie usnąć miała, oparłszy się o ognisko, gdy na progu zobaczyła kocie oko Znoska...

Z głową obwiązaną płachtą, z okiem ciekącym, karzeł wsunął się do izby tak cicho, iż Jaruha, ujrzawszy go, przelękła się, jakby wilkołaka zobaczyła.

Psy stróżowały na podwórzu, ludzie spali, wrota były zaparte. Pomimo to Znosek się dostał do zagrody. Jak? To było jego tajemnicą. Wśliznąwszy się tu, podpełznął do starej, pokazując na swą głowę poranioną. Jaruha była litościwa, leki i czary stanowiły jej rzemiosło, dozwoliła się więc zbliżyć Znoskowi i z wolna głowę mu rozwiązała. Przyschła płachta odmaczana być musiała, gdyż Znosek syknął z bólu, a Doman się obudził.

— Jakeś ty tu wlazł, że cię psy nie zjadły? — szepnęła, głos zniżając, wiedźma.

Znosek ledwie dosłyszanym szeptem odpowiedział jej na ucho, iż dowiedziawszy się, że ją tu znajdzie, musiał się dostać do dworu, bo go rany niezmiernie bolały.

Przyznał się, że nie mogąc inaczej, wdrapał się na drzewo, stojące przy częstokole u zagrody, i po gałęziach jego spuścił się w podwórze. Tu, psów nie budząc, przepełznął do drzwi, które zawsze stały otworem.

Jaruha ranę mu poczęła opatrywać, szeptać nad nią i spluwać na wszystkie strony. Z węzełków potem swych dobyła ziół, z garnuszka nalała cieczy jakiejś i kazawszy z głową spuszczoną siedzieć Znoskowi, obwiązała go na nowo. Ogień przygasł był nieco i w izbie było prawie ciemno, ale właśnie, gdy z głową spuszczoną klęczał przed nią karzeł, błysnęło łuczywo, blask oblał izbę, Doman się zbudził, otworzył oczy i ujrzał tę dziwną parę.

Obcy, Zdrada, Kara, Zemsta, Szpieg

Obcy człowiek bez wiadomości jego w domu... W podrażnionym chorobą gniew obudził. Sądzili go jeszcze śpiącym, gdy nagle krzyknął straszliwie, wołając ludzi. Znosek chciał się wyśliznąć i uciec, ale już było za późno. Czeladź, śpiąca za progiem, zerwała się na nogi. Padł karzeł na ziemię twarzą. Zaczęło się wołanie, popłoch i Znoska schwyciła czeladź, prowadząc przed pana.

O tym stworzeniu, którego Doman nie widział nigdy, chodziły wieści dawno, jako o złośliwej istocie, będącej na posługach knezia. Wiedziano, że podpatrywał, że się wszędzie wśliznąć umiał i że go używano na podsłuchy. Domyśleć się było łatwo z postawy, kim był.

W pierwszym gniewu napadzie Doman chciał go kazać powiesić na dębie. Znosek padł przed nim na twarz, jęcząc i błagając. Jaruha się wstawiać nie chciała, świadczyła tylko, że przyszedł dla ran, które miał na głowie.

Ucieczka, Pies

Czeladź już się brała do postronków, aby z ochotą wielką spełnić rozkaz pana i Znoska jak wielką żołądź na dębie uwiesić, gdy na jęk i płacze Doman się ulitował i psami go za podwórze wyszczuć kazał. Wyprowadzono go więc do drzwi, na psy świśnięto i uciekający co tchu ku tynowi karzeł, poszarpany, ranny, ledwie się potrafił całemu stadu goniących go ogarów wyrwać, zręcznie na płot wskoczywszy. Jeden z psów, który się był nogi jego uczepił, zawisł długo przy niej i wyrwawszy z niej to, co zębami chwycił, upadł na ziemię. Znosek jednak tyn przeskoczył i za zagrodą zniknął.

Czarownica, Czary

Jaruha już siedziała spokojnie u ognia i może nawet żałowała, że go nie powieszono, gdyż z wisielców różne bardzo potężne leki i czary naówczas wyciągano, które by się jej były przydały. Nie obwiniano jej o to, że się przybłędzie ulitowała, i pozostała znów przy ognisku.

Znosek, padłszy za zagrodą na ziemię, z nową raną, jęczał, pięście wyciągając ku dworowi i przeklinając jej pana. Obiecywał sobie pomstę, choćby życiem zapłacić, a o tę zausznikowi kneziowskiemu było łatwo. Gdy nogę zawiązawszy, powlókł się nad ranem w las, aby go nie schwytano znowu, ciągle jeszcze ku zagrodzie się zwracał, pokazując jej pięści i zęby.

III

Religia, Świątynia, Pielgrzym

Na jeziorze Lednicy leżała wyspa, ostrów święty, do którego z dala, od Wisły nawet, od Łaby, od Odry przychodzili z ofiarami po wróżby i rady pielgrzymi.

Niewiele naówczas takich chramów i świątyń liczono na ziemiach słowiańskich. U Ranów[27] na ostrowiu[28] stał chram Światowida[29], u Redarów[30] drugi, u Serbów nad Łabą Trygłowa[31] trzeci, w Stargrodzie w gaju czczono Prowego[32]. Ciągnęły do nich na wielkie świątki i dnie uroczyste różne plemiona z dalekich stron, schodzili się ludzie jednego słowa, choć różnej nieco mowy, i u świątyń tych radzili i porozumiewali, co ku obronie od wspólnych wrogów przedsiębrać mieli.

Na ostrowiu Lednicy stał taki chram Nii, do którego szła właśnie Dziwa, schronić się od pomsty i poświęcić resztę życia pilnowaniu ognia świętego.

Trzeciego dnia pokazało się jezioro szeroko rozlane, świecące, jasne, a podróżni powitali je pokłonem, bo i ono, jak ostrów, święte było.

Ostrów też z dala się dostrzec dawał, naówczas gęstym gajem i zaroślami okryty. Zakrywały one chram oczom i zdawały się całą wyspę okrywać. U brzegu, na palach wbitych niegdyś w jezioro, stały chatki rybaków nędzne. Przy nich do palów poprzywiązywane czółna kołysały się jak senne, poruszając z falami. Rybacy, zamieszkali w tych budkach, przewozili na ostrów pielgrzymów.

Wieść niosła, że chaty biednych tych ludzi stały tu od wieków, że ich niegdyś była tu moc wielka, że pale część znaczną wód zajmowały, a na pokładach nad nimi cała niegdyś osada liczna i zamożna zamieszkiwała. Ale z czasem gniły pale, padały chałupy w wodę, ludzie się na ląd przenosili i rozpraszali. Teraz tu tylko pozostało ich kilka, sczerniałych, osiadłych nisko, okopconych, a zajmowali je rybacy i przewoźnicy.

Rozstanie

U chat na palach pożegnała Dziwa swoich towarzyszów, tu już bezpieczna, sama iść mogła, kędy jej kazała dola. Nie potrzebowała ani druhów, ani drużki. Rzucił się jej Sambor do nóg, bo ją od dziecka szanował i miłował.

— Zdrów bywaj, Samborze — odezwała się. — Bądź szczęśliwy... Pokłon odnieś ode mnie siostrze miłej, braciom, wszystkim... Nawet ptakom, co koło naszej latały zagrody.

Z chaty na palach, które się trzęsły pod nim, wyszedł stary zgarbiony człowiek, w drżących rękach wiosło trzymając. Nie mówiąc nic, zszedł do czółna, zstąpił w nie, odwiązał i czekał. Dziwa siadła, odbił od brzegu i czółno pomknęło po wodach spokojnych. Towarzysze stali i patrzyli, stara piastunka płakała, padłszy na ziemię. Dziwa chustą wiewała. Białe ptaki nad głową jej się niosły i kwiliły, jakby rozumiały, że się ze swoim rodzonym rozstawała światem.

Czółno płynęło. Już twarzy jej widać nie było, tylko koszulę białą i białą jak ona twarz, a potem plamkę białą, a później ostrów i drzewa zakryły czółenko i znikło. Dziwa płynęła, gdzie ją dola niosła. Wtem łódka się o brzeg oparła i zadrgała, stary wyszedł na ląd i przytrzymał ją. Para kamieni sterczała nad wodą; dziewczę wysiadło i wyszło.

Na ostrowiu cicho było, cicho... Tylko tysiące słowików w krzakach na zabój nuciły. Pomiędzy łozy i olszyny wiodły ścieżki kryte, ludzkimi powydeptywane stopami.

Dziwa szła z wolna przed siebie, nie śpiesząc się, wiedząc, że dojdzie, gdzie jej losy iść kazały.

Pielgrzym

Wśród gęstwiny łączka się otwarła zielona. Tu gromadkami siedzieli ludzie i pożywali z kobiałek, co kto miał ze sobą, w milczeniu jakimś uroczystym.

Widać było po sukniach, ich barwie i kroju, że ludzie tam byli z krajów różnych. Byli tam mową i odzieżą odmienni od siebie, a językiem pokrewni połabiańscy Serbo-

[27] *Ranowie* a. *Rugianie* — zachodniosłowiańskie plemię połabskie zamieszkujące we wczesnym średniowieczu wyspę Rugię (połabskie: Rana). [przypis edytorski]

[28] *U Ranów na ostrowiu* — na wyspie Rugii. [przypis edytorski]

[29] *Światowid* — bóg słowiański o czterech twarzach. [przypis edytorski]

[30] *Redarowie* a. *Redowie* — plemię lutyckie, należące do Słowian połabskich; na ich terenach, w Radogoszczy, znajdowała się świątynia Swarożyca, boga ognia ofiarnego i ogniska domowego. [przypis edytorski]

[31] *Trygłów* — w mit. słowiańskiej bóg morza, opiekun marynarzy, pierwszy budowniczy łodzi; poświęcony był mu bursztyn. [przypis edytorski]

[32] *Prowe* — bóstwo połabskie, patronujące sprawowaniu sądów, poświęcone mu były dęby w świętym gaju; jego imię wywodzi się niekiedy od słowa *prawo*. [przypis edytorski]

wie, Wilcy i Redary, byli Dalemińcy[33], Ukrańce[34], Łuczanie[35], Dulebianie, Drewlanie[36] z Drażdańskich lasów[37], Polanie tutejsi, Łużanie[38] znad Warty[39] i Odry, Bużanie[40] od Buga[41], Chorbaci nawet i niezliczone naówczas plemiona, które się różnymi imionami zwały, z jednych rodów odszczepionych od pnia głównego pochodząc. Widok był zaprawdę piękny tych gromad, co się rozumiały, a przecie nie znały i dziwiły sobie, z których każda miała inną twarz i obyczaj odmienny, a wszystkie czuły się do[42] wspólnej prastarej matki.

Nie bratali się bardzo, ostrożnie ocierali o siebie, ale zanucona pieśń, rzucone słowo zbliżało powoli.

Szare, czarne, brunatne, białe świty, siermięgi, opończe, pasami zielonymi, krasnymi, czarnymi i białymi poprzepasywane, odznaczały plemiona. Uzbrojenie też nie było równe. Plemiona znad Wełtawy[43] i Łaby, bliższe Niemców, już od nich wiele zapożyczyły; ci, co mieszkali ku Wiśle i w głębi, dziczej wyglądali jeszcze. Znad Bałtu[44] (białego słowiańskiego morza) mieli dużo przywoźnego sprzętu, który im statki z dalekich krajów przynosiły.

Dziwa przeszła pomiędzy gromadami, które ją ciekawymi mierzyły oczyma. Chramu stąd jeszcze widać nie było, bo go gęstwina zasłaniała zielona. Wpośród zarośli trafiła na kamienny obwód pierwszy chramu. Stały te kamienie ogromne, jak je ziemia zrodziła, jak je morze przyniosło, nie tknięte ręką ludzką, z tymi twarzami, jakie im dały wieki, jedne nieopodal od drugich, w odstępach równych, jak zaklęci w głazy stróże. Jak zajrzeć w lewo i prawo, ciągnął ten poświęcany szereg dokoła.

Na jednej z tych brył siedziała kobieta w bieli, podparta na ręku. Stara już była i włos miała srebrny, rozpuszczony na ramiona, a na nim dziewiczy wianek ruciany. W ręku trzymała laskę białą, z korą pozostawioną tylko, by ją jak wąż, jak wstążeczka opasywała. Ubiór miała wieśniaczy, biały, świeży i czysty, a przy nim spinki błyszczące. Na twarzy spokojnej, pomarszczonej i zwiędłej widać było życie jakby senne, coś na pół umarłego, nietroszczącego się ani o śmierć, ani o dolę.

Dziwa się pokłoniła przed nią.

Stara oczy powoli podniosła, nic nie mówiąc, ręką jej pokazała na prawo, na drożynę, głowę podparła znowu i dumała.

Kapłan

Dziewczyna szła drożyną wskazaną. O kilka kroków stał na kiju sparty starzec niewielkiego wzrostu, odziany bielizną świeżą, w obuwiu z czerwonymi sznury i zarzuconej na ramiona opończy ciemnej. Czapka wysoka, czarna okrywała mu czoło.

Na zbliżającą się z wolna Dziwę patrzył spod brwi siwych. Skłoniła mu się do kolan.

— Tyś tu panem i ojcem? — spytała.

— Wizun jestem... Tak...

— Przytułku u was prosić przychodzę — poczęła Dziwa, powstając. — Będę Nii ognia pilnować święcie... Od młodu ślubowałam bogom!

Stary Wizun łagodnie i spokojnie patrzył i słuchał. Dziewczę wymówiło te wyrazy szybko, rumieniec okrywał jej twarz.

— Sierota jesteś? — zapytał.

— Nie... Miałam niedawno ojca i matkę, mam jeszcze braci i siostrę... Kmieć Wisz był mi ojcem — poczęła mówić. — Wisza kneziowscy ludzie zabili...

Wizun zbliżył się, ciekawie słuchając.

---

[33] *Dalemińcy* a. *Glomici* — średniowieczne plemię zachodniosłowiańskie, osiadłe między środkową Łabą a Muldą, należące do Serbów łużyckich. [przypis edytorski]

[34] *Ukrańce* — Ukraińcy. [przypis edytorski]

[35] *Łuczanie* — plemię zachodniosłowiańskie zamieszkujące dorzecze Ochrzy w Kotlinie Czeskiej. [przypis edytorski]

[36] *Drewlanie* — plemię wschodniosłowiańskie. [przypis edytorski]

[37] *Drażdańskie lasy* — Drażdański może odnosić się do Drezna. [przypis edytorski]

[38] *Łużanie* — Serbowie połabscy. [przypis edytorski]

[39] *Warta* — trzecia pod względem długości rzeka Polski, prawy dopływ Odry. [przypis edytorski]

[40] *Bużanie* — plemię słowiańskie zamieszkujące Wołyń i ziemię nad Bugiem. [przypis edytorski]

[41] *Bug* — czwarta pod względem długości rzeka w Polsce, dopływ Narwi. [przypis edytorski]

[42] *czuć się do czegoś* — dziś: poczuwać się do czegoś. [przypis edytorski]

[43] *Wełtawa* — najdłuższa rzeka w granicach Czech, dopływ Łaby. [przypis edytorski]

[44] *Bałtu* — Bałtyk. [przypis edytorski]

— Mnie chciał porwać za żonę sąsiad nasz... Broniąc się, zabiłam go. Nie chcę, aby się jego krwi mścili... Przyszłam tu...

— Zabiłaś? — zawołał zdziwiony stary Wizun — Ty? Zabiłaś? Jak się zwał ten człowiek?

— Doman! — odpowiedziała, rumieniąc się, dziewczyna.

— Doman! Doman! — ręce załamując, rzekł stary. — Ja go nosiłem małym na rękach...

Zmarszczył się Wizun.

Dziwa pobladła, ulękła się, aby ją nie odepchnięto. Stary nie mówił nic, sparty na kiju, milczał, patrząc w ziemię.

— Doman zabity! — mówił do siebie. — Zabity przez dziewkę... Mów, jakeś ty go zabiła! — odezwał się stary.

Dziwa drżącym głosem poczęła opowiadanie, tłumacząc się z tego czynu ślubem swym i popełnionym na niej gwałtem. Wizun pytał, czy wie, że został zabity, nie raniony; nie chciał wierzyć śmierci. Potem zamilkł.

— Pozwólcie mi tu zostać u ogniska! — zawołała Dziwa.

Nie odpowiadał stary długo, myślał.

— Zostań — rzekł w końcu — aleś ty dla nas i za młoda, i za krasna... Ty nie znasz siebie, zatęsknisz... Bądź sobie gościną tylko... Inaczej ja cię nie chcę... Jak ci serce odboli, pójdziesz! O! Pójdziesz!

— Nie! Nie! — rzekła Dziwa. — Zostanę...

Wizun się uśmiechnął smutnie; nic już nie mówiąc, wskazał jej do chramu drogę. Świątynia

Biegła raczej niż szła we wskazaną stronę Dziwa. Tu stał częstokół i wrota. Częstokół był z polan gładko ciosanych, rzezanych u góry misternie w zęby i koła. Wrota też miały słupy drewniane, strojne jak dziewczęta w rąbki, zęby, w pasy, jedne malowane biało, drugie żółto i czerwono. Na daszku nad wrotami wisiały wianki, w części poschłe, w części zielone jeszcze i świeże. Stąd liśćmi zielonymi kosaćca usłana już była droga.

W pniu rzezanym pięknie, u którego stał czerpaczek biały, woda była czysta jak łza, źródlana. Dziwa zaczerpnęła jej i napiła się spragniona.

— Bądź mi zdrowa, wodo święta, wodo nowa! — szepnęła.

Zza wrót wyglądał drugi staruszek, do Wizuna podobny, który się od przychodzącej skrył żywo.

Szła droga pomiędzy dwoma częstokołami naokół, a drugie opasanie chramu było jeszcze ozdobniej z drzewa ciosane.

Wisiały na nim skóry, oręż różny i dary, które składali pielgrzymi. Tą drogą trzeba iść było, szukając wrót drugich. Do tych spinać się musiała po wschodach. Ciemniej tu było, bo drzewa i opasanie światło odejmowało.

Tu już stał sam chram, na gęstych dokoła słupkach drewnianych oparty i okryty dachem gontowym. Pomiędzy słupkami malowanymi czerwono, z żółtymi przepaski, wisiały czerwone sukienne opony[45], zakrywające wnętrze. Ścian nie było.

Trwoga jakaś ogarnęła dziewczynę, gdy zbliżywszy się ku sukiennej zasłonie, podnieść ją miała, aby się dostać tam, skąd już nie chciała, nie myślała wynijść nigdy. Popatrzyła w świat biały, na dzień biały, posłuchała słowików gwaru i ręką drżącą podniosła zasłonę, która zaszeleściła nad jej głową.

Weszła. Tu ogarnęła ją na chwilę noc, bo oczy jej zrazu nic dojrzeć nie mogły. Na tle tylko czarnym płomień błyskał w głębi. Zapach smoły, bursztynu, spalonych ziół, przesycał powietrze ciężkie i ciepłe. Dopiero oczy oswoiwszy, postrzegła kontynę[46], na słupach jeszcze wewnątrz opartą, ciemną, smutną i pustą. Daleko przed nią stały kamienie, które otaczały wolno płonące ognisko. Dym i iskry dobywały się z niego to wolniej, to żywiej i szły ku górze, do otworu w dachu lub wiatrem zwrócone rozchodziły się we wnętrzu budowy. Przy ogniu dwie białe postacie siedziały jakby uśpione czy drzemiące. Ogień

Zza dymu i płomieni widać było na ścianie kontyny coś niewyraźnego, podnoszącego się wysoko, aż pod strop i dach. Była to czarna okopcona postać dziwna, nieforemna, straszna, u której nóg kilka trupich białych czaszek leżało. Obok niej wisiały łuki, oręż, Bóg, Portret

[45]*opona* — tu: tkanina dekoracyjna, gobelin. [przypis edytorski]
[46]*kontyna* — świątynia słowiańska. [przypis edytorski]

noże, jakieś zdobyte łupy, a sam posąg obwieszony był cały niemal sznurami bursztynu i kraśnych[47] kulek, ponizanych[48] na nici. U góry, w głowie potwornej, dwoje oczów, dwa świecące, ogromne kamienie czerwone, jakby krwią gorejące, pałały. Nie widać tam było nic, tylko tych oczów płomienistych dwoje, od których skryć się nigdzie nie było można. Patrzały na wszystkie strony, odbijał się w nich ogień u stóp palący, migotał w czerwonych kamieniach i czynił je jakby żywymi. Wśród ciemności te drganiem płomienia ruszające się oczy bóstwa przerażały jak spojrzenie ze światów innych, groźne i gniewu pełne.

W chramie teraz nic słychać nie było, tylko trzask palącego się łuczywa i świergot ptastwa, które otworami dostawszy się do środka jego, niespokojnie pokrzykiwało, latając, aby się stąd na powrót wydobyć.

Dziwa, postawszy chwilę, bo w niej czerwonych oczów dwoje zrodziło trwogę i odjęły siłę, wolnym krokiem podeszła ku ognisku, myśląc: „Tu więc miejsce moje".

Ofiara

I nie pytając już nikogo, nie patrząc, zbliżyła się aż do dwóch siedzących niewiast, co ogień podsycały, siadła jak one, na pustym kamieniu, wzięła nagotowane łuczywo i położyła je na ognisku.

Jedna z kobiet wstrzymywać ją chciała, lecz za późno się podniosła. Ogień już był objął tę pierwszą ofiarę, na którą Dziwa patrzała, jakby się w niej własne paliło życie. Dwie stróżki tego Znicza popatrzały na nią, ciekawe i trochę przelękłe. Przy świetle ognia mogła dojrzeć ich twarze. Zwiędłe były, smutne i blade.

Przyglądając się pięknej dziewczynie, szeptały coś pomiędzy sobą, jakby litując się nad nią. Głowami potrząsały tylko, nie śmiejąc się odezwać. Zdawały się patrzeć na nią jak na skazaną. Dziwa siedziała spokojna, w ogień wlepiwszy oczy, odpoczywała.

U ognia zmieniały się potem stróżki, Dziwa przesiedziała sama całą noc przy nich, dorzucając po łuczywie. Sen jej nie brał, myślami jeszcze żegnała życie swe dziewicze i domową zagrodę, a czerwone oczy Nijoły przyszłość czyniły straszną.

Tak przeszedł dzień pierwszy i tak samo prawie drugi upłynął. Mogła tylko wyjść za kontynę i odetchnąć świeżym powietrzem. Ale tu skupiały się koło niej stróżki ognia i ciekawie przyglądały się jej, badały, dopytywały, uśmiechając się; zwracali oczy przechodzący pielgrzymi i Dziwa wolała już milczenie swe w ciemnym kątku niż te napaści próżnującej gawiedzi i te pytania bez końca.

Nazajutrz siwowłosa w wianku kobieta spotkała ją też za chramem i zagadnęła o przeszłość; i jej opowiadać się musiała, skąd przyszła i dlaczego, ale ta słuchała roztargniona i nie okazała nawet, czy ją powieść obeszła. Dziwa spodziewała się tu może jakiegoś podnieconego życia, z pieśnią i marzeniem, a znalazła milczenie i ołowiane brzemię na wszystkich tych niewiastach, znużonych ciszą jednostajną, jaka ich otaczała. Bezmyślnie spełniały one posługę przy chramie i dzień schodził na półsennym jakimś osłupieniu, na zdrętwieniu i martwocie. Wieczorem zjawił się stary Wizun, po odejściu siwowłosej kobiety; oczyma prawie gniewnymi mierzył Dziwę i pytał znowu o Domana.

Dziewczę opowiedziało swą przygodę po raz drugi.

Mężczyzna, Kobieta, Przemoc, Śmierć, Hańba

— Domana mi żal — zawołał. — Nosiłem go dzieckiem na ręku, chłopak był odważny, dobry, gościnny... I przyszło mu zginąć nie na wojnie, nie na łowach, ale z rąk niewiasty... Ze sromem[49]!

— A jakżem ja bronić się miała, będąc w jego mocy? — odezwała się Dziwa. — Wolno się bronić dzikiemu zwierzęciu i robakowi nawet, a nie godziłoby się dziewczynie?

Starzec się namarszczył tylko i spojrzał dziko na nią.

— Doman ranny być może, ale zabity... Nie! Nie! To być nie powinno i nie będzie... — dodał.

Chciał, aby mu opowiedziała, jak mu cios zadała, ale Dziwa sama już teraz nie wiedziała, jak się to stało, ani by umiała wytłumaczyć, skąd na to wzięła odwagę i siłę, zmilczała więc.

Następnych dni jakby za karę najcięższą pracę na nią włożono. Musiała drzewo nosić i wodę, zamiatać i myć chram, biegać do źródła, służyć wszystkim. Odprawiono ją wreszcie do tego, od czego w domu była wolna — do gotowania strawy dla innych. Nie zbywało na ostrych słowach i na śmiechu bolącym, i na jakiejś wzgardzie, którą jej starsze okazywały.

[47] *kraśny* — tu: kolorowy. [przypis edytorski]
[48] *ponizany* — dziś: nanizany; nawleczony. [przypis edytorski]
[49] *srom* (daw.) — wstyd; tu: hańba. [przypis edytorski]

Wszystko to przetrwała milcząca, spokojna, z taką dumą, iż niechęć się rozbiła o nią i dziewczęta z poszanowaniem patrzyć zaczęły na tę, która ani skarżyć się nie chciała, ani płakać, ani okazać, że ją boli poniewieranie.

Dano pokój wreszcie, widząc, że znęcanie się nie czyni skutku.

Każdego niemal dnia nadciągały łódkami nowe gromady po wróżby, składając ofiary przed Niją. Dziwa siedziała już u ognia po kolei i bez kolei, a była tu jak doma. Milcząca, mogła marzyć, patrzeć w dym, który w jej oczach różne dziwne przybierał kształty i nie troszczyć się o życie. Dwa razy na dzień z ofiarnych dań i gotowanej strawy zastawiano obiatę dla stróżek i było dostatkiem wszystkiego. Suchych korowajów[50] ostatkami karmiły się niezliczone ptastwa stada, a żarłoczne wróble tysiącami kręciły się przy chramie.

Władza

Dziesięć już dni upływało od tego pamiętnego dnia, gdy Dziwa u ognia zasiadła i pierwszą go drzazgą podsyciła. Była, przybywszy, ostatnią, teraz słuchały jej inne... Panować tu nie pragnęła, przyszło to samo, gdy uczuły wszystkie dziewczęta w niej tę jakąś wyższość, która się narzuca sama i oprzeć się jej nie można. Leniwe i śpiące stróżki ognia same zdały na nią pieczę, staranie, pracę i rozkazywanie. Siedząc, z dala patrzały na nią i strach je jakiś ogarniał, tak miała pańską postać i do rozkazywania była stworzona.

Dziesiątego dnia siedziała u ognia, gdy szmer powstał dokoła chramu i po całej wyspie. Ludzie dokoła biegali, ruch się stał wielki, nagle podniesiono zasłony ze wszech stron i między słupami najbliżej ognia stojącymi ukazał się Wizun w świątecznym ubraniu i kołpaku, a z nim mężczyzna rosły, czerwony, gruby, w czapce z piórem, w płaszczu czerwono naszywanym na ramionach, ze złotymi szlakami, blaszkami świecącymi okrytymi. Świecący miecz wisiał u jego boku. Dziwa, spojrzawszy nań, uczuła w sobie przestrach i trwogę.

Ten czerwonolicy, z dziko patrzącymi oczyma człowiek, podobny do zwierza, który wyszedł z puszczy, z usty skrzywionymi szydersko, obudzał w niej wstręt i odrazę niewysłowioną. Byłaby uciekła, gdyby mogła.

Stanął on, nie zdejmując kołpaka, ani się pokłoniwszy, naprzeciw ognia i bałwana[51] Nijoły, patrząc nie na świętości, ale na pilnujące Znicza dziewczęta. Długo je oczyma przechodził, zatrzymał wzrok na Wiszowej córce i już go od niej nie zwrócił. Poszeptał coś staremu, który głową potrząsł. Chwilę się wzdragał. Mężczyzna stał uparcie, dwa razy po ramieniu uderzył starego i pchnął go wewnątrz chramu nakazująco.

Obrzędy, Los

Stary, wahając się, zbliżył się powolnym krokiem ku Dziwie, pochylił ku niej i rzekł cicho:

— Kneź to jest miłościwy... Chce, żebyś mu wróżyła.

— Wróżyć nie umiem — odpowiedziało dziewczę. — Wróżby nakazać nie można, ona przychodzi zesłana od duchów... Ja wróżyć nie umiem...

W tej chwili z drugiej strony zbliżyła się siwowłosa Nania i odciągnęła na stronę dziewczynę.

— Wróż mu — rzekła. — Ja cię zielem upoję... Wróż mu... Wróż mu wszystko złe, bo człowiek niedobry... Wyniesiem kadzidło, dym cię upoi... Mów... Mów mu śmiało, co myśl przyniesie... On się nie waży uczynić ci nic złego...

Obrzędy

To mówiąc, stara dobywała suche ziele i garnek z węglem nabranym z ogniska postawić kazała na ziemi. Rzucono ziele na nie i dym gęsty, przykry, gryzący otoczył pochyloną dziewczyną. Trzymano ją nad nim długo. Czuła, jak się jej zmąciły myśli, jak z kłębów dymu rosły jej w oczach dziwne jakieś kształty, jak traciła przytomność i zdawało się jej, że na świat inny przeniesiona została. Na głowie ciążyło brzemię jakieś straszne... Krwawe smugi na czarnym tle, jasne błyskawice, kłęby dymu, smoki i gady, i ludzie potworni, karły, i olbrzymy, wszystko to razem wirowało jakby przed drugimi oczyma upojonej. Dwie stróżki ją podtrzymywały, inaczej paść by była musiała omdlona. Lecz słabość ciała razem szła z olbrzymią myśli potęgą. Czuła się śmiałą i gardzącą niebezpieczeństwem, panią i królową...

W tym upojeniu powoli wiedziono ją przed knezia, który, cofnąwszy się poza słupy kontyny, stał pod częstokołem, oparty oń, z szyderską twarzą.

---

[50] *korowaj* — rodzaj obrzędowego pieczywa. [przypis edytorski]

[51] *bałwan* — tu: posąg bóstwa pogańskiego. [przypis edytorski]

Dziwa wpatrzyła się w to oblicze dzikie, wykrzywione, straszne, z taką siłą wzroku, że kneź spuścił, mrucząc, oczy przed nią i zadrżał.

— Będziesz mi wróżyła — mruknął cicho.

— Będę wróżyła — poczęła Dziwa, która czuła, że jakaś siła zmusza ją do mówienia. — Będę ci wróżyła...

Dwoje dziewcząt postawiło przed nią wiadro wody świętej, spuściła oczy na nią. W wodzie odwrócona odbijała się twarz szkaradna Chwostka, a obok niej, w dymach, którymi ją ciągle okadzano, krążyły najdziwniejsze postacie.

Kneź patrzył — zrazu szyderski, teraz bledniejąc i jakby przelękły; ręką się opierał o częstokół, a widać było, jak drżał.

Obok niego stojący Wizun oczyma nakazującymi, których nie spuszczał z dziewczyny, zdawał się jej dyktować, co mówić miała.

Chwila milczenia poprzedziła urywanymi słowami wyjąkaną wróżbę.

Los, Krew

— Ciemno! Ciemno! Nie widzę nic... — mówiła. — Czerwona struga, jakby płynęła krew, ciągle krew... Wszędzie krew... Po rzece tej płyną trupy białe, jeden, drugi... Więcej jeszcze, białe ich oczy nie widzą i nie patrzą... Płyną, płyną, przepłynęli... Krew znowu, kubki po niej pływają, miecze po niej migają... Słyszę wołanie: „Krew za krew!". Na rzece płynie wyłupionych czerwonych oczów dwoje i patrzą na mnie... Na stosie leży starzec zabity, na śmiecisku pod stołbem młodzieniec, na jeziorze pozarzynane męże, wołają: „Krew za krew!". Psy wyją i kruki kraczą... Krew za krew!

Kneź rzucił się, aż częstokół za nim zachrzęszczał i miecz mu zadzwonił u boku.

— Ty wróżbitko przeklęta — krzyknął. — Będziesz ty mi patrzała i mówiła inaczej!

— Nie mogę... Mówię, co mi duchy każą i ukażą... Kneź stoi na świetlicy... Wysoko... Dołem ludzie się gniotą, biją, mordują... Słyszę szmer, wrzawę, ciągną gromady... Na granicy wrogi, w domu swoi się miotają... Na gród! Na stołb! Krew za krew! Gród się pali... Płonie, gore... Walą się dachy i ściany... Krzyk i wołanie... Popiołów kupa... Góra trupów... Kruków chmura czarna... Siadły, krakają... Żrą serca od ciała... Gdzie ścierw niedogorzała... Krew za krew!

Ciemno się zrobiło w oczach dziewczynie i osłabła osunęła się jak senna na ręce stróżek, które ją trzymały. Kneź stał blady i drżący, pięści cisnąc, usta otworzył i zębami jak zwierz dziki grozić się zdawał. Nogą wiadro pchnął i wywrócił, woda święta popłynęła po ziemi. Dziwę wniesiono omdlałą do chramu. Chwostek stał milczący, wściekły.

Stary Wizun, sparty na kiju, obok niego spokojnie czekał.

— Przeklętą dziewkę związać i osiec[52]! Do lochu! Do jamy! — krzyknął Chwostek. — Nauczy się wróżyć inaczej...

Na to nie było odpowiedzi, zasłona kontyny spadła, a dziewczęta drugą stroną Dziwę wynosiły na powietrze. Kneź się chciał zwrócić do swoich pachołków, ale ci gdzieś daleko zostali.

Stary spoglądał nań.

— Uspokójcie się, miłościwy panie — rzekł. — Kto chce wróżby, musi ją cierpieć, jaką duchy dały... Dziewczyna jej niewinna.

Byli sami i Wizun zbliżył się, wcale nie zdając zlękniony.

— Miłościwy kneziu — dodał — dosyć macie niechętnych i zażalonych, nie róbcie ich więcej, targając się na to, co niejedne Polany szanują... Miejsce święte i dziewczyna poświęcona...

Chwostek się rozśmiał dziko, przystąpił do starego i drżącą od gniewu dłonią pochwycił go za brodę, trzęsąc nią.

— Ogień święty, dziewka poświęcona! Ty także... Stary... Psi synu... Ja wam ognie pogaszę, ja wam dziewki wasze rozpędzę i chram ten zrównam z ziemią...

Stary nie pobladł nawet, milczał obojętny, ręka kneziowi opadła.

— Jakby piorunów nie było — odezwał się spokojnie — moglibyście czynić, co chcecie... Ano pioruny padają i duchy bronić się czym mają... Nie szukajcie, kneziu, wojny z bogami, gdy jej dość z ludźmi mieć będziecie.

[52]*osiec* — wychłostać. [przypis edytorski]

Chwostek nie odpowiedział nic, zerwał się z miejsca i poszedł prędko, bijąc się w pośpiechu to o jedną, to o drugą ścianę częstokołu. Wracał do swych ludzi. Wizun pozostał we wrotach i patrzył, na kiju sparty.

Ludu tego dnia około kontyny było mnóstwo, a gdy kneź podniósł głos groźny i wykrzykiwać począł, rozległo się to daleko. Posłyszeli ludzie, jak groził chramowi i ogniowi, i, nim uchodząc zdążył się dostać do swoich smerdów i służby, dokoła rozległo się szemranie, mruczenie tłumu, który szumiał jak morze... płacząc, narzekając i grożąc zarazem. Niewiasty uchodziły przelękłe i kryły się w zarośla.

Gdy Chwostek dostał się do kamiennego koła, opasującego chram, gromady się już zbijały i szły, jakby mu chciały zastąpić drogę.

Czy stary Wizun skinął na nie czy posłał do nich, aby popłoch rzucić i do obrony obudzić — nie wiadomo, lecz co żyło przybyszów na Lednicy, kupiło się, biegło naprzeciw Chwostka. Kupy stawały i zapierały mu drogę groźne. Ludziom swoim, skinąwszy na nich z dala, kazał je rozpędzać, ale ludzi rozpędzono. Oko w oko stał przeciw tej czerni nieznanej — nieulękły. Tłum warczał — ani on do niego, ani on do tłumu przystąpić się nie ważył. Wtem z gromady wyszedł człek podżyły[53], ubrany dostatnio, zbrojny z niemiecka.

— Miłościwy kneziu — rzekł mu — ja tu do chramu przyszedłem, nie wasz jestem! Nie z waszego miru! Grozicie chramowi i ogniowi, a prawa do nich nie macie. Kontyna i ostrów nie należą do was, ale do nas wszystkich, Wilków, Serbów, Łużan, Drewlan i co jest naszej mowy. Nie ważcie się tykać chramu ani ognia, bo my się też ważyć możemy na wasz gród i stołb!

Podniósł rękę do góry, a tłum za nim zahuczał, potakując i grożąc.

Chwostek stał, ściskając w ręku miecz, jakby go ochota brała porwać się samemu na nich wszystkich, ale on i ludzie jego nie starczyliby z najlepszym orężem i odwagą na te gromady tysiączne.

Namarszczywszy się więc, pogroził ręką i usty.

— Precz mi z drogi!

I ruszył się sam, pierwszy, tak śmiało, tak pewny, iż go nikt nie tknie, jakby go wojsko broniło. Tłum mu się rozstąpił na dwie strony, za nim co żywiej cisnęła się dwornia. Tę popychano zewsząd, a stęknąć nie śmiała. Wolnym krokiem, nie oglądając się, przeszedł kneź wśród tego gminu, który dopiero za oddalonym krzyczeć zaczął szydersko:

— Chwościsko! Chwostyk! Chwost!

Parę razy obrócił się, jakby sam jeden na cały ten tłum chciał się rzucić, lecz się poskromił z gniewem.

Tuż u brzegu stała łódź wielka, czekając na pana, za nim biegiem pędzili ludzie gniewni i zasromani, nie śmiejąc rzec słowa, a za nimi wciąż goniło wołanie i śmiechy:

— Chwostyk! Chwościsko!

Burza

I jak gdyby rozgniewana Nija chciała się pomścić zniewagi, w tejże chwili chmura czarna, niesiona wichrem wieczora, jak ogromne cielsko smoka przewalając się po niebie, poczęła, warcząc, nadbiegać nad jezioro.

Pod nią widać było szare pasy gradu, siekące pola i lasy, a w głębi jej szumiało głucho, jakby toczyła wory kamieni, gotowe runąć na ziemię. Pioruny z trzaskiem leciały w jezioro, wicher giął drzewa do ziemi, wyrywał je z korzeniami i miotał nimi jak pióry ptasimi. Gdzie piasek suchy spotkał na wybrzeżu, chmurę z niego płową czynił, gęstą, nieprzejrzaną, wlokąc ją za sobą.

Burza nie dała kneziowi siąść do czółna; kto stał, przyległ do ziemi, okrywając głowę, i czekał, aż bóg piorunów przejdzie nad nią. Wioślarze w barce u brzegu ukryli się na dno. W chramie Nijoły błyskawice wśród ciemności ognia świętego blask gasiły, dym napełniał kontynę, iskry leciały na opony; czerwone oczy posągu błyskały, jakby ciesząc się zniszczeniem. W dali piorun bił po piorunie; na jeziorze fala spieniona uderzała o brzeg i rozlewała się po ostrowiu daleko.

Ziemia zdawała się trząść pod nogami ludzi. Kneź drżał otulony płaszczem i mruczał. Kto by był zbliżył się doń, usłyszałby na przemian modlitwę do Peruna[54] i do krzyżyka,

[53]*podżyły* (daw.) — w podeszłym wieku. [przypis edytorski]

[54]*Perun* — słowiańskie bóstwo gromowładne oraz jedno z czołowych w panteonie słowiańskim. [przypis edytorski]

który miał na piersi. Stary zabobon i nowa wiara stały w nim na równi... Kłaniał się nowemu bogu, lękając się jeszcze tych, których nie śmiał porzucić.

Wycie i świst wiatru w uszach jego zdawały się powtarzać zelżywe Chwostka przezwisko, dusza mu zemstą kipiała.

— Wszystkie to plemię w pień niech wytną — wołał wzburzony. — Niech je w niewolę uprowadzą, niech orzą nimi... Niech przychodzą Sasi, niech niszczą... Jaszczurczy ten ród i tych kmieci wygubić trzeba...

Gdy Smerda po przejściu burzy strasznej przystąpił do leżącego knezia, o mało go jeszcze wściekły Chwost nie przebił mieczem, zapomniawszy się, gdzie jest. Dopiero poznawszy twarz sługi, ochłonął.

— Miłościwy panie — odezwał się Smerda — burza się przewaliła... Jezioro się gotować przestało... Słońce zza chmur spogląda... Fale się układły... Płyńmy z tego przeklętego ostrowia, na którym czary, wiedźmy i czarownicy panują... Nie kto inny, tylko ci guślarze nawołali i naprowadzili gromy... Grad nam ludzi pokrwawił. Kto wie, co z końmi na drugim brzegu się dzieje?

Kneź wstał z ziemi, tchnął i poszedł do łodzi zasępiony, usiadł w nią, a wioślarze odbili od brzegu. Szybując po ciemnych wodach, wkrótce odsunęła się od ostrowa daleko.

Zza krzaków patrzył stary Wizun i przelękłe kobiety, coś mrucząc, jakby słały za nim przekleństwa.

Stara z rozpuszczonymi włosami rwała trawę i szybko coś szepcząc, rzucała ją w stronę, w którą łódź popłynęła. Rzucała garściami piasek i pluła.

Dziwa blada, osłabła, sparta na rękach, ledwie otrzeźwiona, drżąca siedziała przy ogniu nieruchoma, jakby ją jeszcze dręczyły te duchy, które mówiły przez nią.

Wtem słońce wyszło zza chmur i promień jego padł przez rozsuniętą zasłonę do wnętrza chramu, złotym pasem kładąc się u nóg dziewczyny, która, patrząc nań, uśmiechnęła się, jakby mowę niebios zrozumiała.

Na dachu kontyny gruchały gołębie, w krzakach znowu śpiewały słowiki, a ponad łodzią knezia leciało kruków stado, to wzbijając się do góry, to opadając na dół, jakby kołpaki z głów pozrywać im chciało.

IV

Na kneziowskim grodzie do późna czuwali ludzie, pana miłościwego nie było. Biała pani siedziała w swej świetlicy i dumała, powołując do siebie to sługi, to podskarbiego, to służące. Niekiedy z siedzenia zrywała się niespokojna, szła do okna, to do drzwi, a słała pytać czy pan miłościwy nie wrócił, czy go gdzie widać lub słychać nie było.

W pierwszym podwórcu stali też i czekali ludzie, drudzy pokładli się ze znużenia.

Czekali, nie mogąc się go doczekać — kędyś ponad lasami przeciągnęła burza z hukiem i trzaskiem i poszła. Potem słońce zza chmur obejrzało się krwawo i znikło, ciemności jak całun opadły na ziemię, knezia jeszcze nie było.

Na grodzie kłaść się spać nie śmieli, nużby ich nie zastał na nogach i pogotowiu, dopiero by chłostać kazał!

Co chwila Brunhilda słała pacholę, a pacholę wracało z tym samym. — Ani widu, ani słychu.

Wiatr

Wiatr się poniósł po lasach i jeziorze, poobrywane chmury biegać zaczęły po niebie, jakby się goniły i zbierały, aby drugą burze zrobiły. Pomiędzy słupy, ściany i częstokoły wpadając, Pochwist[55] wył i śmiał się, aż psy ze strachu zrywały się, by mu wtórować.

U miłościwej pani pozasuwano okiennice, pozatykano okna oponami, dachy się trzęsły i trzeszczały, wicher rechotał.

Aż około północka koło mostu i wrót zahuczało, zatętniło, rozległo się po grodzie — kneź jedzie.

Wnet słonionymi[56] przejściami popod słupy przemknęła się kneźna biała, wychodząc przeciw panu swemu. A szła zagniewana, lecz wszedłszy do świetlicy, zastała pana, któremu obmokłe suknie ściągano, gniewniejszym, niż ona była.

[55]*Pochwist* — bóg wiatru i niepogody w mitologii słowiańskiej. [przypis edytorski]
[56]*słoniony* — osłonięty; słonione przejścia: podcienia. [przypis edytorski]

Spojrzeli po sobie i nie witali się. Kneź pięścią w stół bił i mruczał — miodu sobie podawać kazał. Głodny był, spragniony a zły... Przekleństwami miotał, aby wszystko sczezło i szło na wskroś ziemi[57].

Brunhilda stała, założywszy ręce, ruszając ramionami. Ludzie się porozbiegali.

— Północ już przeszła, a pana miłościwego doczekać się nie było można.

— Milcz, sroko! A nie pytaj... — krzyknął kneź. — Abym nie mówił, bom wściekły, a gdym wściekły, nie znam nikogo!

— Ani żony?

Zamruczał coś tylko.

— Zwać mi jutro Hadona!

Chwycił się za głowę, targając włosy rozczochrane, a ze złości rwąc je palcami.

— Hadon jutro do Sasów, do waszych niech jedzie... Niech tu ciągną... Niech idą... Niech palą, tępią, gnębią... Niech tę ziemię ogniem puszczą całą. Wszak gdy nowiny[58] trzebią na pole, aby zboże rodziły, wprzódy je czyszczą siekierą i płomieniem. I tu nic nie będzie, póki siekiera i płomię[59] nie zniszczy tych plugawych chwastów.

Uśmiechnęła się blada pani.

— Wiedziałam ja to dawno, mówiłam dawno — rzekła. — Tylko Sasi im radę dadzą. Ty ich sam nie zmożesz ze swymi smerdami, ich tu siła[60]. Zdrajcy wszyscy kmiecie, żadnemu wierzyć nie można.

— Na jutro wołać Hadona — powtórzył kneź — ale milczeć, że posłany i dokąd. Rankiem niech wyjdzie pieszo, konia weźmie ze stadniny, niech jedzie ze znakiem ode mnie. Pierścień niech powiezie.

Biała pani, głaszcząc go po głowie, potakiwała.

— Odpoczywaj no spokojny, ja go wyprawię sama. Nim dzień wejdzie, będzie w drodze, ale czasu dużo spłynie, nim te puszcze przejedzie wskroś i za Łabę się dostanie, nim oni się tam ruszą, nim wyciągną, nim się przedrą tutaj. A tu...

Kneź spojrzał na nią.

— Tutaj oni knują i zmawiają się, wiece gromadzą, po nocach przy łuczywach radzą, po lasach się zbierają, dwory objeżdżają, gońców sobie posyłają. Śmieję się ja z tego, mam dosyć ludzi, gród mocny i wieża wytrzyma, jezioro obroni, a we spichrzach pełno, zasieki po brzegi nasypane. Choćby ta dzicz obległa, jeszcze bym się opędził tej psiarni, a oblec mnie nie śmieją.

Zaczęli szeptać ciszej — kneźna siadła tuż przy nim, podparta na ręku. Przynieśli mu mięsiwa misę, które począł rwać palcami, i kubek miodu, który wypił tchem jednym.

Potem służbę rozpędził; zamiast czekać do jutra, kazał wnet przywieść Hadona.

Sługa, Niemiec, Szpieg

Hadon był Niemiec, ale wyleniały, nauczył się na dworze mowy ludzi, nałamał do ich obyczaju, a choć w nim natura wilcza została, nie bardzo go poznać było można od drugich, gdy szpiegował, mieszając się w tłum, aby donosić pani.

Wszedł chłopak smukły, ulubieniec miłościwej pani, którego we dworze lękali się wszyscy. Gdy knezia w domu nie było, on białą panią, siedząc w sypialni po dniach całych zabawiał, brała go z sobą, gdy jechała, obejść się bez niego nie mogła. Kneź go też lubił, bo mu się jak kot łasił. Gdyby nie twarz piegowata i blada, nie byłby brzydki. Włos też miał krwawoczerwony, ale obfitymi spadający puklami.

— Hadon! — zawołał, zobaczywszy go, kneź. — Zbliż się tu... Jutro ruszysz do dnia w drogę tam. — Wskazał na zachód ręką. — Jedź do starego, powiedz, niech mi swoich śle. Cierpiałem dość, skończyć trzeba z kmieciami. Niech da ludzi, ile może, ale zbrojnych; to tłuszcza dzika, bezbronna, rozpędzi ich garść Sasów.

Hadon podparł się ręką na stole, patrzał ukradkiem na kneźnę, a ona mu zza męża oczyma znaki dawała.

— Pierścień na znak weźmiesz u pani, pokażesz, by dali wiarę. Stary wie, co on znaczy... Ciągnąłem długo... Dziś... Tak lepiej, niech idą... Niech przychodzą.

---

[57] *iść na wskroś ziemi* — zapaść się pod ziemię. [przypis edytorski]

[58] *nowina* — grunt wykarczowany pod nowe pole uprawne. [przypis edytorski]

[59] *płomię* — daw. forma r.n.; dziś r.m.: płomień. [przypis edytorski]

[60] *siła* (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

— Miłościwy panie — rzekł Hadon z pokorą — ślepy by chyba nie widział, na co się zanosi; po lasach się kupią[61], narady czynią, kto wie, czy nasi pośpieją[62]?

Rozśmiał się Chwostek.

— Hej! Twarde zęby trzeba mieć, aby gród ukąsić — rzekł. — Niechby je sobie na mitrze poszczerbili trochę, nadciągniecie z odsieczą w czas. Ja się ich na grodzie nie boję. Znam tych psich synów, warczą oni więcej, niż kąsają, odgrażają się i krzyczą. Gdy się ich siła zbierze, gotowi by gołymi rękami na jeża, ale po dziurach się rozlezą i spać będą.

— Miłościwy panie — szeptał Hadon — pewnie tak jest, jak mówicie, ale tu nie ufać nikomu, nawet swojej drużynie.

Zmarszczył się kneź.

— Smerdów pewny jestem, a motłoch grozą się trzyma, tego się nie boję.

Rozśmiał się i popił pan miłościwy. Hadon szeptać począł, o czym tego dnia między ludźmi się rozwiedział. Mówił i on, że po zagrodach jeżdżono, że sobie na uroczyskach nocą schadzki czynili kmiecie, że po chatach niektórych nieustannie kręcili się posłańcy jakby z wiciami, że starostów jakichś wybierano.

Kneź głową pogardliwie rzucał.

— Niech gadają, niech radzą, krzyczą i trzęsą dzidami; więcej oni nie zrobią nic nad wrzasku wiele. Ano plemię to zuchwałe raz przetrzebić potrzeba i rogów mu przytrzeć. Na to się Sasi zdadzą. Jutro w drogę, Hadonie.

Chłopak ku pani białej spojrzał znowu z ukosa, głowę spuścił, ręce na piersiach złożył i tyłem się wycofał z izby.

O bytności swej na Lednicy kneź nie rzekł i słowa, ludziom też o tym milczeć przykazawszy, ci jednak nie wytrzymali i półgębkiem strach nieśli.

Nazajutrz cicho było na grodzie. Kneź na dzień zaspał, biała pani przędła i śpiewała, pędzając swe sługi. Dzień chmurny był, deszcz poprószał. Około pół dnia dopiero kneź się wywlókł na podsienie i na świeżym powietrzu na ławę legł. Psy go obsiadły, pił, drzemał, pędzał je, kopiąc nogami a chleb im rzucając na przemiany.

Bunt

Z południa na haci u mostu stanęła konnych gromada, domagając się do knezia przystępu. Kmiecie byli, żupani i władycy, starszyzna i znaczniejsi po mirach.

Przybiegł Smerda, znać o nich dając — coś ta gromada już buntem pachniała i Chwostek, obudziwszy się, groźnie brwi namarszczył.

— Puścić ich tu — zawołał na Smerdę — wrota obwarować, a bez woli mojej nie wypuszczać stąd nikogo. Niechże przychodzą, zobaczymy, z czym idą.

Wstał z ławy, na której leżał, siadł, psy spędził z podsienia w podwórze.

Wrotami wchodziła poważna gromada starych ludzi, poubieranych świątecznie — kołpaki na głowach, obuszki u boku, miecze u pasa. Chwost zmierzył ich i policzył oczyma, którzy byli. Tych, do których miał ząb[63], nie znalazł, bo ich gromada na zamek puścić nie chciała, a kneź ich najmilej by był powitał, aby na wieżę posadzić. Śmiało szła ta garść ludzi, trzymając się razem. Od mostu i wrót do przedsienia, gdzie kniaź siedział, w boki się podparłszy — był kawał drogi.

Wzrok

Chwost na nich począł patrzeć, oni na niego. Szli krokiem mierzonym z głowami podniesionymi, oczy w nim topiąc śmiało — on też, nie ustępując im, niezlękniony, tak samo się w nich urągliwie wpatrywał.

Nim do siebie przemówili, nim ci się mu pokłonili, nim on im oddał pozdrowienie, nim słowo zamieniono, już sobie wzrokiem z obu stron wszystko to niemal powiedziano, co na sercu leżało.

Kmieciów oczy mówiły, że ze skargą szli i z żalem, pewni swojego prawa — wzrok knezia szyderski i gniewny odpowiadał wręcz, że ich precz odepchnie.

Tak czasem w lesie dzikich zwierząt dwoje, nim się rzucą na siebie, oczyma się mierzą, odwagę sobie chcąc odebrać nimi.

Szli. Na przedzie gromady starszy z Myszków postępował, średniego wieku mąż, wyrosły jak dąb, ramion szerokich z głową kudłatą i brodą czarną rozwianą. Rękę trzymał za pasem, a u pasa toporek miał i mieczyk. W niego patrząc jak na wodza, szli inni.

---

[61] *kupić się* — gromadzić się. [przypis edytorski]

[62] *pośpieją* (daw.) — zdążą. [przypis edytorski]

[63] *mieć ząb do kogoś* — być zawziętym na kogoś; żywić do kogoś urazę. [przypis edytorski]

Gdy się wreszcie przybliżyli do przedsienia, Myszko trochę głowy pochylił, kołpaka dotknął i ręką pozdrowił. Kneź ledwie się ruszył, już mu gęba z gniewu drżała.

— Myśmy tu do was przyszli — odezwał się Myszko — po sprawie, po starej kmiecej sprawie. Chcecieli[64] nas posłuchać?

— Mówcie... Słucha się przecie wszystkiego: i kruków, gdy kraczą, i puchaczów, gdy huczą, i psów, gdy wyją. Posłuchamy i waszego głosu.

Myszko po swoich rzucił okiem i zobaczył, że stali niezlęknieni wcale.

— Źle z nami poczynacie — odparł — równając nas ze zwierzęty, ludzieśmy przecie jako wy. Władza, Wolność

— Jako ja? — rozśmiał się kneź. — Toście wy źle poczęli, bo ja tu równych nie znam krom[65] mojego rodu.

— Znacie czy nie — odparł Myszko — a czuć ich trzeba będzie. Jeszcze my dziś do was ze słowem przychodzimy, może być rada, nie zwada... Nam kneź i wódz potrzebny, dlategośmy waszych posadzili na grodzie i daliśmy im czasu wojny moc nad sobą. Chcieliśmy, aby kneź u nas silny był przeciw wrogów naszych i ziemi nam bronił. Ale nie na tośmy mu siłę dali, aby nam karki nią łamał. Wy, kneziu, o tym zapomnieliście, a chcecie nas zakuć w niewolę. Ano, my ci się nie damy. Mówimy ci, porzućcie to lepiej, a idźcie z nami na jedną rękę[66].

Zamilkł Myszko. Chwost, który, słuchając, cały wrzał i rzucał się, wstał z ławy, rozprostował się i począł się śmiać ze złości. Było to jego zwyczajem. Białe zęby wyszczerzył, po wargach mu piana ciekła... Pięść podniósł do góry. Śmiech

— Wy mnie rozumu uczyć będziecie! Wy? — krzyknął. — Wyście to mnie tu posadzili, gdzie ja siedzę? Na grodzie tym ojciec mój, dziad i pradziad, i praszczury moje siedzieli, a siłę tę dzierżyli, którą ja mam i z której na włos nie puszczę. Wam się po staremu dzikiej swawoli zachciewa, a ja tej nie dam; chcę posłuchu i będę go miał.

Myszko i drudzy wysłuchali cierpliwie.

— My ci w sprawiedliwych rzeczach posłuchu nie odmawiamy — zaczął Myszko. — Co słuszna, dajemy, ano na niewolę niemiecką obrócić się nie damy. Wam to smakuje, co się u nich dzieje, bo to naród łupieski, a kędy wojna, tam musi być niewola. My wojny nie lubimy, bronimy się gdy nas napadają, to mus, a nikogo nie napastujemy, ale swobodę miłujemy. Granice u nas spokojne.

Kneź stał, jakby nie słuchał, oczyma ich liczył.

— Co więcej? — zapytał.

— Twoje smerdy i dworaki naszą młodzież zabierają, dziewkom i niewiastom gwałty czynią, stada z łąk zagarniają, spasają stogi, wypalają lasy, pola niszczą. Tego my nie ścierpimy. Masz wyznaczonej ziemi dosyć.

Chwost się po podsieniu przechadzał, czasem o słup oparł, to znów chodził.

— Co więcej? — zapytał.

— Więcej? — wtrącił drugi z Myszków, który od dawna się już poruszał, jakby mówić chciał, i buchnął teraz nagle. — Więcej? Gdyby się nam usta otworzyły i wszystko przez nie poszło, co w nas siedzi, na długo by stało. A kto tu na tym grodzie naszą brać popoił, odurzył, że się pozarzynali, i trupy ich jak psów do jeziora kazał rzucać? A mało u ciebie naszych w lochu pod wieżą gnije i zgniło?

— Ja ci powiem więcej! — zakrzyczał trzeci. — Ty z Niemcami, wrogami plemienia naszego, trzymasz za jedno. Od nicheś sobie zdradną dziewkę wziął, do nich ślesz, z nimi się wąchasz. My to wiemy, my wiemy!

I rękę podniósł groźnie.

W tłumie gwar się rozpoczynał coraz żywszy, każdy się z mową wyrywał i słowa leciały nieopatrzne, a pieści ścieśnione występowały ponad głowy — kneź chodził, słuchał, zębami zgrzytał i śmiał się.

Oczyma na stojącego w dali Smerdę rzucał jakoś dziwnie.

---

[64] *chcecieli* — czy chcecie (daw. forma czasownika z partykułą -li). [przypis edytorski]

[65] *krom* (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

[66] *iść z kimś na jedną rękę* — iść w tę samą stronę, zgodnie współdziałać. [przypis edytorski]

Tuż za gromadą kmieci, po jednemu sunąć zaczęli się ludzie, skupiać i obsadzać przejście z tyłu. Wszyscy z oszczepami i topory. Z początku w gorączce nikt nie zważał na to, aż Myszko, obejrzawszy się i obaczywszy ten zastęp, odezwał się.

— Cóż to ma znaczyć? Czy i nas myślisz tu zabrać w niewolę? Myśmy tu przyszli do ciebie od wiecu, z woli mirów, a stanie się nam co, będzie z tobą gorzej jeszcze.

Walka, Przemoc

Nie odpowiadając nawet na pytanie, Chwost krzyknął do Smerdy:

— Wiązać ich! Dyby[67] i pęta! To moja odpowiedź.

Lecz nim czerń zdołała się rzucić na nich, już Myszko, wpadłszy do przedsienia, chwycił knezia za bary. Jęli się mocować, to w jedną to w drugą zataczając stronę. Czeladź, zamiast bronić, stała onieśmielona tym zuchwalstwem.

Wśród ciszy słychać było tylko sapanie obu i miotane przekleństwa, potem łomot, gdy na dyle[68], którymi był wyłożony pomost podsienia, padli oba. Kneź był pod spodem, Myszko siedział na nim, gniotąc go. Działo się to przeciw drzwi samych, które się nagle otwarły i biała pani z rozpuszczonym włosem wbiegła z krzykiem, nóż trzymając w ręku. Pochyliła się nad Myszkiem i poczęła mu szyję rzezać, aż krew na słupy trysnęła. Rzucili się kmiecie ratować go i wnet powstała wrzawa ogromna, bo z tyłu nadbiegła dwornia z wrzaskiem na nich.

— Bij! Morduj! Życia nie dawaj! — wołano.

Kmiecie bronili się dzielnie. Myszko, któremu krew się z szyi lała, zerwał się i stanął na nogi, odcinając jeszcze, drudzy też odbijali razy, ale widząc przewagę, w kupę się zbili i szli nazad ku wrotom, broniąc pachołkom. Na całym grodzie krzyk powstał straszny, tuż i strzały świstać poczęły. Ludzie, co na wieży byli i w dziedzińcu, nie śmiejąc zbliżyć się do zrozpaczonych kmieci, strzelali z góry i z dala, kamienie z proc na nich ciskali, a strzały więzły tu i ówdzie w twarzach i szyjach. Krew ciekła obficie. Jednakże dopadła gromadka do wrót zapartych, nacisnęli je i wyłamali. Padły z trzaskiem, waląc się na ziemię. Tuż u mostu dwornia jeszcze kupą stała, co z kmieciami przybyła; zobaczywszy swych panów w niebezpieczeństwie, posunęła się w obronie ich, wołając i krzycząc żałośliwie. Z jednej i drugiej strony walczono zacięcie, tu była kupka niewielka, tam motłoch bez wodzów niezdarny. Niegotów do waśni, bo się jej nikt nie spodziewał, a życia tak bardzo nastawiać nie miał ochoty — głośno ujadał tylko, a nie nacierał zbyt silnie. Więcej czynił wrzawy niż ran. Sam Chwost biegł z nimi, ale późno się zerwał. Gawiedź nie potrafiła kmieciów odciąć od ich koni i czeladzi, tak że wśród tego zamętu dopadli, broniąc się, do haci[69], do mostu i do koni — a tu gdy raz się znaleźli i dosiedli ich, Myszko skrwawiony pięść tylko podniósł i krzyknął:

— Zabraliście się z nami do wojny, to ją będziecie mieli!

Wtem krew płynąca tak uszła, iż go słabnącego dwóch chwyciło pod ręce, bo się słonił[70] i na ziemię padał.

Tak podtrzymując go i tamując krew uchodzącą, kmiecie zaraz od zamku precz jechali z odgróżkami i narzekaniem wielkim.

Chwostek szalał, że ich puszczono, że się im wybić dano. Ludzi swych wnet wieszać chciał za to, że go nie bronili w czas i kmieciom żywym ujść dali z grodu. Smerdowie ich tuż na placu smagać poczęli prętami i biczami.

Biała pani z nożem zakrwawionym w ręku stała na podsieni i palcami tchórzów wytykała, wywołując po imieniu.

Chwostek też, przypadając do niektórych, własną ich siekł ręką.

Nierychło się uspokoiło, zamek cały do późna jęczał i płaczem się rozlegał. Dopiero gdy sił do bicia i znęcania się nie stało, dano pachołkom spocząć i pochować się potłuczonym po kątach.

Kneź i żona pomiarkowali też, iż nie czas było się srożyć, gdy lud co chwila potrzebny być mógł dla obrony.

I tak jak za owych czasów bywało często, wnet po srogiej karze nastąpiło przejednywanie — kazano dla pobitych wytoczyć beczki z piwem i baranów im parę kneź posłać

[67]*dyby* — służąca do unieruchamiania więźniów kłoda drewna przecięta na pół, z wycięciami (po pół otworu w każdej z połówek kłody) na nogi, ręce, często też na ręce i szyję naraz. [przypis edytorski]

[68]*dyl* — gruba deska lub bal z drewna. [przypis edytorski]

[69]*hać* — grobla z pni i gałęzi drzew. [przypis edytorski]

[70]*słonił* — dziś: słaniał. [przypis edytorski]

kazał. Tak radziła biała pani. Jęczący jeszcze powlekli się do kadzi, czerpać z nich poczęli i grzbiety posieczone wycierając, śmieli się jedni z drugich. Smerdowie tymczasem z resztą czeladzi połamane wrota na nowo stawili, hać i most opatrywali.

Na ławie w izbie leżał Chwostek, który, padając na dyle, także sobie utłukł kości — jęczał i przeklinał. Nad nim siedziała biała pani i patrzała nań z pewnym politowaniem, a niemal pogardą.

Władza, Podstęp, Kobieta, Mężczyzna, Siła, Rozum, Niemiec, Polak

— Sameś sobie winien, miłościwy panie — mówiła — trzeba mnie słuchać było. Inaczej by się to skończyło. Poprosić ich było uprzejmie do izby, posadzić za stołem, a mówić do nich słodko. Tymczasem by straż u wrót stanęła, zająłbyś[71] ich jak ryby w matnię. I lepiej jeszcze... Lepiej jeszcze, wodzić ich było obietnicami, udać powolność, aż by Sasi nadeszli, a nie śpieszyć z wojną. — Tu po czole go uderzyła białą ręką. — U ciebie, miłościwy panie, więcej siły w ręku niż w głowie. Ja słaba niewiasta jestem, ale prędzej bym to plemię zdradliwe pożyła[72]. Słuchajcie mnie.

Kneź jęczał i przeklinał.

— Co teraz poczynać?

Namyśliła się nieco Brunhilda.

— Ściągać trzeba, a przyjaciół jednać. Naraziłeś sobie stryjów porywczością, synowców, cały swój ród, gotowi i oni się do kmieciów przyłączyć; tych zyskać na powrót pierwsza rzecz.

Chwostek słuchał.

— Mów, jak to uczynić, ty masz rozum niemiecki, ja tylko bić się umiem! — zamruczał. — Mów, jak to czynić.

Blada twarz kniaźny zarumieniła się nieco, wstała i poczęła się przechadzać po świetlicy.

— Stryjów i ród trzeba mieć po swej stronie; jak oni się do kmieciów przyłączą, źle być może. Nim Sasi przyjdą, napaść gotowi.

Chwostek z oczyma w nią wlepionymi mruczał tylko.

Stanęła przed nim Brunhilda.

— Zostaw to mnie — odezwała się. — Miłoszowi synaś jednego zabił, drugiemu wyłupiono oczy... Ślepego mu trzeba oddać i wmówić weń to, że oczy mu wzięto bez naszego rozkazu. Pójdę do niego na wieżę. Odziać go trzeba, nakarmić i ze służbą do ojca odprawić. Stary Miłosz się przejedna może, odzyskawszy syna.

— A dwaj drudzy? — zapytał Chwost. — A synowcowie i reszta rodu?

— Trzeba do nich słać rozumnych ludzi, na zamek ich prosić. Nasza sprawa, ich wszystkich sprawa. Nie stanie nas tu, wygubią Leszków wszystkich kmiecie i jeden się nie uchowa, toć zrozumieć powinni... Niech się zjadą, niechaj radzą.

— A jeśli nie zechcą?

Brunhilda nie odpowiedziała nic, ręce na piersiach trzymała złożone i głową trzęsła tylko. Spojrzeli sobie z mężem w oczy.

— Zechcą? Nie zechcą? Niech tylko tu przyjadą, będziemy wiedzieli, co wówczas poczynać.

Kneź stęknął. Biała pani podała mu kubek i pogłaskała po głowie.

— Słuchaj ino mnie — rzekła. — Choć białogłową jestem, prędzej niż ty z ludźmi dam radę. W boju ty siłę masz, a gdzie trzeba chytrze podejść i gładko wziąć, zostaw to mnie.

Pogładziła go pod brodę.

— Na wieżę idę, Leszka uwolnię i ślę do Miłosza. Smerdów do stryjów wyprawię. Odpoczywaj ty i mnie porucz[73], nie masz się co trwożyć.

To mówiąc, zostawiwszy Chwostka na ławie, sama się wyśliznęła z izby, w podwórzu skinąwszy na zaufanego swojego, na Kaszubę[74], którego zwano Muchą.

Mucha był chłop młody i przystojny, żwawy i wesół, smerdą go sama kneźna uczyniła, znalazłszy w nim rozum i chytrość, na których się poznać umiała. Między nim a Niemcem,

[71] *zająć* — tu: opanować, zawładnąć, pochwycić. [przypis edytorski]

[72] *pożyć* — zmóc, przemóc, pokonać; por. wyrażenie: niespożyta energia a. siły. [przypis edytorski]

[73] *poruczyć* — powierzyć, oddać pod czyjąś opiekę a. komendę. [przypis edytorski]

[74] *Kaszuba* — mieszkaniec lub człowiek pochodzący z Kaszub, regionu kulturowego w północnej Polsce. [przypis edytorski]

wyprawionym z pierścieniem, o łaski białej pani toczyła się wieczna walka, z której ona śmiać się była zwykła, bo jej to pochlebiało.

Mucha z Niemcem krwawili się czasami, od słowa do słowa i do pięści przychodząc. Teraz Kaszuba był panem, zbywszy się współzawodnika. Uśmiechnęła mu się Brunhilda. Stanął wnet na rozkazy.

— Na stołb mi trzeba i do lochu — rzekła — gdzie oślepły Leszek siedzi; pójdziesz ze mną... Nagotować ludzi ze czterech, odzież bogatą i piękną. Leszka do ojca trzeba wyprawić dziś jeszcze.

Mucha nie odpowiedział, tylko pokłonem.

Niecierpliwa pani już z podwórca ku stołbowi szła. Inaczej się tam dostać nie było można, tylko po drabinie z poręczem[75], którą do wysokich drzwi przystawiano. Stała ona właśnie w miejscu, bo stróż dla zamkniętego w lochu Leszka chleb i wodę zaniósł. Brunhilda zręcznie się spięła na wschodki[76], rozkazując za sobą iść Musze. Wewnątrz wieży mrok już był. Wschodki z tarcic[77] wiodły na dół. Tu ciężkimi drzwiami, zapadającymi z góry, zaparty był loch, w którym osadzono oślepionego Leszka. Drabina znowu prowadziła do głębi ciemnego więzienia, które jedno tylko wąskie okno oświecało.

Więzień

W ciasnej, wilgotnej tej dziurze, na garści słomy zgniłej i stęchłej leżał młody, piękny chłopak, dwudziestokilkuletni. Odzież na nim gruba, zdarta i powalana[78] dozwalała widzieć wychudłe i zżółkłe ciało. Na pół leżąc, oczyma strasznymi, na kształt dwu plam krwawych, zdawał się patrzeć przed siebie. Usłyszawszy szelest niezwykły, Leszek głowę podniósł nieco, czoło wybladłe zmarszczyło mu się. Brunhilda, obejrzawszy się trwożliwie po lochu, wsparta o drabinę, którą weszła, odkaszlnęła nieśmiało. Leszek usiadł jakby strwożony.

— Kto tu? — zapytał.

— Ja tu jestem — cicho i łagodnym, umyślnie osłodzonym głosem poczęła kobieta — ja... Brunhilda...

— Czy mam umrzeć? — odezwał się więzień.

— Nie! Ja ci przynoszę wolność — mówiła kneźna. — Ja zawsze życzyłam tobie i bratu dobrze, starałam się was ocalić. Kneź nie winien, nieprzyjaciele na was podszczuwali, grozili wami. Co się stało, stało się przez sługi, bez rozkazu naszego.

Leszek się zaśmiał szydersko i głową potrząsł niedowierzająco.

— Wierzcie mi — ciągnęła dalej Brunhilda. — Kneź żałuje, że życie wydarto bratu twemu, a oczy tobie.

— A z czyjegoż to uczyniono rozkazu? — zaśmiał się więzień.

— Nie było rozkazu.

Leszek się śmiał, słomę zgniłą wziąwszy spod siebie, w wychudłych białych rękach miął ją bezmyślnie.

— Chcę was uwolnić — dodała kneźna. — Chcę was staremu odesłać ojcu. Dosyć już w rodzie było waśni i krwi się wylało. Pojednajmy się wszyscy, pogódźmy, mamy i tak dosyć nieprzyjaciół, Leszku. Spokojnie na swoim grodzie, ojciec i wy siedzieć będziecie.

To mówiąc, zbliżała się ku niemu Brunhilda powoli, a Leszek, słysząc ten głos przybliżający się ku sobie, cofał się przerażony, jakby nowej lękając się zdrady.

— Nie lękaj się — poczęła Brunhilda. — Przysięgam ci, jutro będziesz u starego ojca i u własnego ogniska, wolny. Kneź chce zgody i spokoju. Daj się stąd wyprowadzić, włożyć odzież, nakarmić, konie i ludzie czekają na ciebie.

Leszek zdawał się uszom nie wierzyć, można się było domyślać, że szukał pod ręką czegoś, co by mu do obrony, a przynajmniej do pomszczenia życia, służyć mogło. Drżące dłonie chwytały mur zimny.

— Nie lękaj się — powtarzała Brunhilda. — Przysięgam ci.

Milczał biedny więzień, który się był z posłania zerwał i do ściany przypadł, jakby w nią chciał się schronić, gdy dwóch z czeladzi, przyprowadzonych przez Muchę, ujęło go z wolna pod ręce. Próbował się im wyrywać, jęcząc i nie zważając na zapewnienia Brunhildy, ale osłabły był i łatwo go wziąć im przyszło. Dał się wreszcie na plecy zabrać

[75]*poręczem* — dziś r.ż., forma N. lp: poręczą. [przypis edytorski]
[76]*wschodki* — dziś: schodki. [przypis edytorski]
[77]*tarcica* — nieheblowana deska. [przypis edytorski]
[78]*powalany* (daw.) — pobrudzony. [przypis edytorski]

silnemu parobkowi, który go poniósł po drabinie. Brunhilda i Mucha szli za nim. Narzucono mu opończę i Kaszuba zaprowadził naprzód z sobą do komory, gdzie mu nową odzież dać miano. Kazano wybrać jak najkosztowniejszą. Sama Brunhilda szła już przodem do swojego dworu, gdzie jeszcze uwolnionego Leszka przyjąć, nakarmić i ułagodzić chciała.

Wnet sługi na stole przygotowały mięsiwo, mleko, miód w plastrach i sycony[79], kołacze białe dla wygłodzonego. Kneźna rachowała na to, że go swym głosem i słowem łagodnym potrafi zjednać sobie. Mucha miał go do tego przygotować.

Wkrótce potem otworzyły się drzwi i powiernik Brunhildy wprowadził z sobą zmienionego do niepoznania Leszka, którego młodość i piękność przy okropnym kalectwie wzbudzały litość nawet w ludziach do podobnych nawykłych widoków. Dano mu ubiór kneziowski, szyte suknie, z krasnymi sznury obuwie i jakby na szyderstwo miecz do boku. Jasne jego włosy świeżo zmyte, rozpuszczone na ramiona, świeciły pozłocistą swą barwą, blada twarz zaledwie młodym porastająca włosem, smutna była i straszna z tymi oczyma zakrwawionymi, które niedobrze zakrywały zsiniałe powieki.

Brunhilda kazała go posadzić u stołu, sama stając przy nim i podając mu napój i jadło.

Leszek zdawał się tak wygłodzony i spragniony, tak uspokojony przez Muchę, iż przyjął, co mu dano, z chciwością prawie. Milczał.

Niemka z przymileniem, pochylając się ku niemu, mówiła, doń ubolewając nad nieszczęściem:

— Powiedzcie ojcu, jak ja nad tym boleję, co się stało. Ja mam synów także, prawie w tym wieku, jam płakała gorzko, gdym się o tym dowiedziała. Kneź był trochę podchmielony, ludzie go nie zrozumieli, kazał, prawda, zamknąć do ciemnicy, ale nie ociemniać was. O mało nie zabił tego człowieka, co się ośmielił targnąć na was.

Mówiła Brunhilda, on słuchał i milczał, a milczenie to niepokoiło ją, bo dozwalało posądzać, że jej nie wierzył. Tym mocniej też starała się wmówić w niego, że to nieszczęście stało się bez niczyjej woli.

Leszek zdawał się tak głodem i pragnieniem zajęty, iż prawie nie słuchał tych zapewnień. Kneźna siadła przy nim, sama go karmiąc i zachęcając do picia.

— Wrócisz natychmiast do ojca — rzekła. — Wyprosiłam wam swobodę w tej nadziei, że ojca nam przejednacie. Mówcie mu, że i kneź, i ja zgody chcemy. Niech do nas przyjadą, niech sobie ręce podadzą.

Leszek milczał jeszcze.

— Powiesz mu to? — spytała.

— Odniosę mu wszystko, co słyszałem — rzekł uwolniony. — Powiem.

Więcej z niego wydobyć nie potrafiła Brunhilda. Konie i ludzie gotowi byli; dwu towarzyszów obok niego jechać konno miało i podtrzymywać go w drodze. Obdarowała Brunhilda synowca szatami, wyprawą[80] na drogę i w chwilę potem przez most jechała już ludzi gromadka, która Leszka odprowadzała. Mucha stał u proga, Brunhilda podeszła ku niemu. Sami byli w izbie, pogładziła młodzieńca pod brodę, dając mu kubek miodu.

— Jedź mi zaraz — rzekła — i miej rozum, bo go tu wiele potrzeba. Jedź do panów stryjów, powiedz im, co widziałeś, że Leszek uwolniony, że my zgody z nimi chcemy, niech na gród do nas zjadą. Kmiecie nam grożą, bronić się potrzeba nie memu panu, ale całemu rodowi naszemu... Skoro[81], jak najprędzej niech przybywają do nas. Zagniewają się pewnie, ukołysz ich pięknymi słowy, niech ino przybędą. Nie odstępuj od tego, aby tu zaraz jechali. Rozumiesz?

Mucha okazać się starał wesołą i pewną siebie twarzą, że zrozumiał, co mu zlecono i spodziewał się spełnić dane rozkazy. Nie zwlekając, natychmiast kazała mu jechać Brunhilda, a gdy ujrzała, że już był na moście grodowym, cichymi krokami poszła zobaczyć, co się z mężem dzieje. Kneź zmęczony, wypróżniwszy, co przy nim stało, spał, na ławie leżąc, i chrapał straszliwie.

---

[79] *miód sycony* — miód pitny; uzyskany przez fermentację tradycyjny napój alkoholowy. [przypis edytorski]
[80] *wyprawa* — tu: zaopatrzenie, potrzebne rzeczy. [przypis edytorski]
[81] *skoro* — szybko. [przypis edytorski]

V

Nazajutrz rano Chwostek, chociaż się tym pocieszał, że go na grodzie napaść kmiecie nie będą śmieli, z porady Brunhildy kazał czynić przygotowania do obrony. Dziewkom kazano kamień nosić na wały i na wieżę, a na wierzch stołba posłano straż, aby się z wysoka rozpatrywała po okolicy, czy się co z lasów nie ukaże.

Kneź z żoną i smerdami radzili w izbie.

— Napaść na gród nie będą śmieli! — wołał Chwostek.

Brunhilda potakiwała, ale radziła dla ostrożności gotować się do obrony, policzyć z siłami. Było ich na grodzisku dosyć, przy dobrym uzbrojeniu można się było obronić od dziesięćkroć liczniejszego napastnika. Wieża pełna też była zapasów i czekać mogli odsieczy, nie obawiając się głodu. Kneź sam ze Smerdą poszedł na stołb, aby wnętrze obejrzeć.

Zamek

Ogromna wieża owa wzniesiona była w prastarych czasach, a o początku jej dziwne krążyły wieści. Z grubego muru na skale dźwignięta, pusta była we wnętrzu, belkami tylko, słupami i pomostami na piętra podzielona.

Na samym dole komory były ze skarbami pańskimi i zapasami do życia, w zasiekach i bodniach[82]. Niżej jeszcze były te lochy ciemne i wilgotne, z których wczoraj Leszka dobyto, gdzie jeszcze zamknięci siedzieli inni, i studnia, do której spuszczano na głodową śmierć przeznaczonych. Ponad komorami pomost górny miał na sobie kamieni siła[83] do staczania i pocisku różnego do obrony. Tu stały beczki ze smołą, którą gorejącą lano na oblegających. Wyższy jeszcze pomost dla strzelców służył, którzy z niego przez otwory w murze pociski łatwo rzucać mogli. Stosy drzewa, łuczywa i kamieni leżały nagromadzone przy ścianach. Była i studnia w lochach, która wody dostarczała, i piece do chleba, tak aby zamknięci na stołbie długo się trzymać mogli, a w owych czasach napady nigdy długo nie trwały w kraju obcym. Nachodzono niespodzianie, porywano wszystko, co się schwycić dawało i uchodzono szybko.

Chwostek obszedł wszystko milczący. „Nie wezmą mnie tu, psie syny!", rzekł w duchu i powrócił znowu lec[84] na ławie.

Było już ku nocy, a na zamku nikt ani obcy nie postał, ani wieści nie przyniesiono żadnej. W okolicy panowała cisza. Pogoda była jasna, wieczór piękny, jezioro gładkie, lasy z dala stały milczące. Straże, rozstawione wszędzie, chodziły z oszczepami po wałach.

Pies

Wśród tego milczenia jedno niepokoiło, że psy drapały się na wały, siadały przeciw wiatru i niespokojne wyły przeraźliwie. Kazano je pospędzać i bić, ale to ich nie potrafiło zmusić do milczenia. Spędzone z jednej strony, zabiegały na drugą, a gdy je w szopie zamknięto, mimo razów, jeszcze straszniej wyły w niej ciągle. Temu psów wyciu odpowiadały kruki z wieży. Stado ich to zlatywało z murów, okrążało grodzisko, to znów obsiadało wieżycę.

Z północka już zatętniało[85] około mostu, gdy wszyscy spali okrom straży u haci i mostu. Dobijał się ktoś do wrót; wzięto go i przyprowadzono do dworu. Był to pastuch od kneziowskiego stada, stary Lisun, który, bełkocąc, opowiadał coś przelękniony, czego dobrze nikt zrozumieć nie mógł. Kneź i żona byli już w łożnicy, nie śmiano ich budzić i czekać z nim musiano do rana. Chwost po dziennym niepokoju i wieczornej uczcie zwykłej spał jak kłoda, więc choćby go ze snu wytrzeźwiono, z miodu otrzeźwić nie było podobna do jutra. Dopóki napoju nie wydychał, nie rozumiał nic, tylko bić i zabijać nakazywał.

Rano, gdy się ocknął, Smerda już u progu czekał z pastuchem, który mu do nóg padł.

— Miłościwy panie — zawołał — stało się nieszczęście. Hadonaście przysłali do mnie, aby mu konia dać. Zaledwie się do stada przywlókł, gdy jacyś kmiecie, co za nim szli w trop, napadli nań i pochwycili go. Jęli go trząść, czy znaku jakiego przy sobie nie miał, pierścień u niego jakiś znaleziono. Związali go łykami i uprowadzili w las, ino mi miał czas powiedzieć, abym na gród bieżał i oznajmił o tym, co się stało. Hadon prosił się i groził, ale nie pomogło nic. Ludzie, co go pojmali, o czymś wiedzieć musieli.

---

[82]*bodnia* — beczka. [przypis edytorski]
[83]*siła* (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]
[84]*lec* — dziś: legnąć. [przypis edytorski]
[85]*zatętniało* — dziś: zatętniło. [przypis edytorski]

Kneź ze złości za tę nowinę niedobrą na posła się z całych sił zamachnął i byłby mu głowę rozbił pięścią — jak to się niejeden raz zdarzało — gdyby na ziemię nie padł ze strachu. Kląć tedy począł piorunami i czarnymi duchy. Przypadła Brunhilda z rękami załamanymi za swym pacholęciem — krzyk stał się wielki i narzekanie.

Niebezpieczeństwo, Strach

Chciał Chwost zaraz słać ludzi, aby go odbić, ale czyja była czeladź i gdzie zabranego poprowadziła, Lisun powiedzieć nie umiał. Z grodu też ludzi teraz wysyłać nie było bezpiecznie. Pochwycenie Hadona znaczyło, iż rozumiano, po co był wysłany, a chwycić sługę kneziowskiego ten tylko mógł mieć odwagę, kto z nim myślał wojować. Popłoch się tedy zrobił na grodzie tym większy i smerdowie, na konie posiadawszy, gnali natychmiast po osadach dokoła i chałupach, by więcej ludzi spędzić na zamek.

Do pół dnia cicho było na grodzisku, ze stołba też nic nie widać — kneź trochę z gniewu ochłonął, a pani z żalu.

Czekała na powrót ludzi, co Leszkowi towarzyszyli, i na Muchę, który dwóch stryjów Mściwoja i Zaboja miał na gród zaprosić, ale dnia tego do nocy wyglądano ich na próżno.

Ślepy Leszek jechał do ojca tak milczący w drodze, jak był na zamku; obawiał się, mimo zaręczeń stryjenki, aby go dodani mu ludzie w lesie gdzie nie zamordowali. Tak dojechał aż na ojcowski gród stary i ocknął się dopiero, gdy róg usłyszał u wrót i dobrze znany głos starego strażnika. Na widok biednego ślepca, wracającego tu, krzyknęli ludzie, otwarto wrota, zbiegli się domownicy, na ręce porwano Leszka z konia i na rękach poniesiono go, płacząc razem i radując się, do ojca.

Miłosz nie wiedział o niczym i trawił się żałością swoją, jęcząc na posłaniu, gdy posłyszał te tak niezwykłe w cichym grodzie głosy. Zerwał się z pościeli, niedźwiedź się ruszył, mrucząc groźno, wybiegła z komory matka stara. Właśnie się drzwi otwierały i z rozwianymi włosy złotymi, niesiony na ramionach czeladzi, ukazał się Leszek biedny. Stara matka pierwsza rzuciła się nań, chwytając go z jękiem i płaczem w ramiona. Miłosz siedział, pojąć jeszcze nie mogąc, co się stało, ręce podnosząc do góry i jęcząc.

Oko, Okrucieństwo, Kaleka, Syn, Matka, Ojciec

Gdy rodzice oboje ujrzeli wreszcie dziecię swe oślepłe, skaleczone tak okrutnie, choć je cudem prawie odzyskali — boleść, żal, rozpacz na nowo serca ich chwyciła. Oboje rodzice przekleństwa miotać zaczęli i łzy potoczyły się strumieniem; płakał i Leszek, którego na ziemi na skórze posadzono. Niedźwiedź stary nogi przyszedł mu lizać i jak pies się łasić.

I długo nic słychać nie było, tylko płacz, jęki i przekleństwa.

Zaczęto go pytać wreszcie.

— Cóż ja wam powiem — odezwał się Leszek — ja nie wiem nic, bo jedną chwilę tylko pamiętam, gdy mi oprawca przyszedł wyrwać moje oczy, którymi na świat patrzałem, gdy żelazo mi utopił, aby dobyć oko i rzucił je, i zgniótł pod nogą. A! Gdyby mi jedno był zostawił. Drugie poszło za bratem i słyszałem je, padające na bok, razem z życiem moim całym. Ślepiec jestem półżywy tylko i zostały mi dwie jamy, bym mógł płakać nimi.

Ojciec i matka płakali, zachodząc się[86] i jęcząc.

— Rzucono mnie do wilgotnego lochu, na słomę zgniłą, na wodę stęchłą, na suchar spleśniały — mówił Leszek — a umrzeć nie mogłem. Nareszcie jednego dnia posłyszałem nad sobą głos niewieści znany, słodki a straszny jak syk gadziny... Brunhilda mi przyszła oznajmić, że moje nieszczęście stało się bez ich woli, że nie kazał nikt, że się oprawca sam domyślił. Chcą przebaczenia i zgody.

— Nigdy! — wyjąkał stary Miłosz. — Teraz, gdy im kmiecie grożą, gdy potrzebują nas, podają ręce. Za późno. Nie pójdę z kmieciami, ale nie pójdę z oprawcą moich dzieci.

Matka przypadła znowu ściskać swe dziecię, ojciec tulić je począł. Odprawiono sługi i wrota grodu zamknęły się znowu, a nazajutrz stara macierz wodziła syna pod dębami za rękę jak niemowlę i swoje oczy, po dziecięcych płacząc, wypłakiwała.

Tak dzień upłynął i drugi, gdy do wrót stukać i z rogów hasło dawać poczęto. Miłosz poznał po trąbieniu braci swoich, Mściwoja i Zaboja.

Pobiegła straż otworzyć — oni to jechali w istocie, a z nimi synowie ich i rodzina, głów kilkanaście.

[86] *płakali, zachodząc się* — dziś: płakali, zanosząc się. [przypis edytorski]

Miłosz wyszedł w podwórzec dębowy na spotkanie, wiodąc oślepłego syna. Pozdrowili się w milczeniu i szli siąść na spoczynek w cień pod drzewa. Mściwoj i Zabój starzy byli, ale silni jeszcze, twarze ogorzałe, lica poważne i surowe. W obu życie drgało gorące.

— Miłoszu — rzekł starszy — po radę przybyliśmy do ciebie, radź i mów. Pepełek nas wzywa do siebie, chce zgody, grożą mu kmiecie, potrzebuje nas, ale i my go potrzebujemy. Wojowaliśmy z nim, ano czas razem na wspólnego iść nieprzyjaciela. Padnie on i ród nasz wyginie.

— Tak — dodał Zabój — radziliśmy i uradzili, aby jechać do niego. Ratując jego, uratujemy siebie.

Miłosz rękę podniósł do góry.

— Mnie już nikt nie uratuje — zakrzyczał — spójrzcie na to dziecko moje. Zabił jedno, oślepił drugie, aby się dłużej męczyło, o zgodzie z nim nie mówcie. Niech przepada on, ja, my, wszyscy. Nie ocalimy siebie, a psami byśmy byli, gdybyśmy nogi poszli mu lizać. Niech sczeźnie marnie!

Milczenie panowało chwilę. Mściwoj w ziemię patrzał, Zabój na Leszka i łzy mu się kręciły w oczach.

— Przecie wezwani — ozwał się Mściwoj — pojechać do niego musimy, pojedziemy. Zobaczym, co się na grodzie dzieje.

— Niech się tam dzieje, co chce — rzekł Miłosz. — Jedźcie lub nie, a mnie zostawcie z moim bólem i przekleństwem.Z kmieciami nie pójdę, bom kneź i pan nad nimi, a z Pepełkiem nie chcę na długość miecza się spotkać, bobym wydarł życie.

Zamilkł starzec i nikt się odezwać już nie śmiał. Bracia stryjeczni zbliżyli się do Leszka z ubolewaniem i miłością — i cicha rozmowa a szepty do późnej nocy trwały pod dębami. Nazajutrz rano Mściwoj i Zabój ruszyli z grodu i skierowali się ze swą drużyną ku Gopłu.

Czekano tam na nich niecierpliwie. Mucha powrócił i przybycie ich obiecywał, donosząc, że po Miłosza pojechali. Starego jednak nikt się tu nie spodziewał. Na noc znowu stanęły straże — i psy tak wyły jak dnia przeszłego, i kruki latały niespokojne, a Brunhilda z wieży patrzeć kazała, czy stryjów nie widać jadących.

Na grodzie i ludziom, i stworzeniu wszelkiemu źle było i niespokojnie. Jaskółki wszystkie gniazd swoich odbiegły, latały długo, szczebiocząc około wieży i poddaszów, potem się w jedno zwinęły stado i uszły kędyś za jezioro. Po szopach konie się rwały i rżały, bydło ryczało. Ale noc zeszła spokojnie, gwiazdy zaświeciły jasno, nade dniem księżyc zszedł znad lasów rozpłomieniony i blado zaświecił, nim się jutrzenka ukazała rumiana.

Kneźna pilno się gotowała na stryjów przyjęcie, chodziła niespokojna, rwała zioła na kępie w ogrodzie, w garnkach gotowała napoje, pieczono mięsiwa, toczono miody najstarsze. Ubito kozła, który się obracał przy ognisku, ryb przyniesiono z jeziora, pieczono kołacze i placki świąteczne, aby nic nie brakło na te gody.

Już słońce było wysoko, gdy na polu pod lasem jezdni się ukazali, których po brodach siwych i orszaku poznano. Jechali starzy przodem, synowie i krewniaki za nimi, i czeladź a służba. Odzieży nie włożyli świecącej, jakby naumyślnie chcieli na prostych kmieciów wyglądać. Oręża tylko mieli przy sobie dosyć. Zbliżali się, nie spiesząc, do grodu, a ujrzawszy, że Chwostek sam wyszedł na ich spotkanie i u mostu kołpaka podniósłszy, czekał na panów stryjów, pozsiadali też z koni i powoli szli ku niemu. Co w drodze uradzili miedzy sobą i jak mówić mieli, z twarzy odgadnąć było trudno. Na podsieniu stała Brunhilda blada, w sukni szytej i ciężkiej od srebrnych i złotych łańcuchów. Ze czcią wielką wiedziono ich milczących — bo się znać tak uprzejmego nie spodziewali przyjęcia. Szli prosto do świetlicy, gdzie ich na okrytych ławach posadzono, jeść i pić zapraszając.

Władza, Król, Lud

Chwostek tedy, nauczony przez żonę, począł zaraz, co to się po ziemi działo, jako złe duchy opanowały ludzi, którzy mu się zuchwale z posłuszeństwa wyłamywali i grozili, że kmiecie szli na wietnice[87] i zwoływali się do rady, stawili się hardo. Prosił tedy, aby mu rzekli, co poczynać.

Mściwoj, długo pomilczawszy a namarszczywszy się, odezwał się:

— Co czynić? Nie radziliście się nas wprzód, późno teraz. Zwoływali oni wiec, trzeba było samemu nań jechać lub drugi zwołać sobie, skarg i żalów posłuchać, a gminu nie drażnić.

[87] *wietnica* — miejsce, w którym zbierano się na wiec. [przypis edytorski]

Zabój toż samo prawie powtórzył za bratem.

Chwost słuchał zachmurzony, zwiesiwszy głowę nad kubek.

— Jeszcze do tego nie przyszło — rzekł — aby się pan ze sługi targował. Co ma być, będzie, a tego ja nie uczynię.

Mściwoj począł mówić powoli, że się dobrze namyśleć trzeba, co lepiej czynić, bo naprzeciw wieców i gromad, i mirów wszystkich iść trudno, a gdy do boju przyjdzie na rękę — siła i liczba straszna.

Z kolei kazano młodszym też mówić bratankom i odzywali się po kolei w też słowa co ojcowie, nie radząc się zadzierać, a lepiej spokoju szukać, winnych potem mogąc, jako chcąc[88], karać pojedynczo.

Kneź z żoną popatrzyli na siebie w milczeniu, nie odrzekli nic. Prosili jeść, pić i używać.

Pili tedy i jedli, i mało co mówili o łowach, gdy Mściwoj znowu do swojego powrócił.

— Prawdę się wam rzec godzi, kiedy o radę pytacie — rzekł. — Wyście dla ludzi srogimi byli, po ziemi krwi się lało wiele, nie skarżyliśmy się i my, choć i nam się dostało. Cośmy potracili, niech w niepamięć idzie. Nie jak kneziowski ród, ale jak czerń smerdy twoje nas gnały, brali, co chcieli, męczyli, jak im się podobało. Co z drugimi być musiało, gdy ze stryjami własnymi tak się działo? Smerdy kmieciów zabijali po lasach, stada ich zagarniali, niewiastom gwałty czynili. Co za dziw, że się na wiece zwołali i krwawą odzież po chałupach z wiciami obnieśli?

Chwostek i żona milczeli posępnie. Wyszła blada pani i nie było jej długo — kneź słuchał, nie mówił nic, gębę sobie gryzł do krwi i włosy targał.

— Co się stało, to moja sprawa — zawołał, wyczekawszy. — Ja was dziś o jedno pytam: przyjdzieli do wojny i walki, staniecie za mną czy przeciwko mnie?

Mściwój i Zabój spojrzeli po sobie i było długie milczenie. Jeden na drugiego zdawał się spychać odpowiedź — potrącali się łokciami. Chwost czekał, aż Mściwój począł.

— Ani przeciwko tobie, ani z tobą nie będziemy — rzekł spokojnie. — Z kmieciami my na swój ród nie pociągniemy, bo swoją krew, jaka ona jest, szanujemy. A z tobą też na kmieciów nie pójdziem, bo nam zdrowie miłe i życie. Nie bardzo żeście nas wspomagali, a my wam siły wielkiej nie przyniesiemy. Jak żupany siedzim po grodach, będziemy zamknięci siedzieć, co nam do waszych waśni!

— Pewnie, rozumna rada! — mruknął Chwost. — Mnie zrzucą, a z was którego posadzą!

I rozśmiał się dziko, spozierając ku drzwiom, w których żona stała.

— Ano się mylicie — dodał — nie stanie mnie, nie będzie i was! Zasmakują w wilczej swobodzie, powypędzają i was z grodów. Zobaczycie!

— Idźcie z nami ręka w rękę — odezwała się Brunhilda.

— Nie mamy sił po temu — odezwał się Zabój. — Miłosz, któremuście jednego syna zabili, a oślepili drugiego, wyparłby się nas za braci, gdybyśmy poszli z wami.

— Tak! Tak! — powtórzyli za nim wszyscy starsi i młodsi. — Ani z wami, ani przeciwko wam.

Kneź popatrzał na żonę, nie rzekł już nic.

Starym miodem rozgrzani, goście jęli się rozgadywać coraz śmielej; młodzi też, gdy im się rozwiązały usta, narzekali i boleli na swą dolę. Alkohol, Uczta

Chwostek, na którego żona wciąż patrzała, jakby go oczyma trzymała na uwięzi — nie odpowiadał nic... Ramionami dźwigał, prosił jeść a używać.

Ciągnęła się tak dalej biesiada. Brunhilda wyszła, bo się dzbany wypróżniły i wróciła wnet, a za nią służebna wniosła garnek żółty, pełen złotego miodu i na stole go w pośród gości ustawiła. Brunhilda odezwała się, że ten miód, gdy się jej pierwszy syn narodził, syciła sama, a nie mogło być lepszego ani bardziej woniejącego pod słońcem. Zapraszała, aby pili i próbowali. I zaraz służebna, uśmiechając się, jęła we wszystkie kubki nalewać. Wśród gwaru i ruchu kneźna sobie i mężowi ukradkiem innego napoju nalała. Goście tego nie widzieli i pili a chwalili miód stary i wonny.

Chwostek milczał. Starzy sądzili, że go przecie do rozumu i pomiarkowania przywiedli. Pili, a służebna coraz im nowe kubki nalewała.

---

[88] *jako chcąc* — jak tylko się chce. [przypis edytorski]

Słońce już nad zachodem przez otwarte okna zaczęło zaglądać.

— Hej! — rzekł stary Mściwój, stawiąc[89] kubek. — Dość to już tego picia, mnie już pali we wnętrzu, miód ognisty i stary, ja mam głowę słabą i wolę wodę.

Alkohol, Trucizna, Gość, Gospodarz, Władza, Rodzina, Śmierć, Zdrada, Podstęp, Fałsz

— Toż i ja — dodał Zabój. — Nie dosyć, że pali, alem się opił, aż, sprośna rzecz, gardłem mi się nazad dobywa.

Wtem jeden z młodszych zerwał się zbladły i za piersi pochwycił.

— Zdrada! — zawołał — To nie miód, to jad! To trucizna! Tak miód nie pali, on się tak w piersiach nie burzy, to jad! To jad!

Młodsi chwycili się wszyscy z ławy, mimowolnie porywając do nożów, stary Mściwoj chciał wstać, za stół się ujął, nie mógł i pod stół, jęcząc, padł bezsilny. Zabój popatrzał na Chwostka. Temu zęby białe spod warg widać było, a z oczów białka mu świeciły. Śmiał się!

Młodsi rzucali się, chwieli i padali w boleściach, jedni ław chwytając, drudzy tarzając się po ziemi. W męczarniach piersi cisnęli i ręce łamali, jęcząc i rycząc okrutnie. Kneź i Brunhilda, siedząc na ławie, patrzali na to widowisko — milczący. Chwost tylko głową pokręcał.

— Tak się kończy panowanie wasze! — krzyknął wreszcie ze śmiechem. — Wyście nie ze mną, a z kmieciami trzymali, musieliście zginąć! Was oni chcieli na moim grodzie sadzić, więc trupy chyba posadzą, bo noga stąd nie wyjdzie żywa. Kneźna umie smaczne z ziół wyciągać soki i miód syci dobry! Sczeźnijcie marnie!

Mściwoj i Zabój nie odzywali się już, wstyd się im było skarżyć, starszy na dłoni sparł czoło, usta zacisnął, spojrzał ku synom i westchnął cicho, oczy zamykając, a spod powiek mu łzy pociekły. Młodzi, pobledli jak trupy, na ziemię popadawszy, ścisnęli się razem, ręce sobie kładąc na ramionach, głowy na piersiach. I im, gdy starzy zamilkli, srom było jęczeć i narzekać próżno. Mimo strasznych męczarni, usta ścisnęli, a oczy, zachodzące bielmem śmierci, zwracały się na Chwostka i kneźną. W izbie słychać było tylko oddechy ciężkie i miotanie się bezsilne. Konających głowy spadały ze stukiem na dyle podłogi. Młodsi naprzód konać i umierać zaczęli jak podcięte kłosy, potem Mściwój zachwiał się i runął na ziemię na wznak, z pianą na ustach, a bez jęku. Przy nim padł syn, głową u nóg jego. Drugi walczył ze zgonem, aż gdy siwa ojca głowa uderzyła o pomost i stoczyła się bezsilna, srebrnym otoczona włosem, osunął się i on, jęknął i osłoniwszy twarz — skonał. Zabój trzymał się stołu, ręce weń wpiwszy, rzucał się tylko, targały go męczarnie wielkie, aż jak piorunem tknięty runął z ławą razem i obalił się na ziemię. Konali tak po jednemu, jęcząc głucho, a Chwost patrzał.

Śmiech z ust mu się zsunął i posępny wyraz przerażenia ukazał się na obliczu; uląkł się własnego czynu i trwożliwe oczy zwrócił na Brunhildę, która spokojnie reszty miodu zatrutego zlewała do garnka i, szepcząc, oddawała go uśmiechającej się zwycięsko służebnej.

Potem przez okno wyjrzała, wołając na ludzi. Starszy smerda wszedł i zobaczywszy podłogę zawaloną trupami, drgnął i pobladł.

Wtem Chwostek mu wskazał palcem na ciała.

— Czeladź ich powiązać, z trupami precz! Stosu dla nich nie potrzeba, zakopać ich w ziemi[90].

Smerda stał niemy, spoglądając na blade, wykrzywione straszliwie oblicza kneziów. Chwostek powtórzył mu jeszcze:

— Wywlec to ścierwo precz! A żywo! Co tak wielkie otwierasz oczy? Wywlec za nogi i zakopać nad jeziorem, za dworem. A głęboki dół wybrać, aby ich psy nie wywlekły, bo się padłem potrują. Psów mi szkoda.

Trup, Sługa

Noc zapadała, gdy ze świetlicy siwych starców i ledwie rozkwitłe ich dzieci ludzie kneziowscy pijani za nogi wywlekać zaczęli. Czaszki ich biły o podłogę, o słupy, gdy je ciągnęli na podwórze. Tu odzierać zaczęli trupy, bo odzież im się dostać miała. Tłukli się więc i dobijali, kto lepiej odzianego dostanie trupa, i wyrywali sobie z rąk opończe,

[89]*stawiąc* — dziś: stawiając. [przypis edytorski]

[90]*stosu dla nich nie potrzeba, zakopać ich w ziemi* — według wierzeń słowiańskich tylko spalenie ciała otwierało duszom drogę w zaświaty. [przypis edytorski]

kłócąc się o nie a popychając. Kupa czeladzi zbiegła się przypatrywać potrutym i pomagać. Tymczasem czeladź ich chwytano, wiązano i do szopy pędzono jak bydło.

Psy i ludzie pchali się dokoła tych ciał bladych i sinych — a przez szpary i okna przerażone niewiasty patrzały, szepcząc. Na dworze panowała cisza, jak gdy wicher śmierci przeleci. Pozdzierawszy z nich odzież, oprawcy znowu powrozy przywiązali do nóg i ciągnęli na pagórek, nad jezioro. Starym kneziom należała choć mogiła i stos ognisty, ale Chwost nie myślał ani palić ciał, ani im sprawiać tryzny. Nie czas mu też o tym myśleć było. Zagrzebano ich w dole, jak zdechłe zwierzęta, aby gnili marnie i robakom za pastwę służyli, co było pogardą wielką i zniewagą w owych czasach.

Pogrzeb, Obyczaje, Grób, Robak, Pogarda

A gdy trupy wleczono, psy, wyjąc, ciągnęły za nimi; i wicher się zerwał od lasów, choć niebo czyste było — poleciał po wieży, po komorach, po izbach wyjąc i świszcząc dziko, aż Chwost obejrzał się, drgnął i w kąt na ławę zacisnął, mrucząc.

Brunhilda ręce myła w wodzie na stole i patrzała na przestraszonego z politowaniem i niemal z pogardą.

VI

Ucieczka

Gdy czeladź potrutych wiązano, Żuła, który starostą był przy Mściwoju, zawczasu postrzegłszy, co ich czeka, rzucił się na ziemię, podpełznął między krzaki rosnące pod tynem, wsunął się dalej od ciżby, na częstokół wdrapał i przeskoczywszy go, wpław począł do brzegu się dobijać. Drużyna, zajęta innymi, nie postrzegła ucieczki, nie posłyszała pluskania po wodzie... Z wieży tylko stojący na niej strzelać zaczęli do płynącego i nawoływać, ale nim się opatrzono w pogoń pójść za nim, już dopadłszy lądu, gdzie się pasły konie, chwycił świerzopę[91] i oklep, rękami ją popędzając, pobiegł w lasy.

Pastuchy za nim pognały, ale go pochwycić nie mogły. Żuła nogami i oburącz gnał przestraszone stworzenie, które go jak szalone w zarośla wniosło. Gdy znikł z oczów pogoni, już go w lesie próżno dalej pędzić było.

Żuła wprost biegł do grodu Miłosza, chciał choć jego ocalić, można się było bowiem spodziewać teraz, że Pepełek, który Leszka wypuścił tylko, aby stryjów do siebie ściągnąć, nie daruje i ostatnim ze swojego rodu. Po drodze Żuła, gnając, spotkał w lesie kmieci; obejrzeli się za nim, rzucił im tylko słów kilka:

— Na grodzie Leszków naszych potruto... Jeden Miłosz i ślepy syn jego pozostał!

Poszła więc wieść szeroko po dworach o tym, co się na zamku stało.

Koń

Żuła pędził, co koń sił miał, dopóki drugiej na drodze nie napadł stadniny, aby go zmienić. Podjechał do koni, pochwycił za grzywę jednego, przeskoczył mu na grzbiet, przypiął się doń jak kleszcz i pognał go, rzucając świerzopę, która, uwolniona, strząsnęła się, prychnęła i spokojnie trawę gryźć zaczęła.

Na grodzie Miłoszowym, pod starymi dębami siedziała matka z Leszkiem, jak dziecko go zabawiając powieściami. Opodal nieco odpoczywał znużony śpiewaniem Słowan, którego dla biednego chłopca sprowadzono, aby go pieśniami rozrywał. Ojciec na niedźwiedziej skórze, rozesłanej pod drugim dębem, leżał sparty oburącz i milczący. Zaczęto do bramy bić i krzyczeć. Żuła stał u wrót. Puszczono go, poznawszy, że był z orszaku Mściwojowego. Zsunął się z konia i pobiegł co tchu ku Miłoszowi, pot mu się lał po twarzy, wargi drżały, przybiegł, padł do nóg staremu i nie mogąc mówić, zapłakał.

Stary go nie poznał zrazu, oczy miał łzami wyjedzone.

— Kneziu, panie! — zawołał, ręce łamiąc. — Tyś już jeden pozostał... Nie chcieli cię słuchać nasi miłościwi kneziowie, nie ma już z nich ani jednego na świecie... Chwost ich z żoną potruł przy biesiadzie, w gościnie, we własnym domu!

Zerwał się stary Miłosz i rękami uderzając o ziemię, padł na nią znowu, a Żuła, jęcząc, mówił:

— Ledwie z życiem uszedłem, aby wam wieść przynieść. Uchodzić i wam potrzeba! Przyjęli nas na grodzie słodko, wyszedł Chwost do wrót, zapraszając... Siedli do stołu wszyscy, jedli i pili długo... A nie wstał już z ławy nikt, padli tam wszyscy, jak siedzieli... Trupy powleczono grzebać w ziemi niespalone... Psy szły za nimi tylko, wyjąc. Nie został ni jeden, nie ocalała głowa żadna. Czeladź spętano... Jam sam, nie wiem, jakim szczęściem,

[91] *świerzopa* — młoda klacz. [przypis edytorski]

uszedł... Teraz, gdy się odkryło, co miał w sercu, naśle pewnie i na was, kneziu... Uchodzić trzeba!

— O bracia moi, o rodzie mój! — jęczał Miłosz, ręce załamując. — Na to wam przyszło, byście od własnej krwi ginęli... Gdzież i po co mam uchodzić, jeśli i mnie zgładzić zechce?

Dosłyszał tych wyrazów Leszek i matka siedząca przy nim, i z krzykiem narzekać poczęli. Po grodzie rozszedł się płacz i przerażenie wielkie. Stary Miłosz tylko nie ruszał się z miejsca, a gdy mu pierwszy wybuch żałości przeszedł, posępnie się zadumał.

— Nie ujść przeznaczenia! — mruczał.

Wtem spojrzał na oślepione swe dziecię i żal mu się go zrobiło. Krzyknął na ludzi. Zaczęli się zbiegać z zabudowań i dworu. Ruch pod dębami stał się żywy.

Leszka wzięła matka za rękę i wiodła ku ojcu.

— Konie sposobić — zawołał stary — ja sam pojadę... Leszek z matką i służbą do lasu na pasiekę się schroni, ja dalej muszę. Na własną krew podnieść rękę... O dołoż ty moja!

Żule tymczasem, który ze zmęczenia i głodu padał, przyniesiono chleb i piwo. Staremu kneziowi, który tyle czasu jak złamany i bezsilny na łożu przeleżał, nie ruszając się prawie, siła się zdawała powracać. Wstał z legowiska, wyciągnął ręce zdrętwiałe, potoczył zamglonymi oczyma, wyprostował się i zawołał, aby mu oszczep, miecz i łuk podano.

Dokoła poruszało się wszystko. Z szop wyprowadzano konie rżące, ludzie sakwy wiązali, Miłosz swój oręż przypasywał i chodził to Leszka ściskając, kładąc mu ręce na ramiona, to wydając rozkazy.

Krótkiego czasu potrzeba było na przygotowanie. Przy Leszku jechała stara matka i dwóch ludzi. Z Miłoszem dziesięć szło koni. Gęślarz zapomniany podniósł się spod drzewa i dziecku się prowadzić kazał — w świat znowu.

Nikt nie wiedział, dokąd się uda stary. Wziął z sobą Żułę, sam przodem ruszył, nie mówiąc drogi, i konia pognał. Złamany ten niedawno starzec, który zdawał się z trudnością obracać na posłaniu, siedział teraz na koniu nieprzygarbiony nawet, jak dąb wiekowy twardy i niezgięty; nieszczęście wielkie nową moc mu dało.

Na noc położyli się obozem w lesie. Miłosz ognie rozpalić kazał, legł pod szałasem z gałęzi, ale nie zasnął... Patrząc w ognisko, przeleżał noc całą, a gdy zaświtało, dał znak — do koni. Jechali dzień drugi w milczeniu, Żuła się domyślił już, że na Lednicę dążyli.

Już jezioro widać było, gdy dwie kupy jezdnych spotkali. Byli to kmiecie zbrojni. Postrzegłszy Miłosza, Ścibor, jeden ze starszych, przybliżył się do niego i zastąpił mu drogę.

— Wy z nami! Kneziu! — zawołał do niego.

Zemsta, Pozycja społeczna

— Ja... Z zemstą, nie z wami — ponuro odparł Miłosz. — Tam będę, gdzie pomsta.

— My też jej na Chwostyku szukamy — począł Ścibor. — Kmiecie się zbierają na Lednicy. Bądźcie nam głową na tego zbójcę...

— Ja wam głową nie będę — zamruczał stary — ręką tylko... Z kmieciami nie trzymam, bom innego rodu, a z zemstą idę.

To mówiąc, koniem wyminął zastępującego mu drogę Ścibora, za którym i inni kmiecie stali i słuchali, i popędził ku brzegowi jeziora. Kupki kmieciów pociągnęły za nim. Na wodzie widać było czółna pełne tych, co już na ostrów płynęli. Konie z czeladzią pasły się na wybrzeżu.

Miłosz z Żułą zsiedli ze swoich i poczęli do chałup na palach wołać o przewóz, ale tu nie było nikogo, wszystkie czółna poszły z innymi na Lednicę. Czekać więc musieli i stary na ziemi siadł. Nadciągający kmiecie wnet go otoczyli, ale ku nim ani spojrzał.

Tu gwar był w gromadkach wielki. Starszy Myszko z zawiązaną szyją, blady, bo mu się jeszcze rana nie zgoiła, przewodził między swoimi.

Do starego Wizuna po radę jechali i sami też tu, spokojniej na ostrowiu i dogodniej niż na wietnicy, pomówić z sobą chcieli. Z drugiego boku stał z kilku Bumir, znany z tego, iż z Chwostem trzymał. Gdy Ścibor z Myszkami odeszli nieco od starego knezia, który z nimi mówić nie chciał, zbliżył się on do niego.

— Wy, kneziu — rzekł z cicha — nie myślicie pewnie z tymi kmieciami się łączyć... Co wam do nich! Ja trzymam z moim panem i z waszym rodem, ja człowiek jestem spokojny i Leszek też!

Miłosz na niego popatrzył.

— Jeśli trzymasz z tym zbójcą, co na grodzie siedzi, idźże precz ode mnie!

Ręką mu wskazał na pole.

Bumir się nie cofnął.

— Wy też, kneziu, z synowcem trzymać powinniście... Syna wam zabić kazał, powiecie? No, tak! Ale się synowie wasi podnosili na niego i odgrażali... Broni się i zając, gdy go psi biorą... Pozbył się Mściwoja i Zaboja, bo mu oni w żywe oczy powiedzieli, że z nim trzymać nie chcą, a przeciw niemu będą... Okrutny nie jest... A sam sobie szkodzić nie może...

Miłosz milczał pogardliwie, a Bumir mówił ciągle:

— Co pomoże, iż się zbierają i radzą... Nic nie uradzą... A potracą głowy... Kneź ma Niemców w pomoc, którzy nadciągną i kraj nam spustoszą...

Mówił, a stary Miłosz odpowiadać mu nawet nie chciał. Wtem czółen pusty przybił do brzegu, stary na Żułę skinął i poszedł siąść, ale przewoźnik zmęczony, na ziemi ległszy, wieźć ich nie chciał. Próżno go Żuła parę razy kopnął nogą. Sam wreszcie wiosło pochwycił i Miłosza powiózł na ostrów. Tu gdy się zbliżyli, ujrzeli kupy ludzi zgromadzone i ruch niezwykły, jakby na wiec się zebrała starszyzna. W milczeniu wysiadł Miłosz stary i nie patrząc na nikogo, skierował się tam, gdzie stał Wizun, otoczony żupanami, władykami i kmieciami.

Do nikogo nie przemówiwszy słowa, kneź stary wpośród nich na kamieniu miejsce zajął. Opodal nieco i Bumir z małą gromadką stał także.

Stary Wizun, na kiju oparty, słuchał; z otaczających go jedni po drugich i razem odzywali się wszyscy gorącymi słowami. Wrzawa panowała w tłumie, w którym przewodzili Myszkowie. Na Miłosza popatrzano tylko, rozsunęli mu się nieco, ale nań bardzo nie zważano.

Starszy z Myszków z krwawą szyją głos zabrał.

— Dosyć tych mordów i tego niemieckiego panowania — mówił. — Chwościsko siedzi na grodzie, ale nie on rządzi, tylko ta jędza, baba, co trucizny warzy i zdrady... Nie chcemy ani jego, ani synów, ani żadnego z tego rodu, który dość się krwi naszej napił...

— Nie chcemy! — krzyknęli drudzy, podnosząc ręce. — Nie chcemy!

Na milczącego Bumira skierowały się oczy, a ten stał, bledniejąc trochę, ale nie cofając kroku. Konflikt, Kłótnia

Miłosz słuchał, patrząc w ziemię.

— Co wy na mnie ślepia wywieracie? — wyrwał się Bumir po chwili milczenia. — Nie zlęknę się was... Wyście ta krowa, co dużo ryczy, a mleka z tego nie będzie. Chwostek, coście go tak przezwali, i Niemka z nim nie dadzą się wam. Rozpoczniecie wojnę, sprowadzą Niemców, spalą i spustoszą, to cała wasza będzie wygrana...

I śmiać się począł.

— Do Sasów daleko! — krótko ozwał się Miłosz, nie podnosząc oczów.

— A wieża mocna, a dwór oczęstokolony, wały tęgie, wody z jeziora nie wypijecie — mówił Bumir — na grodzie drużyna śmiała i liczna, choćby rok im na Sasów czekać przyszło, z głodu nie pomrą i Chwostek się nie podda... Wreszcie weźmiecie go, ma on dwu synów u Niemców, przyjdą ci z nimi i karki wam nagną...

Słuchano, szemrząc.

— Po cóżeś tu przyszedł? — krzyknął Myszko, następując ostro na mówiącego. — Idź im łapy liż... Na grodzie... Tu ciebie nam nie trzeba!

— Owszem — rzekł Bumir — kiedy rozumu nie macie sami, trzeba, by wam go kto przyniósł!

— Precz z nim! Precz! — poczęto wołać z gromady.

Bumir się nie ruszył i stał.

— Nie pójdę! — mruknął. — Prawcie swoje... Jam tu tak praw, jak i wy...

Ścibor się doń tyłem obrócił i inni, kilku mu pięści pokazało.

— Bumir może i nie tak głupi, jak się zdaje — wyjąknął inny w jego obronie — zamek mocny, a my słabi...

— Ale nas gromada! — zawołano.

— Bez głowy! — dodał Bumir. — Wam na wiecach o wilczej swobodzie prawić... Ale nie grody dobywać... Wy ziemianie, z pługiem chodzić, a z oszczepem na wilka, albo i na niedźwiedzia, a nie na kamienne ściany! Nim wy je dobędziecie, sami się weźmiecie stokroć za łby!

Wizun słuchał i milczał, oczyma rzucając to na Miłosza, siedzącego z głową spuszczoną, to na Bumira, to na Myszków.

Starszy z krwawą szyją ujął Wizuna za rękę i odciągnął go nieco w stronę od Bumira i Miłosza.

— Idźmy gdzie indziej radzić, aby nam nie śmierdział ten Chwostykowy niewolnik!

Kupa się ruszyła za nim, ale Wizun pozostał w miejscu.

— Niech każdy prawi, co na sercu ma — odezwał się — na wiecu i na radzie wszystko wolno... A co starszyzna uradzi, dlatego przewiedzie[92].

Pozostali więc na miejscu, a gdy się stało milczenie, rzekł Miłosz, wciąż zapatrzony w ziemię:

— Pierwsza rzecz, chcecie boju, toć bez wojewody nie ruszycie... Obierzcie sobie wodza. Przywódca, Walka, Władza

Niektórym się zdało, że za sobą to mówił, i poczęli wołać:

— Leszka żadnego! Żadnego! Kmiecia!

— Wybierajcie choćby konia i wołu! — wrzasnął Miłosz. — Ano wybierać trzeba, bo was jak stado owiec rozpędzą... Poginęli Leszki, szukajcie sobie drugich... W ulu bez matki, a w kraju bez ojca nie będzie ładu!

Zamilkli wszyscy.

— Knezia nam nie trzeba na dziś — ozwał się jeden — z tym poczekamy.

— Ależ bez wodzów do wojny się nie obejdziecie — głośno zawołał powtórnie starzec — wojewodów, tysiączników, setników stanówcie, to pierwsza rzecz!

Znowu było milczenie, starszyzna się potrącała rękami, poglądając na Myszków. Myszko z krwawą szyją stał posępny.

— Tobie i twoim nam dowodzić należy — rzekł ktoś z tłumu, na Myszka wskazując. — Nie zlękliście się mu w paszczę leźć w kilku, nie będziecie się obawiać pójść nań z gromadą.

— Myszko! Myszko! — powtórzyli inni. — Zgoda na niego... Niech prowadzi ludzi, wici słać, lud zwołać i na gród idźmy z nim.

Gdy się ku Myszkom zwrócili, oni po sobie patrzyli.

— Zgoda — rzekł ten, którego już Krwawą Szyją nazywano — zgoda... Prowadzić będę... Ale posłuchu się domagam...

— Będziesz go miał! — zaczęto krzyczeć ze wszech stron.

Tylko Bumir i jego ludzie zmilczeli, a gdy tu wrzawa bojowa się wzięła, ustąpili na stronę, choć z ostrowa jeszcze nie odpłynęli.

Na Wizuna, który się przysłuchiwał, poczęto patrzyć. On, kijem w ziemi przebierając, uszami i oczyma zbierał, co się wkoło działo. Siedział tuż stary kneź Miłosz, dalej stał Bumir; nie wszystkich ich pewni byli Myszkowie i znać Wizun, bo słowa nie mówił, chmurno brwi ściągał tylko. Z wielkiej gromady, gdy już Myszkom dano dowództwo, oni się naprzód wydzielili i na bok odeszli, a poczęli cicho rozmawiać między sobą.

Gdy po naradzie tej powrócili znowu, na Wizuna jęli wołać niektórzy, aby z chramu wydał im stanice, które noszono przed wojskami, gdy szły do boju, a czasu pokoju stawiano w bezpiecznym miejscu. Były to stare wyobrażenia bogów i znaki wojenne, na wysokich drzewcach osadzone. Wyniesienie ich z miejsca tego oznaczało wojnę. Wizun spojrzał na Myszkę z krwawą szyją, a ten głową potrząsnął. Wojna, Obyczaje

— Będzie na to czas — rzekł krótko i stanowczo — ja sam po stanice przyjdę... I wiem, dlaczego ich teraz nie podnoszę. — To mówiąc i popatrzywszy z ukosa na Miłosza, siedzącego na ziemi, starego Wizuna odciągnął na bok z sobą i dwu swych braci. — Ich to krew — rzekł, wskazując na knezia — ja jej nigdy nie wierzę... Nie chcę radzić z nim ni

[92] *przewieść* — tu: przeprowadzić. [przypis edytorski]

przy nim. Jeżeli stanice wyniesiemy, a wojnę zaraz obwołamy, sposobić się będą do obrony i posiłki zwoływać. Lepiej jeszcze posiedźmy cicho i gotujmy się, a ludzi zbierajmy, nie czyniąc hałasu. Chwostek pomyśli, żeśmy się go ulękli i uspokoi się... Może nam się go uda pochwycić, nie dobywając grodu. Nie wytrwa w nim zamknięty długo, po kilku dniach na łowy wyjedzie, a my nań czatować będziemy. Oszczedzim krwi... Zamordujemy go w lesie... Jeżeli się nam to nie powiedzie, czas będzie na gród iść...

Myszko się uśmiechnął. Spojrzał na Wizuna, który głową tylko potrząsł.

— Bumir i jego gromada stąd prosto na gród pójdzie donieść, co uradzono... Rozejdźmy się cicho, nie mówiąc nic.

Dwaj bracia poszli z nakazaniem po gromadach i wnet starszyzna się na czółna zabierać zaczęła.

Stary kneź Miłosz, odstąpiony od wszystkich, pozostał sam, a ujrzawszy się opuszczonym, podniósł się i na Myszkę skinął.

— Nie pytam was o nic — rzekł — wiem, że mi nie powiecie, bo wiary u was nie mam. Jedno wam tylko oznajmuję, że na Lednicy zostaję i nie ruszę się stąd nigdzie, chyba do domu... Nie przystało mi ani wojować z nim, ani iść z wami, ale jeśli się wam powiedzie, cieszyć się będę. Jam stary, Leszek oślepiony... My dożyć żywota tylko chcemy spokojnie.

Rzekł i zawrócił się z wolna, wewnątrz ostrowu idąc, a od ludzi obcych stroniąc.

Myszko wnet zebrał do siebie drużynę.

— Do domów! — zawołał. — Naokoło grodu w lasach straże postawić... Ogniste wici niech wszędzie będą gotowe po górach, aby na dany znak zapalić je można. Gdy błyśnie ogień z nich, co żyje, powinno biec ku Gopłu i do grodu... Ale póki ja nie dam rozkazu, cicho siedzieć, aby Chwost o niczym nie wiedział.

Palec położył na ustach, poszeptali miedzy sobą i zwolna się rozchodzić zaczęli

Bumir ze swymi stał długo i chodził, usiłując się rozwiedzieć, co postanowiono, języka jednak nie dostał. Wiedział tylko, że stanic nie wzięto z chramu i na wojnę jeszcze nie wołano; zmiarkował więc, że się ulękli knezia i że wszystko się rozchwieje, a skończy na próżnej wrzawie.

Pobłądziwszy około chramu, Bumir w końcu też do łodzi poszedł, przeprawił się i na koń skoczywszy, na całą noc pojechał do Chwostka.

Na grodzie sposobiono się do obrony i straż czujna była. Gdy Bumir przybył, puszczono go wnet i sama pani wyszła przeciwko niemu.

Był on tu domowy i znano go, że się zawsze płaszczyć był gotów, a wszystko, co się tu działo, za dobre przyjmować.

Biała pani przyjęła go wejrzeniem niespokojnym i uśmiechem wymuszonym.

— Co przynosicie? — spytała.

Westchnął zausznik.

— Miłościwa pani — odezwał się — nic strasznego nie ma... Zbierała się starszyzna dla narady na Lednicy, przybył i kneź Miłosz... Radzono wojnę, a skończyło się na słowach, siły nie mają... Myszków wybrali na wojewodów, a ci stchórzyli...

Kneźna ręce złożyła z radości.

— Możeż to być? — spytała.

— Tak jest, miłościwa pani — zapewnił Bumir — wykrzyczeli się, rozeszli i znowu wszystko wejdzie w karby...

Rozjaśniło się kneźnie lice. Kazała kmieciowi pozostać, a sama szła do łożnicy męża zbudzić, który zaspany wyszedł w jednej koszuli do niego, oczy sobie kułakami wycierając.

Wnet, pokłoniwszy się, Bumir, sprawę mu zaczął zdawać, której on słuchał, ziewając. Uderzył potem po ramieniu gościa i oczy zaczerwienione wlepiwszy w niego, uśmiechnął mu się.

— Myszki te ja po jednej wyłapię — rzekł cicho — i będzie cicho... Znam ich, że krzykuny są, a do roboty nieskorzy! Będziesz ze mną pił — dodał i zasiadł za stół, Bumirowi kazawszy miejsce zająć na ławie.

Kmieć siadł posłuszny, a choć czuł, że mu tu się nic złego stać nie może, gdy wniesiono miód, a przypomniał częstowanie stryjów, ciarki mu poszły po skórze. Odmówić jednak kubka nie śmiał, bo kneź by się obraził.

Nisko się tylko kłaniał, zaklinając, że wiernym był sługą. Siedzieli więc razem, jeden u góry za stołem, drugi w końcu, i kneź sobie wszystko opowiadać kazał, co na ostrowiu się działo, o nazwiska i ludzi dopytując, jakby je w pamięci dobrej chciał zachować. Bumir musiał mu tak do nocy u stołu dotrzymać.

VII

Minęło dni kilka, a około grodu nic słychać nie było. Rozsyłano stąd na zwiady smerdów i poprzebieraną czeladź do bliższych dworów i chat, nigdzie o żadnym ruchu wojennym nie wiedział nikt. Na pólkach w lasach, gdzie role były piaszczyste a słoneczne, zaczynano zboże żąć. Z sierpami żelaznymi i miedzianymi a krzemiennymi ludzi było dużo widać, a z bronią i oszczepem prawie nikogo.

Nuda

Kneź się począł nudzić i tęsknić, sam jeden zamknięty na grodzie między wałami. Pił, jadł i spał, przeciągał się, ziewał, do białej pani chodził czasem, a gdy z przedsienia na lasy popatrzył, klął okrutnie, że na łowy jechać nie mógł. Brunhilda go nie puszczała. Zrazu słuchał jej milczący, teraz już się burzyć zaczynał.

Jednego dnia Smerdy wołać kazał.

— Jedź, spatrz mi knieje, czy tam gdzie jakiej zdrady nie słychać.

Sługa na cały dzień ruszył, przywiózł ubitego kozła, mówił o spotkanych świniach w lesie, o niedźwiedziu, o wilkach, ludzi nigdzie nie było ani śladu.

Kneźnie ten spokój po takiej burzy podejrzanym się wydawał, jemu naturalnym.

— Na łowy muszę pojechać... — wołał zły. — Zgniję, tak siedząc... Nie wytrzymam, struję się snem i niewolą...

Brunhilda nie puszczała; lękała się przemyślna Niemka zasadzki i zdrady. Z dnia na dzień odkładano łowy. Namówiła ludzi, aby przeszkody wynajdywali. Chwost przeklinał, złościł się, zapijał i coraz mocniej niecierpliwił. Smerdzie nareszcie nieodwołalnie na łowy gotować kazał nazajutrz. Żona ledwie wymogła na nim, iż zamiast garstki ludzi, którą zwykł brać z sobą, trzykroć większą miał prowadzić i silnie zbrojną.

Wierzenia, Zabobony, Religia

Choć krzyżyk na piersi nosił Chwostek, zabobonnym był poganinem, wcześnie więc wypatrywano znaków po niebie i ziemi, aby mu co nad głową nie zakrakało i drogi nie przeszło. Smerda umyślnie zarządził, aby najmłodsza z dziewcząt kneźny z pełnymi wiadrami pokazała się na ścieżce, gdy książę wyruszy. Stara baba z próżnym naczyniem lub niedorosłe dziewczę zarówno się za nieszczęśliwą wróżbę uważały.

Las, Polowanie

Ranek był piękny, a zwiastował dzień gorący. Po niebie jednak przelatywały obłoki białe, wiatr chłodnawy je rozpędzał i odświeżał powietrze. Kneź z haci i mostu zjechawszy, otoczony drużyną liczną, na najbliższy ostęp się skierował. Smerda był pewien, że w nim znajdą zwierzynę. Nie pędzano tam trzód, nie płoszono nigdy i las był umyślnie dla łowów strzeżony. Uroczysko, na które jechali, zwało się Głubiem, a na nim nigdy nie chybiły łowy kneziowskie. Trzeba jednak było przebyć znaczną przestrzeń od kraju[93], aby się dostać do gęstwiny i kniei.

Chwostek, który dawno na koniu nie siedział, lasu nie widział, psów nie słyszał, poweselał, gdy mu nad głową zaszumiały gałęzie, gdy poczuł woń puszczy. Konia więc gnał szybko, aby się dostać do kniei, gdy po półgodzinnej jeździe znalazł się na znanej sobie polance. Stąd na Głubie niedaleko już było.

Pierwszy się wytknął na łąkę, ale wnet konia cofnął i gniewny zwrócił do Smerdy, który ku niemu poskoczył. Wskazywał ręką na polankę. Tu na obalonej kłodzie siedziała stara kobieta, cała płachtą okryta, ziela koło siebie mając narwanego kupy. Sakwy brudne leżały przy niej. Przebierała uzbierane zioła, nucąc, i zdawało się, że nawet nadjeżdżających nie usłyszała i nie postrzegła; obawiano się takich wiedźm w lesie bardziej niż gdzie indziej.

Kobieta, Strach, Duch

Lasy, wody, pola zaludniały naówczas te tajemnicze istoty w postaciach niewieścich, które niemal wszystkie strachem przejmowały, bo na zdrowie i życie czyhały.

[93] *kraj* — tu: skraj, brzeg. [przypis edytorski]

Większa część czarnych duchów niewieście przybierała kształty. Zmory, latawice[94], bogunki[95], miecielice[96], nocnice[97], jędze i strzygi[98], jawiły się w postaci bab tak szkaradnych jak ta, która tu, nucąc, siedziała na kłodzie.

Obawiał się ich kneź, ale i Smerda się ich lękał. Wyrządzić im krzywdę było to narazić się na zemstę i prześladowanie. Gdy Chwostek wskazał swemu słudze siedzącą wiedźmę, ziołami otoczoną, zawahał się i on, co miał począć. Zza pnia, podjechawszy nieco, przypatrzył się z dala babie i poznał w niej Jaruhę. Znano ją dobrze na grodzie, bo i tam przychodziła, ziele nosząc do pani. Posądzano ją o wielką potęgę, ale wiedziano też, iż bardzo złośliwa nie była. Kneź nie śmiał jechać dalej, ciągle na nią wskazując Smerdzie, a ten wreszcie musiał, z konia zsiadłszy, pójść sam do niej.

Zadumana była tak i zajęta baba, że dopiero gdy się do niej przybliżył, z krzykiem i przestrachem się porwała.

Wzięła go, jak mówiła, za wilkołaka, co dla Smerdy wcale nie było pochlebne, i zaczęła szybko coś mruczeć, jakby go przeklinała, co go niemało nastraszyło. Trzęsąc się jeszcze, siadła znowu na kłodzie.

— Cóż to robicie tu, Jaruho? — spytał Smerda.

— Alboś to ślepy, przemierzły włóczęgo? — odparła baba. — Robię, co mi nakazano, zbieram ziele na leki i na uroki, na czynienie i na odczynianie... A masz co przy sobie w baryłce może? Hę? Dałbyś mi się napić, tobym ci mój strach przebaczyła... Bo jak nie...

— Nie mam nic prócz wody w bukłaku... — rzekł Smerda.

— Wody? Miałżeś co nosić! — prychnęła stara. — Z każdej krynicy i rzeczki można jej z żabim skrzekiem dłonią zaczerpnąć... Otóż masz co nosić! Głupi człecze! Stary jesteś, a rozumu nie masz... Wodę nosić! Wodę nosić!

I mruczała znowu pod nosem, a Smerda stał strwożony.

— Cóż to za ziele zbierasz? — zapytał, rozbrajając straszną wiedźmę.

— A co tobie do ziela? — poczęła baba. — To nie wasza sprawa... Lubczyk tobie żaden nie pomoże, boś szpetny... Choćbyś go dziewce dał i bez wrotyczu, czar nie poskutkuje... Widzisz, co koło mnie leży... Bylica... Dzięgiel... Lisie jajko... Biedrzeniec... Dziewanna... Rosiczka... Hej! Hej! Różne dobre rzeczy...

— A złego nie ma nic? — rzekł Smerda cicho. — Kneź tu stoi nieopodal... Żebyście mu jakim czarem nie szkodzili... Bo z nim nie żart!

Jaruha się nastraszyła zrazu, spojrzała ku lasowi.

— Kneź — szepnęła — a! Kneź... A nie każe mnie powiesić?

— Żebyście mu tylko żadnej nie czynili przeszkody! — szepnął Smerda.

— Ja? Jemu? — baba popatrzyła trwożliwie. — Ja u miłościwej pani przecie na dworze bywam i łaski u niej mam... I teraz jej ziele niosę... Jeśli chce, to mu jemioły dam na szczęście... Czego się mnie ma bać? Jaruhę znacie...

Smerda powrócił do stojącego Chwostka.

— To Jaruha, miłościwy panie — rzekł. — Wiedźma jest, ale ona swoim nieszkodliwa... A naszej miłościwej pani służy... Owszem, na łowy może dać szczęście, bo ona się na wszystkim zna.

Chwostek, ubezpieczony, wyjechał z koniem na łączkę. Powoli zaczął się zbliżać do baby, niedowierzającymi mierząc ją oczyma. Jaruha, nie wstając, przychyliła się twarzą ku ziemi i powitała niskim pokłonem, ale szybko się podniosła, starając się uśmiechnąć, bo się Chwostka lękała bardzo. On też niezbyt pewnym wzrokiem ją mierzył. Zbliżywszy się, konia zatrzymał. Baba nań ciągle patrzała.

— Nie wiesz, jakie dziś będą łowy? — zapytał.

— A gdzie? — odparła Jaruha.

— Na Głubiem.

Baba głową poczęła trząść.

— Na Głubiem... Miłościwy panie, nie ma po co jechać tam...

---

[94]*latawica* — tu: kobieta demon występująca w wierzeniach słowiańskich. [przypis edytorski]

[95]*bogunka* — boginka, rusałka, w wierzeniach Słowian demon żeński, będący personifikacją sił przyrody. [przypis edytorski]

[96]*miecielica* — zły duch w postaci kobiecej, sprowadzający zamiecie. [przypis edytorski]

[97]*nocnica* — postać demoniczna z zakresu demonologii słowiańskiej. [przypis edytorski]

[98]*strzyga* — demon z wierzeń słowiańskich. [przypis edytorski]

— Dlaczego?

— E! Bo tam niedobra siedzi zwierzyna...

Obejrzała się po drużynie i poczęła ją liczyć oczyma.

— Jakaż zwierzyna? — rzekł kneź.

— Tam Myszy siedzą, miłościwy panie, Myszy! — szepnęła Jaruha. — Kupa Myszy...

Wróg, Niebezpieczeństwo, Strach

Poczęła się oglądać niespokojnie, wstała i chciała zbliżyć się do knezia, ale ten jej zagroził, aby nie śmiała na krok ku niemu przystąpić. Trwoga odmalowała się na jego twarzy, gdy posłyszał tę zagadkową mowę. Obejrzał się na Smerdę, który zawołał:

— Mów, babo, wyraźnie!

Jaruha niespokojnie patrzyła wkoło i wahała się.

— Co, bo nie rozumiecie... Kiedy mówię: Myszy, Myszy a Myszki, wszystko jedno... Ja tam zresztą nie wiem nic! Nie wiem nic!

Siadła prędko i ziele zaczęła przebierać skwapliwie.

Kneź, Smerda i cała drużyna stali w oczekiwaniu i w jakimś strachu, który ich ogarniał mimowolnie.

Cisza była w lesie, wiatr szedł od ostępu. Uszy ludzi nawykłych do rozeznawania najmniejszego szelestu chwytały jakieś odgłosy nawoływania dalekiego.

Kneź pobladł. Jaruha siedziała, jakby zapomniawszy o nim, z głową spuszczoną; nie mówiła już nic, Smerda się zbliżył do niej.

— Cóż tam Myszki robią? — zapytał.

— Co? U ognia siedzą, zwierzynę pieką i popijają miodem, a na kogoś sobie czekają.

Chwostek zadrżał.

— Ilu tam ich? — zawołał popędliwie. — Ilu?

— Ja bo liczyć nie umiem — odezwała się baba — a kopa ich może być...

Ostatnie słowa wymówiła po cichu. Smerda się obejrzał, licząc swych ludzi; tych i pół kopy nie było.

Z obawy czarów Chwostek się nie śmiał zbliżyć do wiedźmy.

— Pytaj jej, niech gada, co wie! — zakrzyczał na Smerdę. — A nie, postronek na szyję i na gałąź jędzę...

Choć twarzy staruchy widać nie było, ręce jej się trząść tak zaczęły, jakby to rozkazanie usłyszała.

Smerda przysunął się do niej.

— Mów, co wiesz! — krzyknął.

—- Wszystkom wam powiedziała — odezwała się Jaruha. — Toć gdyby nie ja, jechalibyście na Głubie i wpadlibyście w ich ręce. Siedzą tam już trzy dni... Jest ich dużo. Są zbrojni, a milczą tak, że ich o trzy kroki nie słychać...

— Gdzie siedzą? — zapytał kneź.

— Na Głubiem, u błotka, gdzie olchy rosną — szepnęła stara — na prawym brzegu ogień się pali...

— A czaty mają? — rzucił kneź.

— Mnie chłopcy chcieli złapać, ale się nie ważyli — szeptała stara. — Na staje od obozu, chodzi ich kilku...

Podstęp, Wróg

Rozmowa ta jeszcze trwała i wahanie, co poczynać, gdy po gęstwinie coś zaszeleściało dokoła, a ludzie drgnęli na koniach i za oszczepy chwycili. Jaruha, przestraszona, z kłody się zsunęła na ziemię. W tył za siebie obejrzawszy się, kneź zobaczył między drzewami przemykających się ludzi i konia targnął. Smerda skoczył na swojego. Na prawo i lewo coś łamało gałęzie. Zmiarkowali łatwo, że ich opasywano. Chwostowi twarz poczerwieniała i pobladła; zrazu, co poczynać, nie wiedział sam.

Wtem huknęło na prawo i na lewo, kupka ludzi kneziowskich rzuciła się ku panu, otaczając go, ze wszech stron w krzakach ukazywały się głowy, ręce i oszczepy. Ucieczka zdawała się niepodobieństwem, z tyłu odcięta była droga. Nim pociski latać poczęły, wrzawa je poprzedziła. Las się nią rozlegał, wtórował jej i powiększał jeszcze.

Ucieczka

Powracać nie było podobna za siebie. Smerda popatrzył i zdało mu się, że na przedzie wolne było przejście; dał znak kneziowi i ludziom i sam pierwszy rzucił się w tę stronę.

Ledwie się ruszyli, gdy pociski zawarczały, strzały zaświstały w powietrzu. W kołpaku Chwostka utkwiło ich kilka, Smerda miał rękę przetrąconą, ludzi było wielu poranionych, lecz z pospiechem popędzili w las, a choć tu za nimi szła pogoń, naciskając, pociski im

tyle szkodzić nie mogły. Przodem im jeszcze nie zajęto drogi. Smerda z czeladzią ścisnęli między siebie knezia, który głowę i ciało przychylił i na szyi konia się położył — siekli niemiłosiernie szkapy swe, aby napastników wyprzedzić. Z tyłu, na prawo i lewo, gęsto ich głowy przezierały z gęstwiny.

Szczęściem dla uciekających przerzedzony las dozwalał im się prędzej posuwać niż pogoni, która gęstwiną się przedzierała.

Strzały polatywały jeszcze, ludzie gonili, ale orszak Chwostka zyskiwał coraz i wyprzedzał. Zasadzka została wkrótce za nimi i krzyk tylko pogoni słychać było. Smerda i kneź doskonale las swój znali, dobiegli tak do łąki. Wierny sługa do Chwostka się zbliżył i począł mu coś szeptać żywo do ucha, wpadł potem w gromadę i dał jej rozkazy.

Podstęp, Ucieczka, Strach

Kupa dworni podniosła ogromną wrzawę i rzuciła się, krzycząc, na lewo, Smerda i kneź poparli konie i poczęli się na prawo przedzierać. Pogoń, zmylona krzykiem, niosła się na ten głos, kierując za dwornią, a Chwostek w prawo lasem po cichu umykał. Wkrótce nawet wrzawy już słychać nie było. Wpadli w puszczę niedostępną, gdzie powalone kłody rodzaj zasieków wysokich składały. Tu już prawie byli bezpieczni, ale Chwost drżał ze strachu i koniowi nie dając wytchnąć, darł się głębiej coraz.

Koń

Biegli tak, dopóki pod Chwostem koń nie padł wreszcie i nie złamał nogi, trzeba go rzucić było. Gdy Smerda ze swojego zsiadł, ten robiąc bokami, rozparł się, zachwiał, padł i zdechł. Oba więc uznojeni zostali pieszo.

Byli w głębinie boru, wśród moczarów, w której prędzej włochacza (niedźwiedzia) niż człowieka napotkać było można. Smerda pamiętał, jak jechali, lasy te oba nieraz przechodzili na łowach, teraz jednak trudno im było się rozeznać, gdzie ich ta szalona ucieczka zagnała. Wściekły kneź padł na kłodę i rwał odzież na sobie z gniewu. Towarzysz stał nad nim z ręką przetrąconą oszczepem, nie śmiejąc się poskarżyć, okrwawiony, przelękły tylko, jaki los ich czeka.

Długi czas słowa do siebie rzec nie śmieli. Smerda słuchał, czy nie dojdzie go odgłos w lesie jaki; jęczenie tylko konia uszów ich dochodziło. Obawiając się, aby ono ich nie zdradziło, Smerda wrócił do zdychającej szkapy i zarzuciwszy jej sznur na gardło — udusił.

Oba potem zaczęli się rozglądać po drzewach i lesie. Czuli, w której stronie jezioro było i gród, ale aby się stąd wyrwać bezpiecznie, do nocy czekać musieli. Chwostek i Smerda dla bezpieczeństwa rzucili konie swe i głębiej jeszcze starali się dostać w las. Wśród pogniłych i próchniejących pni i kłód olbrzymich znaleźli kryjówkę i w niej się oba zaszyli.

Do nocy było daleko. W lesie tylko ptastwo polatujące i świergoczące słychać było. Siedzieli przyczajeni w ciągłej obawie, czy ich ludzie, rozbiegłszy się, nie odkryją, lecz do wieczora panowała nieprzerwana cisza. Ośmielony Smerda, związawszy rękę, poszedł na zwiady. Zrazu go Chwostek puszczać od siebie nie chciał, lecz drogi przed nocą szukać trzeba było.

Mrok padać poczynał, gdy nareszcie Smerda wrócił i dał znak panu, aby z kryjówki wyszedł.

— Jesteśmy — rzekł — nieopodal od zagrody ubogiego kmiecia Koszyczki... Ma on tu kawał ziemi i lasu, barci pilnuje swoich, rzemiosło sprawia, człowiek spokojny... Syn tu pono teraz siedzi, a Piastunem go zowią. Do niego zajść i spocząć można, bo ni mnie, ni miłości waszej nie zna pono z twarzy... Inaczej z głodu pomrzemy i na gród się nie dostaniemy... Mnie dużo krwi uszło.

Pan, Sługa

Chwost byłby słudze pewnie dał zdechnąć w lesie, a niewiele by się oń troszczył, gdyby mu nie był tak potrzebny.

— Zachodzić do chaty! Paść kmieciowi w ręce! — zawołał. — Szalonym bym był... Idźmy wprost...

Poszli tedy. Smerda prowadził, ale słaniał się i choć na kiju podpierał, zesłabł tak, iż padł kilka razy.

— Chata o kilka kroków — rzekł — ubogi człek gościnny, nikogo o imię nie pyta... Wnijdźmy i spocznijmy...

Chwost się też z głodu i znużenia ledwie wlókł. Między strachem a potrzebą wybierając, milczący dał się prowadzić.

Na kraju lasu ubogi dwór bartnika widać było; przez otwarte jeszcze okno świecił ogień. Słychać było w podwórku koni rżenie i bek owiec.

Kneź pozostał sam, a Smerda poszedł kłamać i o gościnę prosić. Gospodarz sam siedział na przyzbie, synka kilkoletniego u nóg swych przypartego trzymając, gdy Smerda z ręką obwiniętą chustą pokrwawioną, z twarzą podartą się ukazał. Wlókł się ledwie. Gość, Gospodarz, Obyczaje, Wróg, Kłamstwo

Zobaczywszy go, Piastun wstał i podszedł ku niemu.

— Kmieciu dobry — odezwał się Smerda — o gościnę was proszę, na krótki czas... Jesteśmy i my kmiecie z opola obok, zabłąkaliśmy się na łowach w lesie, błądzimy drugi dzień, nie jedząc nic... Rękę, padając, złamałem... Mój pan i towarzysz zmęczony leży niedaleko... Dajcie u siebie spocząć.

To mówiąc, bacznie się rozglądał Smerda; we dworku nie było nikogo. Piastun też przypatrywał mu się, jakby go gdzieś widział i poznawał.

— Kto wy kolwiek jesteście — rzekł — jak skoro w imię starego obyczaju o gościnę prosicie, chodźcie. Wiecie to, że u nas się jej i wrogowi nie odmawia...

— Myśmy nie wrogi! — zawołał Smerda. — A skądże byśmy nimi być mogli?

Stary skinął w milczeniu, ukazując na drzwi dworu. Wrócił tedy Smerda po knezia, który z obawy, aby poznanym nie był, kołpak swój odarł, suknię pooszarpywał z naszywania, miecz schował pod odzież i oczy włosami zapuścił. Tak zmieniony a cały drżący wszedł Chwostek do dworu. Piastun go na ławie sadził i chleb przed nim położono. Przebranie

Gospodyni zaś wnet się zabrała do podania piwa i strawy, na jaką stał dzień powszedni.

Ażeby knezia nie zdradzić, Smerda na skinienie jego siąść też przy nim musiał na ławie. Nie mówiąc prawie słowa, coś tylko pomruczawszy, Chwostek siadł i ręką od ognia twarz sobie zakrywał. Piastun parę razy nań popatrzył, popróbował zagadnąć, otrzymał odpowiedź od Smerdy i nie badał więcej.

Należało to do praw gościnności, aby z obcego człowieka więcej nie dobywać nad to, co on sam chciał dobrowolnie powiedzieć.

Zgłodzeni goście poczęli jeść w milczeniu. Ośmielił ich nareszcie spokój dworu, cisza w okolicy, łagodna twarz gospodarza i jego niewiasty. Chłopak kilkoletni z dala stał, a ciekawymi oczyma przypatrywał się przybyłym.

Gospodyni, widząc, jak Smerda cierpiał, przyszła mu szepnąć, że może by potrafiła rękę mu lepiej opatrzyć i zawinąć. Poszedł więc z nią Smerda do ognia i ranę swą pokazał. Była ona tak widocznie pociskiem zadana, iż kłamstwo się wydało zaraz, lecz staruszka, popatrzywszy mu w oczy, nie powiedziała ni słowa.

Chwostek, nawykły do mocnego napoju, co mu podano, wnet pochłonął; trochę odwagi wstąpiło weń. Popatrzył na Piastuna, który z niego nie spuszczał oczów.

— Kmieciem jesteście? — spytał na ostatek Chwostek gospodarza.

— Jak mój ojciec i dziad — odparł syn Koszyczków spokojnie.

— My to stąd dalej trochę siedzimy — mówił niewyraźnie Chwostek. — Nie bardzo wiemy, co się u Gopła dzieje... Niepokój pono między wami?

Piastun popatrzył nań długo.

— Jeśli jaki jest — rzekł — myśmy niewinni.

— Mówią, że się kmiecie burzą?

— Przy swych prawach stoją — odparł Piastun.

Chwostek zmilkł.

— Kneź też pewnie przy swoich obstaje... — dodał, spode łba patrzając[99].

Gospodarz zdawał się namyślać z odpowiedzią.

— Jeżeli wy do kmieciów należycie — odezwał się — wiecie, że czasu wojny posłuszeństwo im należy, poszanowanie zawsze, a gdy pokój panuje, my po mirach samiśmy się rządzić nawykli z wieka. Tak było i tak będzie... A kto nasze wolności naruszy...

Mimowolnie Chwostek rozśmiał się swym dzikim, szyderskim śmiechem. Smerda, posłyszawszy go, wzdrygnął się. Dosyć było tego, by zdradzić Chwostka. Piastun nań popatrzył, ale bez najmniejszej trwogi. Zamilczeli oba, mierząc się ciągle oczyma.

— Rwać się, słyszę, chcą wasi kmiecie na gród i knezia? — spytał Chwostek.

— Rwał się kneź nasz wprzódy na nas — odparł Piastun — sam wyzywa na rękę... Źle czyni, gdy mu w pokoju siedzieć było łatwo... Ród swój własny wygubił, naszych tam wielu przypłaciło życiem... Któż winien?

Spod włosów kneziowi z oczów błysnęło. Począł gniewnie mruczeć jak niedźwiedź, Gość, Bóg, Obyczaje

[99] *patrzając* — dziś: patrząc a. spoglądając. [przypis edytorski]

poruszył się, na Smerdę skinął i z ławy wstał. Noc już była zapadła bezksiężycowa, choć pogodna.

— Nie idźcie ode mnie w taką porę — odezwał się Piastun — uśnijcie we dworze, pójdziecie z brzaskiem, gdy zechcecie. U mnie bezpieczni jesteście, choćby was i ścigano... — dodał. — Bo gość dla mnie święty...

Na ten wyraz: „choćby was ścigano!" kneź się cofnął i odskoczył, gospodarz uśmiechnął. Smerda blady i wylękły drżał... Jakieś przykre milczenie nastąpiło po tych wyrazach, lecz stary bartnik, niezmieszany wcale, uśmiechał się tylko.

Zdawało się, że te słowa były nieszczęśliwym proroctwem, gdyż w tejże chwili przed dworem zatętniało i kilkanaście głosów się dało słyszeć. Piastun nastawił ucha, zmarszczył się i ręką pośpiesznie wskazał na komorę, której drzwi już na pół otwarła gospodyni.

— Miłościwy panie — odezwał się Piastun — wiem, kto wy jesteście... Schrońcie się... Może Myszki was szukają... U mnie bezpieczni jesteście. Gości bogi zsyłają.

Wyrazy te wyrzekł z powagą i spokojem i po wtóre na drzwi wskazywał. Chwostek sam nie wiedział, co począć; trwoga go wreszcie zapędziła do komory, którą staruszka za nim i Smerdą zatrzasnęła.

Łuczywo u ogniska zapaliwszy, Piastun spokojnie wyszedł przed dwór, podnosząc je do góry.

Kilku jezdnych stało u wrót.

— Ojcze — wołał Myszko z krwawą szyją — nie wiecie, co się stało! Chcieliśmy krwi ludzkiej oszczędzić, trzy dni i trzy noce siedzieliśmy, czatując na zbója! Był w naszych rękach i uszedł. Lecz z głodu chyba zdechnie w lesie i nie da sobie rady, bo mu się rozbiegli ludzie, a opój ten sam w puszczy nie potrafi się rozeznać. Może też go który z naszych napotka i zadławi... Konie napoimy i pilno nam do dworów.

Wnet czeladź Piastunowa poszła z wiadrami do studni, konie pojono i Chwostek w komorze schowany mógł słyszeć, jak go wyklinano i nań się odgrażano. Kilka razy ze złości rzucił się ku drzwiom, od których go Smerda ledwie potrafił odciągnąć.

Dobry czas trwało pojenie koni i ludzi, bo Myszkom wyniesiono miodu. Śmiechy ich i krzyki dolatywały do uszu zamkniętych, aż ustały, zatętniły konie i jezdni w dalszą popędzili drogę. Gdy ucichło wszystko, Piastun, milcząc, poszedł otworzyć drzwi, więźniów wypuścić.

— Idźcie — rzekł — niebezpieczeństwo minęło.

— Kmieciu dobry — zawołał Chwostek — proszę was do mnie na gród w gościnę... Winienem wam wiele.

— Nie — rzekł Piast — prawo nasze kazało tak i obyczaj... Nie z miłości dla was uczyniłem to, bo nie miłuję was... Ale dla rozkazu bogów. Idźcie w pokoju... Kto wie, gdzie się spotkamy...

Chwostek stał nachmurzony.

— Ty na mnie ręki nie podniesiesz! — zawołał.

— Miłościwy panie — rzekł Piastun — jak miry pójdą na was i zawołają... Pójdę i ja...

Mówiąc to, ustąpił mu z drogi, a Chwostek pośpiesznym krokiem wyrwał się z chaty, nie mówiąc słowa i nie patrząc za siebie. Wrota się za nimi zamknęły; noc była czarna, milcząca. W dali tylko pobłyskiwało jezioro i na wysokim stołbie u góry ogień, wedle zwyczaju rozniecony, czerwonawym światłem migał. Chwostek ze sługą znikli w ciemnościach. Piastun odetchnął lżej, gdy ich nie stało.

VIII

Nazajutrz w chacie Piastunowej życie powszednie szło trybem zwyczajnym. Pogodny wieczór świecił zachodzącym słońcem. Na szopie bocian klekotał, niemowlętami swymi zajęty, na łące rżały konie, owieczki bure wracały do szop i u wrót domowych dopominały się wnijścia. Wróble świergotały pod strzechą niespokojnie, jaskółki unosiły się wysoko, krążąc w powietrzu i zapowiadając pogodę. Od jeziora na wyżary[100] ciągnęły kaczki sznurami i stadami.

[100]*wyżar* — leśne pogorzelisko na podłożu torfowym, na którym tworzą się zbiorniki wodne. [przypis edytorski]

Stary, nad stołem sparty, zadumany siedział. Tu cicho jeszcze było i wesoło, a dokoła zbroiło się i poruszało wszystko. Myszkowie obwołali lud, tejże nocy miały błysnąć wici ogniste po pagórkach. Posłańcy biegali od chaty do chaty. Około wieży na grodzisku widać było ruch i krążące światła. Stada kneziowskie spędzano z pastwisk, aby ich nie zajęli kmiecie, których gromady już się po krańcach lasów pokazywały. Z chaty Piastunów, w której stary bartnik siedział z niedorosłym synaczkiem, wysłać nie było kogo, czeladź tylko uzbrojono, aby z innymi ciągnąć mogła.

Dzikie okrzyki jakieś rozlegały się z dala, w których rozpoznać nie było można, czy z kup kneziowskiej, dworni na zamek się ściągających, pochodziły, czy z gromad kmiecych, które już się zbierały.

Wojna, Święto, Imię, Syn, Obyczaje, Obrzędy

Stary wyszedł w podwórze, spoglądał dokoła i nie mógł oczów oderwać od szarego stołba nad jeziorem, od grodu, przy którym miała wkrótce zawrzeć wojna krwawa. Nie w porę mu ona przychodziła, bo synaczek dorastał, a obyczajem starym siedmioletniemu sprawić było potrzeba postrzyżyny, imię dać, pobłogosławić, a któż w taki czas burzliwy mógł zjechać w gościnę i ucieszyć się z rodzicami? Próżno było słać i prosić na taki obrzęd wesoły, gdy wszystko wrzało gniewem i bojem.

Zamyślony stał tak jeszcze, gdy dwóch ludzi, w stroju obcym, z twarzami też nieznanymi, a dziwnym jaśniejącymi spokojem, podjechało ku wrotom i przy nich stanęło. Zdawali się rozglądać i wahać nieco, spojrzeli na ubogiego bartnika razy parę, poszeptali coś z sobą. Naradzali się widocznie, co począć mieli.

Wieczór nadchodził. Przyjezdni, jak to z sukni ich poznać było łatwo, z daleka być musieli, może znad granic lechickich i polańskich lub zza Łaby nawet, bo coś jakby niemieckiego ubranie ich znamionowało. Oba niestarzy jeszcze, mieli na sobie długie płaszcze ciemne, pod nimi obcisłą odzież podpasaną i żadnej widocznej broni. Lekkie węzełki przywiązane były do ich koni.

Zmęczone całodziennym pochodem wierzchowce ich, jak skoro stanęli, wyciągnęły łby chciwie, usiłując świeżej pod nogami dostać trawy.

Jadący przodem młodszy twarz miał piękną, jasną, wypogodzoną, uśmiechniętą prawie mimo znużenia. Drugi, starszy nieco, surowszego oblicza, zahartowany znać życiem, chłodno i spokojnie a bezpiecznie patrzył, choć stał wpośród obcych, jakby pewien był, iż mu się nic złego stać nie może.

Było to tym dziwniejsze, że w okolicy mijać się ciągle musieli zapewne z podrażnionymi garściami kmieci i dworni kneziowskiej, równie obcym przybyszom niechętnej. Poruszenie, jakie panowało w tym kątku, nie zdawało się ani dziwić, ni trwożyć dwu podróżnych.

Stanąwszy u zagrody, patrzyli na nią, na Piastuna i szeptali, naradzając się z sobą.

Wreszcie pierwszy z nich, z konia zlazłszy, z wesołą twarzą, powolnym krokiem podszedł ku Piastunowi i pozdrowił go w języku, który choć nie był lechickim, brzmiał swojsko i zrozumiale w uchu starca. Wędrował on niegdyś po świecie i wędrownych braci spotykał, poznał mowę, której Serby, Morawianie i Czechy używali.

— Jesteśmy podróżni z daleka — odezwał się — cny gospodarzu, potrzebujemy schronienia ku nocy. Tam — wskazując ręką na gród, dodał — tam próżnośmy o gościnę u wrót prosili, precz nam kazano iść... Trafiliśmy na kraj zburzony, ludzi jakąś waśnią zajętych, dwory puste i chaty... Prosimy was o gościnę... O dach tylko nad głowy nasze...

Stary silną dłonią żywo wrota na oścież otworzył.

— Miłościwie was proszę — rzekł — wnijdźcie i odpoczywajcie. Na naszej ziemi przecie żadna chata przytułku żądającemu nie odmawia... Toć obyczaj ojcowski i póki rodu naszego, póty tego obyczaju...

Mówiąc, starzec ich ciągle ręką w podwórze zapraszał. Zsiadł więc i drugi z konia i weszli, nie wahając się, a tuż parobczak nadbiegł, aby zabrać konie. Piastun ich wiódł do przedsieni i świetlicy, aby się naprzód chlebem rozłamać. Posadził ich na pierwszym miejscu i skinął na niewiastę, która się ukazała, aby jadło i napój przygotowano.

— Bądźcie mi pozdrowieni pod tą strzechą — rzekł — przychodzicie właśnie, gdym łaknął gości, a w tej godzinie spodziewać się ich nie mógł.

Z wielką ciekawością jęli się przybyli rozglądać po ubogiej chacie, w której wszystko było jeszcze podług starodawnego obyczaju z drzewa i gliny, sprzęt odwieczny — nic

z tych obcych błyskotek, które obficie już naówczas przywozili kupcy zza morza i z zachodu, ani bożków rzymskich i etruskich, ani wytwornego oręża, który Chrobaci nasyłali, ani kruszcowych wisiadeł, naczyń i broni, na bursztyny i futra mienianych[101]. Polańskich zdunów[102] i bodniarzy[103] robota zajmowała półki. Odzież była tkana z wełny uprzędzonej w domu, płótno i skóry zwierząt ją dopełniały.

Znać po drodze, od wrót grodu jadąc, mieli sobie podróżni poleconą chatę gościnnego kmiecia i spodziewali się znaleść tu dwór większy i zamożność, gdyż jeden z nich spytał gospodarza, czyliby był tym kmieciem, Koszyczka synem, u którego im przyjęcie zapewniono.

— Słyszeliśmy o was — rzekł — i nie z jednych ust, ale od wielu snujących się po okolicy, którzy nam do grodu waszego knezia iść odradzali... W istocie, tam nas się zbyto[104] porywczo, rozkazawszy iść precz, a gościna u was nie zawiodła...

— Jamci jest Koszyczka synem — odpowiedział Piastun — żyję swym obyczajem, drzwi moje nie zamykają się przed nikim, ale dostatku, do jakiegoście może nawykli[105], nie znajdziecie u mnie. Kmieciem jestem i bartnikiem, żyję jak ojcowie... Przy dawnym obyczaju stoję... Dzikimi nas za to zowią, a my dzikimi zowiemy tych, co odzież nosząc lepszą i oręż piękniejszy, serca drapieżne mają... Że na gród was nie puszczono, dziwić się nie powinniście, niepokój tam musi panować wielki...

Obyczaje

— Cóż to się dzieje? — spytał gość.

— Między kmieciami a kneziem sprawa — mówił Piastun. — Niemkinię za żonę wziął i po niemiecku zażywać nas chce, a myśmy do swobody nawykli i obcego prawa ani obyczaju znać nie chcemy.

Obcy, Niemiec, Dobro, Zło

Gość się na to uśmiechnął.

— Czy wiarę też nową — spytał — myślał zaprowadzać?

— O tej my od niegośmy nie słyszeli — odparł Piastun — choć o niej inni ludzie różne wieści głoszą... Obcego nic znać nie chcemy.

— Dobrze czynicie — rzekł gość — ale nie wszystko cudze złe jest. Z mowy naszej poznajecie, że my Niemcami nie jesteśmy, ani ja, ani towarzysz mój, ale co dobrego mają, to od nich wziąć się godzi.

— A cóż dobrego stamtąd przywożą? — mówił gospodarz. — Nie wiem. Jeśli oręż, co zabija, zbójeckie to dobro, jeśli świecidła, co niewiasty płochymi czynią, trucizna to. Mamy ziemię swą, co nas żywi, pieśni swe i dzieje, które karmią, bogi nasze... Cudzego nic nie potrzebujemy.

Gość młodszy westchnął.

— Wiele z Niemiec idzie — rzekł — ale przez Niemcy tylko przechodzi i nie jest niemieckie. A gdyby przez ich kraj płynęło błogosławieństwo i pokój dla świata?

— Pokój? Błogosławieństwo? — spytał Piastun. — Święte to rzeczy są, ale jakżeby przez ręce ludzi, co łupieżą i morderstwem żyją, iść one mogły?

Zamilkli na chwilę, a wtem weszła niewiasta Piastowa, Rzepica, osłoniona po białogłowsku dawnym obyczajem, z zawiniętym czołem i usty, w bieli cała, sama przynosząc jadło. Za nią służebne dziewki placki, miód i kubki niosły.

Kobieta, Obyczaje, Sługa

Pokłoniwszy się podróżnym i zastawiwszy stół, ustąpiły zaraz na stronę, gdyż tu, jak wszędzie, nie godziło się niewiastom pospołu z mężczyznami siadać.

A gdy ich starzec do jedzenia zapraszał, obaj goście powstali ze swoich miejsc, stanęli, obróciwszy się ku wschodowi, ręce poskładali, z głowy zdjęli nakrycie i poczęli coś szeptać, nad jadłem zastawionym czyniąc znaki.

Jedzenie, Czary, Modlitwa, Bóg

Piastun się uląkł nieco, widząc w tym czary jakieś.

— Nie juści — zapytał — czarownikami jesteście? Na co te znaki czynicie i dlaczego?

— Nie obawiajcie się czarów — odparł młodszy z gości, siadając po chwili. — My czary odganiamy, ale ich nie czynimy. Zwyczajem jest u nas, na Morawie[106], Boga wzywać

Bóg, Religia, Obraz świata

[101] *mieniany* (daw.) — wymieniany. [przypis edytorski]

[102] *zdun* — dziś: rzemieślnik zajmujący się budową i konserwacją pieców i kominków; tu: rzemieślnik wyrabiający wszelkie naczynia i przedmioty (w tym również piece, kafle itp.) z gliny; garncarz. [przypis edytorski]

[103] *bodniarz* — bednarz; rzemieślnik zajmujący się wyrobem beczek, cebrów, balii i in. naczyń i pojemników z deszczułek drewnianych. [przypis edytorski]

[104] *zbyć się* — pozbyć się. [przypis edytorski]

[105] *do jakiegoście (...) nawykli* — do jakiego nawykliście; przykład ruchomej końcówki czasownika. [przypis edytorski]

przy każdej czynności i jego błogosławieństwa.

— Jakiego Boga? — zapytał Piast. — Słyszeliśmy, że Czechy i Morawce nowego Boga, którego Niemcy z zachodu przynieśli, u siebie też wyznawać zaczęli.

— My nie znamy innego Boga, tylko jednego na świat cały — rzekł powoli gość — Boga, który jest ojcem wszystkich narodów i ludzi i panem całego świata a wszelkiego kraju... Którego dziećmi wszyscy jesteśmy...

Piast, zdumiony nieco, słuchał.

— Takiego Boga i myśmy niegdyś wyznawali — rzekł — jednego i najwyższego, wyznajemy go i teraz, choć pomniejszych duchów moc jest wielka...

Goście spojrzeli po sobie i milczeli trochę, chleb łamali, głód zaspokajając.

— O tej nowej wierze — odezwał się Piastun — myśmy też już wiele słyszeli... Są i u nas tacy, co dla niej swoje bogi porzucili. Jesteścież wy też takimi ludźmi nowymi?

— Tak, jesteśmy nimi, dziećmi Boga jedynego — przerwał drugi — nie zapieramy się tego.

Piastun się zamyślił głęboko i odsunął nieco.

— Mieczami i krwią nawracają ku niemu Niemcy za Łabą — rzekł chłodno — a my z nimi jednego Boga mieć nie chcemy.

Przybyli goście znowu się zmierzyli oczyma i poszeptali cicho między sobą. Piastun uprzejmie ich do jedzenia zapraszał. Widać było, że go ciekawość i niepokój do pytań pobudzały, gdyż coraz wtrącał coś, aby się o nowej wierze dowiedzieć.

Religia, Obraz świata

Nie była już chrześcijańska wiara zupełnie obcą w Lechii, wciskała się ona ze wszech stron, ale zarazem mieszała z dawną, i była tylko nowym bałwochwalstwem, torującym drogi nawróceniu. Godło krzyża jako amulet wisiało już utajone na niejednej piersi... Kładziono je poganom do mogiły. Byli ludzie ochrzczeni, a żyjący potem w pogaństwie, które ich otaczało. Tłumy jednak przywiązane były do wiary ojców, do podań starych, do związanego z nimi porządku i obyczaju społecznego. Bałwochwalstwo słowiańskie nie miało tych form wyszukanych, określonych, stałych, co inne wiary pogan. Wyznawano Boga jednego, lękano się duchów pomniejszych, natura cała przedstawiała się jakąś żywą istotą rozumną, ze wszystkimi w niej żyjącymi stworzeniami stanowiącą spójną całość, tworzącą z nich i nimi żywot jeden wspólny...

Wody płynęły żywiące i duchem przesycone, mówili ptacy, broniły i opiekowały się zwierzęta, mścicielami i posłami były wichry i burze, cała ziemia i niebiosa zlewały się w wielkie — Pan[107]... będące Bogiem i w Bogu. Ta harmonia wszystkich sił, to prawo niezbłagane kolei, dól, losów życia, przeznaczeń —uspokajało zupełnie, karmiło i starczyło. Braterski się z tego wytworzył porządek, nie tylko między ludźmi, ale między zwierzętami, i wróg dopiero a potrzeba obrony wniosła żywioł zwątpienia i niepokoju.

Ten świat w sobie zwarty nie pragnął nic nad to, aby się mógł w swych kręgach obracać spokojnie — pierwsze wtargnięcie weń obcych żywiołów zachwiało tę całość potężną, od Indów może jeszcze zapożyczoną w ziarnie, a rozwiniętą duchem własnym. Za tych prastarych czasów słowiańska gęśla była jedynym orężem ludu; gdy przyszło za miecz chwycić, wszystko się musiało przemienić.

Gdy goście jeść skończyli, powstali znowu, złożyli ręce, po cichu się pomodlili i usiedli.

Piastun zapytał ich, jakie to były słowa, które wymawiali i czy by one dlań zrozumiałe być mogły.

Bóg, Niemiec, Wróg, Brat

Naówczas młodszy z gości, z twarzą wesołą, powtórzył z wolna modlitwę dziękczynną Bogu wszechmogącemu za posiłek dnia tego i za wszystkie dobro i błogosławieństwa, jakich od niego doświadczyli.

Piastun zrozumiał wyrazy i zamyślił się nad nimi.

— A więc — zapytał — jeden by tylko Bóg był dla wszystkich?

— Tak jest — odpowiedział gość — i tego my, a z nami już większa część ludów wyznaje... Między którymi i bracia nasi, jednej mowy, są.

— Ci więc staną się nieprzyjaciółmi naszymi? — rzekł gospodarz.

---

[106] *Morawie* a. *Morawy* — kraina historyczna we wschodniej części Czech. [przypis edytorski]

[107] *pan* (gr.) — wszystko; wszech- jako przedrostek w złożeniach; por. *panteizm*: wszechbóstwo. [przypis edytorski]

— Nie, gdyż oni wierzą, iż wszyscy ludzie, narody wszystkie są braćmi, a nie godzi się im napadać ani zabijać, ani wrogiem nazywać nikogo, bo miłować jest prawem, miłować nawet tych, którzy są nieprzyjaciółmi!

— Wrogów miłować! — zawołał Piastun, składając ręce. — A jakże to być może? Wrogów? A więc i Niemca?

— Tak jest — rzekł gość — ale bronić się od napaści godzi.

Nachmurzyła się brew gospodarza, rękę podniósł i rzekł ponurym głosem:

— Oni nam braćmi nigdy nie będą, nigdy!

Przerwała się rozmowa, nie nalegali goście i w chwilę długą potem dopiero zapytał młodszy o to, co się w kraju działo. Piastun znowu powrócił do tego, iż wszystko zło szło z naprawy[108] Niemców, z którymi się kneziowie wiązali.

— Chciwi są ziemi i łupu — rzekł — wypychają nas i niszczą a tępią, ażeby sami się rozsiedli szerzej i panowali...

— Prawdą to jest — dodał starszy z gości — i niektórzy kneziowie, jak wasz, łączyć się z nimi zapragnęli, aby pokój wyjednać, bo Niemców siła jest wielka i uzbrojenie mocne... Drudzy zaś myślą o tym, jak by wszystkie małe narody i plemiona nasze powiązać z sobą dla oparcia się Niemcom... Dlatego nową wiarę przyjmują, by im stanąć na równi, a sobie ręce podają na nieprzyjaciela wspólnego.

Zapytał Piastun, którzy by to byli kneziowie ci rozumni, a goście jęli mu opowiadać, iż na Morawie i w Czechach się to działo i że Polanie także do tego związku z czasem przystąpić byli powinni...

Dodał potem:

— Wodza jednak i głowy narodowi zawsze potrzeba... Mają ich i narody naszej mowy, zwłaszcza te, które wojować muszą. Źle więc czynicie, jeśli knezia chcecie obalić i żadnego nie znać.

— Nie chcemy tego czynić — rzekł Piastun — wybierzemy innego, aby nam dowodził, ten zaś okrutnik był i krew ludzką rozlewał, i zabijał a truł ród nawet własny... Dlatego cierpieć go nie możemy i lud wszelki ciągnie, aby go obalić.

Rozpowiadał im potem, co uczynił Chwostek z kmieciami i ze stryjami swymi, i że Niemców wzywał przeciw swoim a trzymał z nimi.

Wieczór piękny z izby ich potem wyzwał, poszli usiąść na przedsieni i rozmawiać zaczęli znowu. Piastun zagadnął ich o wiarę nową, której ciekaw był bardzo. Naówczas młodszy z gości tak mówić począł:

Religia

— Wiara to jest jedna, co cały obejmie świat, a gdy się to stanie, bo idzie z potęgą wielką, nie będzie w nim ani wroga, ani niewolnika, ani plemienia upodlonego... Tylko jedni bracia ojca jednego... Na naszej ziemi przyjąć się ona musi i rozkrzewić bujnie, bo u nas już przed wieki te prawdy niegdyś królowały i nigdyśmy okrutnymi ani bezlitośnymi nie byli. Obcy miał u nas schronienie, ubogi chleb, słaby politowanie... Grzebaliśmy umarłych, głodnych karmili, bronili uciemiężonych, a nie znaliśmy tylko jednego Boga... Choć całego Jego blasku dostrzec nie mogliśmy.

— I ten Bóg wasz jedyny Niemców i wrogów kochać każe! — zawołał Piastun. — Dziw to wielki!

Uśmiechnęli się goście.

Po chwili stary wstał i podniósłszy z ziemi dwa patyczki, złożył je na krzyż, ukazując ten znak gościowi.

— Widziałem znak ten — rzekł — wiem, że go czczą ludzie tej wiary nowej... Noszą go na sobie dla obrony od wszelkiego złego... Powiedzcie mi, co on oznacza.

— Jeśli mnie posłuchać zechcecie — odezwał się młodszy, biorąc z poszanowaniem krzyżyk i całując go, a potem spod sukni dobywszy podobny kruszcowy i pokazując Piastunowi — jeśli posłuchać chcecie, opowiem wam chętnie o tym znaku i o wierze nowej, gdyż podróż moja i towarzysza mojego nie inny ma cel, tylko szukanie dzieci dla jedynego Boga i nawracanie tych, co go jeszcze nie znają... Krzyż jest znakiem tego, co na dalekim wschodzie z wybranego narodu przyszedł na świat i był synem boskim a Bogiem samym wcielonym...

[108] *naprawa* — tu: namowa; por. *prawić* (daw.): mówić. [przypis edytorski]

Piastun oczy ciekawe wlepił w mówiącego, chciał rzucić jakieś pytanie, potem zamilkł, a gość tak ciągnął dalej:

Chrystus

— Był tedy na wschodzie naród wybrany, który w pośród bałwochwalców, sam tylko stale wyznawał jednego Boga, co stworzył niebo i ziemię. W narodzie tym byli prorocy, którym Bóg objawił, że ześle na ziemię syna swojego, aby nową wiarą świat odrodził, a życiem swym ją poświadczył. Spełniły się proroctwa w dniu i godzinie naznaczonej i oto sam Bóg narodził się światu z Dziewicy... W ubóstwie, w nędznej szopce, na rozdrożach, wśród ucieczki... Całe życie jego było cudowne. Zaledwie dorósł, nawracał ludzi i oczy im otwierał, leczył chorych, wskrzeszał umarłych, strapionych pocieszał. Ani królem, ani wodzem, ani panem być nie chciał. Żył u przybranego za ojca opiekuna, prostego cieśli, z rybakami i z pospólstwem, a przecie czuli w nim wszyscy Boga, po prawdzie i świętości tych słów, jakimi mówił, i po cudach, które czynił. Nauka jego trafiła do serc wszystkich. Opowiadał, że Bóg jest jeden, że wszyscy ludzie są dziećmi jego, braćmi sobie, że miłować się powinni i dobrze czynić. Nakazywał życie skromne i ubogie, przebaczanie win, opiekę nad słabymi. Tego Boga-Człowieka źli ludzie, nie wierząc w niego, lękając się, bo im złego czynić bronił, oskarżyli, osądzili i na takim oto krzyżu z drzewa przybili, powiesili, śmierć mu zadali...

Piastun westchnął.

— Jakże Bóg mógł zezwolić, aby go męczono? — zapytał.

— Uczynił to dobrowolnie dlatego, aby okazał, że jest Bogiem, aby umęczony zmartwychwstał i powrócił do nieba.

— Tak się stało? — zapytał stary.

— Stało się tak — rzekł gość — działy się i inne cuda liczne, które dzieło boskie ugruntowały. Największym zaś cudem było to, że owi rybacy, cieśle, lud prosty, potrafił nawrócić na tę wiarę królów, mocarzy i mędrców świata, że powywracano ołtarze fałszywych bogów, a wiara ta co dzień się szerzy i krzewi...

Milczał Piastun, słuchając, a drugi z podróżnych, trzymając ów krzyżyk drewniany w dłoniach, dodał — że ten znak śmierci stał się godłem życia nowego i że dlatego noszą go wyznawcy tej wiary, iż od nazwiska Boga umęczonego imię wzięli, a życie jego naśladują.

Prosty człek pojął wiele z tych rzeczy, drugich nie zrozumiał, o inne pytał lub możliwości ich zaprzeczał; tak się rozmowa przeciągnęła do późna.

Ogień, Wiadomość

Siedzieli na ławie w podsieniu i patrzyli stąd na jezioro i wieżę a szeroką okolicę. Wtem nagle na wzgórzu jednym wśród ciemności błysło światło i ogień słupem strzelił do góry. Jeszcze nie pośpieszyli podróżni zapytać, co by to znaczyło, gdy na drugim i trzecim miejscu pokazały się ognie podobne... W lasach nawet zapaliły się stosy i łunami odświecały się na niebie.

— Co znaczą te ognie? — zapytali goście. — Czy to pożary wzniecone przez nieprzyjaciela?

— Nie... To *wici ogniste* — rzekł Piastun — to zapowiedź wojny... W tej chwili cały kraj, wszystkie miry nasze wiedzą, że ciągnąć mają tu...

Wskazał na wieżę...

Jakby na urągowisko tej zapowiedzi ognistej, kneź na wierzchołku wieży rozkazał nałożyć stos łuczywa i podpalić go.

Ogromne płomię[109] buchnęło, jakby cały stołb gorzał we wnętrzu.

W jeziorze spokojnym odbił się ten blask. Widok był wspaniały razem i straszny. Ognistymi głoskami na tle nocy pisała wojna i śmierć przybycie swoje. Podróżni westchnęli smutnie.

— Nie lękajcie się — rzekł im Piastun — obcemu się u nas nie stanie nic, choćby wojna się rozpoczęła, a nim ludzie się pościągają, dni może kilka upłynie. Ja was proszę, abyście się u mnie zatrzymali jutro... Dzień to jedynego dziecka mojego, dla mnie uroczysty, siódmy rok kończy... Życie mu się poczyna; nie wiem, czy kto z moich przybędzie do mnie, wszystkich teraz wojna zajmuje... Bądźcież wy, dobrzy ludzie, jednego języka, wyznawcy Boga pokoju, drużbami dziecka mojego.

Spojrzeli po sobie przybyli, uśmiechnął się ochoczo młodszy i rzekł:

— Stanie się po woli waszej...

[109] *płomię* — daw. forma r.n.; dziś r.m.: płomień. [przypis edytorski]

I szli do świronka[110], w którym pościel dla nich przygotowano.

Nazajutrz rano cała okolica, lasy i pola, od brzasku mrowiły się ludem, który ściągać się zaczynał pod grodzisko. Nie rozpoczynano nic, gromady kładły się z dala, lecz coraz nowe przybywały, niosąc znaki na żerdziach swe i rozsiadając się jedne przy drugich. Ogniste wici zbudziły wszystkie miry i opola dokoła. Z wierzchołka grodu mógł Chwostek widzieć, jakie siły się przeciw niemu skupiły i jak co chwila urastały.

Gród stał zaparty i umocniony już przez ostatnich dni kilka, sypano wały i przekopywano rowy, zabijano częstokoły, lud chodził po wałach zbrojny, a na wierzchołku stołba widać było ciągle przemykające się postacie.

Gość, Gospodarz

A chociaż Piastun nie spodziewał się, aby mu goście przybyli, wszyscy niemal starsi kmiecie, żupanowie, władyki, cisnęli się u wrót ubogiej chaty, tak że i on i Rzepica zwątpili, czy ten wszystek lud nakarmić potrafią. Starczyłoby było wprawdzie zapasów, bo komory pełne były i zasobne, ale o czym potem przebyć zimę? Piastun zafrasował się nieco, lecz rzekł w duchu, iż gości ostatkiem po starym obyczaju nakarmi i napoi, a choćby i prószyna ani kropla mu nie została, skąpić nie będzie.

Wesołą więc twarzą witał we wrotach zachodzących.

Starszyzna poodchodziła od gromad swych leżących na polu i ciągnęła do dworu Koszyczkowego syna. Przybyli i Myszkowie, których wiódł Krwawa Szyja.

— Dobra to wróżba dla was, gospodarzu nasz — zawołał w progu — że na dzień syna waszego rozpoczyna się wojna z niemiecką niewolą. Znak to, że dziecko doczeka powrotu starego naszego żywota i swobody...

Za czym ściskali się wszyscy, a przybyłych wczoraj gości obcych, gdy się mową „słowa" odezwali, powitano jak braci, dając im miejsce poczestne[111]. Stoły postawiono z desek pod drzewami, z mięsiwem, chlebem i korowajami[112] świątecznymi, a około nich kadzie z napojem, czerpaki i kubki.

A nim się obrzęd postrzyżyn rozpoczął, gdy ciągle Myszkowie i Ścibory, i rodzina a drużbowie, i znajomi ciągnęli, gwarzono przy jadle i napoju.

Gość młodszy znowu, jak wczoraj, mówić począł, zachęcając Polanów, aby się z braćmi Morawcami i Czechy, i innymi łączyli dla opierania Niemcom, gdyż niebezpieczeństwo od nich było wielkie, a zmóc go inaczej nie potrafiłoby „słowo", tylko wspólnymi siły.

Na co Myszkowie rzekli:

— Dajcie nam naprzód co złe obalić i z korzeniem wywrócić, potem pomyślim, co w miejsce jego osadzimy.

Obrzędy, Imię

Ojciec, Syn, Kobieta, Mężczyzna, Obyczaje, Kapłan

Dwór, podwórko i łączka pod drzewy około południa pełne były gości. Zbliżała się tedy chwila, gdy postrzyżyny dopełnić należało. Miejsce kapłana zwykle w rodzinie głowa domu zajmowała; ojciec składał ofiary i prowadził do miejsc świętych. Doszedłszy lat siedmiu, chłopcy z rąk matki i spod dozoru niewieściego przechodzili pod władzę ojca, zaczynając się sposobić do przyszłego zawodu wojaków, rolników i ziemian. Najczęściej oddawano ich naówczas, jak się to dzieje u wielu jeszcze plemion kaukaskich, w opiekę stryjów lub starszych braci, gdyż serce ojcowskie słabszym dla dziecka bywa, do powolności skłonniejszym, a surowość mogłaby osłabić ten węzeł miłości i poszanowania, jaki ojca z synem łączyć powinien.

Tuż u drzew starych, pod którymi stoły z desek zbite i szytymi ręcznikami pookrywane ustawiono, znajdowało się źródło za święte poczytywane i odwieczny kamień, u którego składano ofiary.

Gdy wszyscy już byli zebrani, biało ubranego chłopaka, z długo rozpuszczonymi włosami, których od urodzenia nożyce nie tknęły, przywiodła ze łzami w oczach matka i w ręce ojca oddała.

Ten stał już w gotowości przyjęcia go od niej, a gdy dzieciak mu się do nóg rzucił, ściskając je, podniósł go i wodą ze źródła pokropił. Po czym, ująwszy nożyce przygotowane, nad czołem nieco włosów mu przystrzygł, oddając je gościom i starszyźnie, która po trosze dokoła je przycinała. Żeby się zaś te obrzynki włosów na ogień nie dostały, co za szkodliwe uważano, zebrane skrzętnie u kamienia je zakopano.

---

[110]*świronek* — budynek służący jako składzik; spichlerz, spiżarnia a. lamus. [przypis edytorski]

[111]*poczestny* — dający wyraz szacunku, czci; godny. [przypis edytorski]

[112]*korowaj* — ciasto; białe pieczywo spożywane od święta (szczególnie podczas wesela). [przypis edytorski]

A gdy przyszło nadać imię chłopcu, który dotąd Piastunowego syna tylko nosił nazwisko, gospodarz młodszego z gości prosił, aby mu je naznaczył.

Wstał tedy gość i odezwał się.

— Jeżeli imię mu mam dać, dozwólcież, abym to uczynił, jak u nas we zwyczaju, i dał mu je z błogosławieństwem... Bóg, którego Morawianie i Czechy, jak wy „słowa" dzieci wyznają, jest Bogiem wszystkich... W Jego imieniu ojcowskim, Syna i Ducha świętego, chrzczę go imieniem Ziemowita. Niechaj mu dane będzie ziemię swą widzieć spokojną i szczęśliwą.

To mówiąc, w wodę umoczył palce gość i na czole chłopca znak nią położył.

Usłyszawszy to piękne imię, wszyscy uradowali się wielce, a Piastun szedł im dziękować i chciał obdarzać, czym mógł, lecz powiedzieli mu, że darów żadnych nie przyjmują, bo na ubóstwo przysięgali. I usunęli się opodal trochę, aby naradzie starszyzny nie stać na zawadzie, gdyż czas był gorący i mimowolnie troska o tę wojną wszystkim dogryzała.

Oglądali się wszyscy na srogą tę wieżycę, u Gopła sterczącą jak groźba, która wczoraj w nocy zapałała ogniem, jakby mirom i gromadom rzec chciała: „Nie lękam się was! Wołacie się wy przeciw mnie, ja też wyzywam was!".

— Ostatnie gniazdo Pepełków rozniesiemy — rzekł Myszko Krwawa Szyja, na stołb wskazując — a gdyby nam tu leżeć przyszło nie jeden miesiąc, ale dziesięć, przecie choćby głodem weźmiemy ich...

Wojna, Dziedzictwo, Prawo

— Tak — odezwał się Ścibór —- ale z rodu ich pozostał Miłosz, z synem, a co gorzej, dwaj synowie, których matka do dziada na Niemce posłała... Dorośli są, przyjdą i upomną się o swe dziedzictwo... Wojna to nie miesiąca jednego, ale lat może wielu; wojna nie z jednym Chwostkiem, ale z Niemcy, którzy w ich obronie staną...

— Miłosza, złamanego starca, nie mamy się co lękać... Będzie na grodzie swym siedział spokojny... A z Niemcy gdy dla prawa naszego bić się potrzeba, co czynić!

Nikomu ta zapowiedź długiej wojny w smak nie była, westchnął każdy, bo go ona z chaty jego wyganiała, odbierała ludzi, spokój, wczas[113] i zmuszała, zamiast pługa i roli, oręża się imać[114] i konia.

Lecz inaczej już nie było można poczynać. Wici ogniste zwołały kraj i każdy szedł z tym, że nie spocznie, dopóki stare prawo znowu panować nie będzie.

Gdy tak gwarzyli starzy, z gaju sąsiedniego niewiasty i dziewczęta ozwały się chórem z pieśnią postrzyżyn, której, zamilkłszy, wszyscy słuchali.

Obrzędy, Śpiew

Pieśń to była tak stara, że ją już teraz pokolenia młode nie bardzo zrozumieć mogły, wspominała o bóstwach zapomnianych i ofiarach, których już czynić nie umiano. Wzywała słońca jasnego, aby promień szczęśliwy zesłało na głowę chłopca; rosy, aby go oblała i róść mu pomogła; wody, aby go napoiła życiem i męstwem; ziemi, aby w niego wlała ducha, aby rosnął jak dąb, świecił jak gwiazda, jak orzeł padał na wrogów... Precz potem odżegnano duchy czarne, uroki i złe wszelkie od niego; wołano: „Łado! Łado!". Klaskano w ręce i matka uwity wedle zwyczaju wianek z ziół zdrowie dających i szczęście przyniosła i włożyła na głowę postrzyżonemu. Spleciony on był z dziewięciosiłu, smlotu, dziewanny, rosiczki, wrotycza, bylicy i gałązek jemioły.

Zaledwie pierwsza się pieśń skończyła, gdy tuż inne, weselsze się poczęły, i niewiasty, trzymające się osobno, chórem je zawodziły po kolei.

Na koniec wstał ojciec i ująwszy chłopaka za rękę, wszystkich razem prosił, aby szli z nim na żalnik[115], duchy dziadów pozdrowić i ofiarę im (obiatę) postawić na mogiłach. Lecz gdy się obejrzano za obcymi, aby im dać w pochodzie miejsce poczestne, i szukano ich dokoła, nigdzie znaleźć ich nie było można. Znikli, zostawiwszy tylko na stole w izbie podarek dla Ziemowita, krzyżyk świecący jak złoty. Reszta więc starszyzny, niosąc na miseczkach ofiary, udała się w górę na żalnik.

Cmentarz, Ofiara, Obrzędy, Przodkowie

W pośrodku jego, otoczona kamieniami, była mogiła Koszyczka i dziadów, i pradziadów ich, kędy się od wieków chowali, od tych czasów, gdy jeszcze w kamiennych izbach siedzące ciała składano, aż do obecnych, gdy spaliwszy, w popielnicach je i studzienkach

[113] *wczas* (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]
[114] *imać się czegoś* — brać się za coś; chwytać coś. [przypis edytorski]
[115] *żalnik* (daw.) — cmentarz. [przypis edytorski]

chować zaczęto. Niektórzy z gości, kubki z sobą przyniósłszy z napojem, wylewali go na mogiły i niewiasty znowu, nadciągnąwszy z dala, zaśpiewały pieśń inną.

Tak się obrzęd ów postrzyżyn odbył uroczyście, trwając do nocy samej; coraz nowi goście witali do dworu, coraz dla nich zapasy nowe wynoszono z komory... I gwiazdy świeciły na niebie, gdy ostatni z gości, pożegnawszy gospodarza, wrota za sobą zamknęli. Znużony Piastun siadł w przedsieni i spoczywał.

Gość, Gospodarz, Gospodyni

W progu stanęła Rzepica, spoglądając ku niemu.

— Raduje się pewnie serce twe — zawołał ojciec do niej — iż los dał synaczkowi naszemu tak piękny życia jego początek, i my, cośmy się ludzi nie spodziewali, mieliśmy ich więcej, niż kiedykolwiek widział dworek.

— Raduje się i niepokoi, panie mój — odpowiedziała niewiasta. — Pójdźcie a zajrzyjcie... Bodnie, zasieki, komory, wszystko puste... Zostało nam chleba i mąki na dni kilka... I więcej nic.

Gospodarz się uśmiechnął.

— Nie żałujmy, cośmy gościom oddali, stare nasze podanie mówi, iż się to powraca z nawiązką, byle wojna przeszła!

Spojrzeli oboje; na wieży u Gopła płonął ogień, a w dolinie obozowiska widać było porozbijane, jak okiem zajrzeć, i cienie ludzi, co się przy stosach migali.

IX

My cofnąć się nieco z powieścią naszą musimy.

W tym miejscu, gdzie się na ostrów Lednicę przeprawiali pielgrzymi do chramu idący — na wzgórzu nad jeziorem, stało chat kilka, między którymi najprzedniejszą była zdunowa chałupa Mirsza. Zduna i jego chatę znano naokół daleko, bo ludzie się nigdzie nie zaopatrywali w garnki, misy, popielnice i wszelki sprzęt gliniany, tylko u starego Mirsza. Ojciec jego, dziad i pradziad garnki lepili, toczyli je i wypalali, szczególniej ofiarne, i wiedzieli, jak to czynić, albowiem pradziada pradziad z tą umiejętnością tu przywędrował i jeden w drugiego, ród cały, zdunami byli wszyscy. A że się ich rozrodziło wielu, a nie mógł żaden być jeno zdunem, bo mieli upodobanie i poszanowanie dla rzemiosła swojego, rozsiadali się więc po okolicy, gdzie lepszą glinę znaleźli, Mirszowie i żyli z gliny i ze swej sztuki.

Praca, Dziedzictwo, Sztuka

Głową rozrodzonej już rodziny był Mirsz stary. Człek był tak zamożny jak niejeden kmieć, a mówiono o nim, że mógłby był dawno garnki przestać lepić i kręcić — bo miał z czego żyć pod dostatkiem. Stary jednak swojego rzemiosła nie rzucał, bo je lubił i pysznił się z niego. W piecu u niego, nie w jednym, to w drugim, paliło się zawsze, a u koła nie było dnia, ażeby Mirsz nie siadł i czegoś nie robił. Oprócz chałupy, w której mieszkał, z komorami pełnymi dobra i dostatku wszelkiego, miał Mirsz szopę wielką. Do tej kto wszedł, wydziwić się nie mógł, jaki tam był dostatek wszystkiego i porządek piękny bardzo. Szopa była, prawda, z chrustu pleciona, a gliną tylko pooblepiana, ale w środku tok miała jak w chacie ubity mocno, a do słupów deski były wszędzie poprzymocowywane, na których stały rzędem dobrane wzrostem dzbany, garnki, krużki, czasze, misy wszelkiego rozmiaru, miseczki drobne i gąski a ptaszki gliniane, a kulki dla zabawy dzieci. Wszystko to, począwszy od czarnych do malowanych żółto i biało, było na oczach kupującego, tak że sobie mógł, co chciał, wybierać.

Wiedziano o tym dobrze, iż Mirsz pękniętego garnka na półce nigdy nie postawił ani go komu sprzedał. Próbował go sam, a jeśli mu się, jak należy, nie odzywał i nie zagadał wesoło, zaraz go na kupę ciskał. I była łupin takich zaraz przy piecu góra wielka, bo na nią dziadowie jeszcze tak samo rzucali, co pieca nie wytrzymawszy, z rysą z niego wyszło.

Żale[116] i popielnice wiedział Mirsz, jak robić i dla kogo, i pokrywy ich były do wyboru, a na niektórych z nich, jak to zwyczaj na Pomorzu, urabiał twarz niby ludzką i wkładał w oczy sztuki bursztynu, a w uszy kolce kruszcowe. Rękę stary miał bardzo wprawną, a gdy siadł na miękkiej glinie patykiem w koło pas rysować, zdawało się, że i z zamkniętymi oczyma mógł go zrobić, tak mu palce szły same. Trzęsła mu się ręka, gdy siadał, ale w robocie siłę odzyskiwała.

[116] *żale* — naczynia służące do obrzędów pogrzebowych. [przypis edytorski]

Jak praojcowie zwykli byli na dnie garnków kłaść święty znak ognia i on też nigdy położyć nie omieszkiwał, bo go tu z innych krajów jeszcze przynieśli zdunowie przed wieki.

Doma u niego syn był starszy, co po nim miał wziąć piec i koło, gdyby stary zamknął oczy. Zwał się Mirszem jak ojciec. Oprócz tego była córka, Mila, najmłodsza; starsze już z domu powychodziły.

Żony stary potracił dawno, a miał ich razem dwie, po których już żadnej wziąć nie chciał, choćby mu to było łatwo przyszło, bo w chacie dostatek miał wielki i ze swoimi ludzko się obchodził.

Spojrzawszy nań, zaraz widać było, że człek nieprosty był. Gdy przy robocie siadał zgarbiony, z siwym włosem, z rękami zapracowanymi, wpatrzony w glinę swą i zadumany a milczący, wziąłby go każdy za robotnika niezdarę — lecz gdy wstał a rozprostował się, głowę podniósł, czoło wypełzłe, wysokie pokazał, twarz żółtą, pomarszczoną, poważną, jakby wieszcza i guślarza, ludzie mu się kłaniali z daleka. Utrzymywali wszyscy, iż znał[117] więcej, niż mówił, a nie tylko garnki lepił, ale z duchami miał zażyłość i poza ten świat widział.

Słowo, Milczenie, Mądrość, Prorok

Przychodzili do niego po radę, naówczas miał obyczaj swój — kazał mówić, słuchał, milczał, długo trzeba było czekać, aż co powiedział — a rzekł wreszcie co, to tak krótkim słowem, a tak mądrym, że pytać się już więcej nie było potrzeba, tylko to słowo rozpleść i rozgnieść, i dobyć z niego, co mieściło. Często bowiem zdawało się, że mówił nie do rzeczy lub od rzeczy — dopiero później się okazywało, iż mądrość w tym tkwiła wielka a wieszcza.

W dnie świąteczne i powszednie lud, co na Lednicę do chramu ciągnął, zatrzymywał się u tej chaty Mirszowej; często ludzie z daleka nawet tu garnki kupowali, szczególniej dla umarłych.

Było bo w czym wybierać, począwszy od takiego, co z piaskiem był gnieciony, a na pół dłoni gruby, co go dwu ludzi ledwie udźwignęło, aż do takich drobnych, których po kilka w jedną kieszeń lazło lub się za pazuchą chowało.

Czasem, gdy staremu przyszła fantazja, lepił sobie małe naczyńka, które się nikomu na nic nie zdały, a tracił nad nimi dnie całe, gładził je a muskał, smarował, drewienkami koło nich dłubał i wypalał je osobno — a potem je nie do szopy stawił, ale w chacie u siebie i nikomu ich nie dawał. Mówili nawet ludzie, że dziecinniał, bo się nimi czasem bawił jak dziecko, do ręki je brał, obracał, okurzał, patrzał i uśmiechał się do nich. Ledwie że nie gadał z nimi. Choć tam sobie z niego szydzono może, on wcale nie zważał na to.

Tego dnia — a było to wprzódy, niżeli się miry z kneziem zadarły, jakoś po Kupale, Mirsz odpoczywał u brzegu jeziora pod wierzbą starą.

Drzewo

Drzewo to, nie wiadomo dlaczego, z dawna polubił. Wyrosłe było wysoko i dosyć cieniste, a u spodu pień mu się spękał wniwecz i rozdzielił na dwoje tak, że w środku między dwoma połowami siąść było można wygodnie. Chodziły gadki, że tam jakieś duchy mieszkały i nocami wietrznymi w tej dziupli głosy dziwne słyszeć się dawały. Mirsz przecie na to nie zważał i siadał w niej zaciszno — dla spoczynku. Tam sobie córce czasem mleko przynosić kazał, a niekiedy się zdrzemał, głowę sparłszy o drzewo.

Tego też dnia, na jezioro patrząc, zdun stary, ręce założywszy, tu siedział, spoglądając ku piecowi. Ludzie do czółen ciągnęli mimo[118] i jedni mu głowami kłaniali, drudzy, tylko popatrzywszy nań, szli sobie dalej. Słońce dopiekało, pszczoły i muchy unosiły się w powietrzu, brzęcząc, wiatr był ucichł, jezioro się wygładziło i świeciło blaskiem takim, że na nie spojrzeć nie było sposobu.

Wtem kilku konnych nadjechało. Stary popatrzał na nich, bo ciekaw był wszystkiego: ludzi, koni, chmur na niebie i robaczków na piasku. Naturę miał taką.

Jechał kmieć, czeladzi kilkoro go otaczało. Gdy z konia zsiadł, zaraz mu go wzięli, a że czółna pogotowiu u brzegu nie było — stał więc i czekał. Hukano na przewoźnika.

Ten jeszcze daleko był od lądu, podszedł więc kmieć do starego i pozdrowili się.

— Co tu porabiasz, stary? — spytał przybyły.

— A wy? — była odpowiedź.

---

[117] *znać* — tu: wiedzieć. [przypis edytorski]

[118] *mimo* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

— Ja na Lednicę jadę do chramu.

— Ja i bez chramu duchy mam wszędzie — odparł stary. — Skąd wy, żupanie?

Młody wędrowiec ręką wskazał na lasy, za jezioro.

— Jestem Doman — rzekł.

Stary się nań popatrzał.

— A ja zdun Mirsz jestem — odpowiedział. Władza

Nastało milczenie.

— Wywróciliście też wieżę nad Gopłem i knezia z nią? — zapytał Mirsz. — Bo coście się, słyszę, wy na niego, a on na was, zawzięli?

— Jeszcze nie — odparł Doman.

— I bez knezia myślicie być? — mówił stary. — Pszczoły w ulu i dnia bez matki się nie ostoją.

— Pewnie — rzekł Doman. — Jednego wypędzim, a drugiego wybierzemy, aby zgoda była.

— Zgoda! Tak! — odparł zdun. — Trzeba, żebyście ją sobie ulepili. Róbcie jak ja: glina się rozpada, a wody domieszawszy, garnek się z niej ulepi. Poszukajcie tej wody.

Zmilczał Doman. Mirsz mruczał:

— Zaczepicie licho, gdy Chwosta ruszycie... Niemców i Pomorców na nas sprowadzi.

— Odpędzimy ich.

— Jak wam pola zniszczą, a mnie garnki wytłuką! — zaśmiał się zdun.

I głową potrząsając, patrzał na jezioro.

Wtem i czółen[119] przybił do brzegu, a przewoźnik, pot otarłszy z czoła, ręką wody zaczerpnął, napił się i legł odpoczywać. Doman już szedł do łodzi.

— Tak to idziecie do chramu bez obiaty? — spytał Mirsz.

— Chcecie bym u was misek wziął! — rzekł kmieć.

— Ja tego nie potrzebuję, ale wam by się zdało — bąknął Mirsz.

— Aleć ich nie dajecie darmo?

— Czasem — zawołał stary, w ręce plaskając. — Dziś taki dzień, że dam miski, postawicie je przed Niją.

Od pieca ukazał się syn, człek już niemłody. Ruchem rąk, nie mówiąc nic, powiedział mu stary, czego chciał i siadł znowu, a po chwili wyniósł z szopy syn miseczek kilka drobnych, które oddał Domanowi. Znano już naówczas u Polan pieniądze, choć ich nie robiono. Pieniądz

Z dawna przywozili je i przynosili tu ci, co po bursztyn przypływali i przychodzili, idąc wzdłuż tej ziemi od zachodo-południa. Rzymskie, greckie i arabskie pieniążki krążyły między ludźmi. Z Winedy[120] je też tu przywożono. Doman miał przy sobie kilka takich blaszek srebrnych i chciał z nich dać jedną staremu, ale ten rękę odtrącił.

— Postawcie to ode mnie — rzekł i głową skinąwszy, siadł w pniu swoim.

Szedł tedy do łodzi Doman, a przewoźnik, do pasa nagi, włosem cały obrosły, westchnąwszy, ujął za wiosło i począwszy coś półgłosem nucić, odbił od brzega.

W chramie u Nii siedziała przed ogniem Dziwa. Tu, mimo dnia spieki, zewsząd otulonej oponami, w kontynie[121] ciemnej chłodno było prawie. Ognisko gorzało tylko, aby Znicz nie wygasał. Dym prosto ponad dach płynął i otworem ulatał.

Na trzech kamieniach siedziały trzy stróżki ognia świętego, dwie uśpione, trzecia czuwająca za nie. Tą trzecią była Dziwa.

Wianek miała na głowie, rozpuszczone kosy, cała w bieli, obwinięta długą chustą białą, wśród tego mroku sama do jakiegoś nieziemskiego zjawiska była podobna.

W chramie nie było nikogo.

Światełko ognia odbijało się niekiedy na wiszących u szyi bóstwa łańcuchach i ziarnach bursztynu, na ofiarnych kruszcach u ściany świątyni i w tych strasznych czerwonych oczach, które krwawymi blaski pobłyskiwały niekiedy.

Dziewczyna siedziała nieruchoma i zadumana, gdy zasłona się podniosła powoli — obróciła ku niej oczy, spojrzała, krzyknęła i upadła na ziemię.

---

[119] *czółen* — dziś r.n.: czółno. [przypis edytorski]

[120] *Wineda* a. *Wineta* — legendarny gród i port z latarnią morską u ujścia Odry. [przypis edytorski]

[121] *kontyna* — świątynia. [przypis edytorski]

U wnijścia stał Doman, którego ona zabiła. Zdało się jej, że wilkołakiem czy upiorem na świat powracał.

Uśpione towarzyszki zerwały się z siedzeń swoich, nie mogąc rychło oprzytomnieć, a tuż Doman podbiegłszy, z ziemi ją podnosił, wziąwszy na ręce.

Dziwa otworzyła oczy i zamknęła je natychmiast przerażona, rękami usiłując go odepchnąć od siebie. Widziała teraz dobrze, iż duchem nie był — ale ją trwoga ogarniała, aby nawet u ołtarza zemsty nie szukał.

Strach

Doman na krzyk jej rozpaczliwy cofnął się i stanął z dala. Chwilę trwało milczenie, dziewki przyrzucały pospiesznie łuczywo, ogień zaczął płonąć jaśniej; Dziwa z trwogą ciągle patrzała na stojącego u wchodu Domana.

— Nie obawiaj się — rzekł — nie uczynię nic złego, zemsty nie szukam. Chciałem widzieć ciebie i pokazać, że żyję. Po to tu przyszedłem tylko.

— Wynijdź, proszę — odpowiedziała, wstając, dziewczyna, której przytomność powróciła. — Wyjdę za chram, powiem wam wszystko, ja nie jestem winna.

Posłuszny Doman cofnął się, zasłona spadła. Dziwa siedziała chwilę, dłonią czoło potarła, poszła się napić wody ze świętego źródła, poprawiła wianek i włosy — z wolna uchyliła oponę i wyszła.

Opodal, za dwoma tynami malowanymi stojąc, Doman czekał na nią u kręgu kamieni. Z dala go zobaczyła, blady był jeszcze, ale w oczach mu już dawne życie świeciło.

Powoli, z obawą zbliżyła się ku niemu dziewczyna.

— Możecie zabić mnie zaraz, tu — odezwała się — tak jak ja chciałam was tam zabić. Bronić się nie będę. Porwać się dać i żyć z wami nie mogłam. Dawno, w dzieciństwie, ślubowałam bogom i duchom.

Patrzał na nią Doman smutnie, znajdował ją teraz piękniejszą jeszcze, niż dawniej była.

— Dziwo — rzekł — życie to takie jak śmierć, a bogi i duchy...

Nie śmiał dokończyć.

— Co po życiu bez ludzi? — dodał, pomilczawszy. — U mnie byście znaleźli inne, dom swój, rodzinę, obronę i wszystkiego dostatek... Któż by wam bronił u źródła ofiary czynić albo na rozdrożu u świętych kamieni i z duchami rozmawiać?

— Duchy są zazdrosne jak ludzie — odezwała się Dziwa, ciekawie, nieśmiało wpatrując się w Domana — duchom a ludziom razem służyć nie można. Wianek mój do nich należy.

Chciał się kmieć przybliżyć nieco do niej, ona się cofnęła, ale z oka go nie spuszczała. Człowiek ten, którego ona zabiła, a który żył, obudzał w niej dziwne uczucie — żal i litość, i obawę.

— Nie miejcie do mnie żalu — mówiła — ja sama nie wiedziałam, com czyniła, a bronić się musiałam. Jeżeli zemsty chcecie za krew waszą, weźmijcie miecz i zabijcie mnie tak, abym się nie męczyła, a odpuśćcie braci mojej i rodowi mojemu. Ja się umierać nie boję — dodała — z duchami pójdę błądzić po wiecznie zielonych lasach i łąkach i pieśni zawodzić.

Doman ramionami ruszył.

— Dziwo! — rzekł. — Gdzieżbym ja was chciał zabijać, prędzej drugi raz ważyłbym się porwać, choć z chramu, i dał pokaleczyć, bylebym pochwycił.

Dziewczę, potrząsając głową, zarumieniło się mocno.

— Nie może to być — szepnęła cicho — nie może...

— Żal mi cię — ciągnął Doman — ja do żadnej innej nie mam serca. Próbowałem siostrę waszą widzieć, podkradałem się pod zagrodę, gdy do trzody wychodziła; hoża jest, ale takich po świecie wiele. Co mi po nich!

Gdy mówił tak, Dziwa ciągle przypatrywała mu się ciekawie i powtarzała jakby bez myśli:

— Nie może to być! Nie może!

Gdy tak rozmawiali ze sobą, on się skarżył, ona niby słuchać nie chciała; w sercu jej zrobiło się tak dziwnie, jak nigdy nie było. Coś ją ciągnęło do tego człowieka, może to, że go zabiła. Sama nie wiedziała, co się z nią stało, a ulękła się w sercu zemsty duchów zazdrosnych.

Mimo tej trwogi — ciągnęło ją ku niemu — ciągnęły oczy siwe Domana i usta, i głos, i ta dobroć jego, przez którą się zemsty wyrzekał.

Zarumieniła się mocno, spuściła oczy, rada by była uciekać, a nie mogła. Coś ją trzymało wkutą do ziemi — on wciąż oczyma ją czarował. Trwoga zaczynała ją ogarniać coraz większa — głos postradała.

— Idźcie, proszę — ozwała się z wysiłkiem wielkim, głosem stłumionym — idźcie i nie powracajcie.

— A gdybym wrócił? — zamruczał Doman.

Spuściła oczy Dziwa i zmilczała.

— Sama mówisz — dodał — że ja mam prawo wziąć ci życie, prawo zemsty i krwi. Miałem prawo to, pomsty na braciach, na domu, na rodzie całym, a nie chciałem go.

— Zabijcie mnie! — powtórzyła Dziwa spokojnie.

— Szkoda by was było — rzekł Doman, śmiejąc się. — Nie! Nie! Lecz gdy powrócę, gdy poproszę, toć mi na was choć popatrzeć będzie wolno...

Zarumieniła się mocno dziewczyna — zadrżała, fartuszek biały podniosła do twarzy, zasłoniła się nim, rzuciła nagle między tyny i jak strzała do ognia pobiegła.

Doman stał, zerwał liści kilka z drzewa, wziął je w usta, gryźć począł zadumany, zakręcił się, stanął, powrócił i poszedł błądzić po ostrowiu.

Miłość niespełniona, Młodość

Siwowłosa stróżka wskazała mu chatę Wizuna. Stary siedział na progu i karmił gołębie, które do niego zlatywały. Postrzegłszy Domana, zerwał się z rzeźwością młodzieńczą, ręce mu otwierając.

— Przecież cię dziewka nie zabiła! — zawołał. — Wiedziałem ja to dobrze.

Śmiejąc się, Doman rozpiął suknię, rozgarnął koszulę i pokazał mu szeroką, straszną jeszcze bliznę.

— A, przeklęta wilczyca! — rzekł stary, ściskając go. — Tyle miała siły. Wiesz, że ona tu jest? Czy zemsty szukasz?

— Widziałem ją — rzekł chłopak — mówiłem z nią, a zemsty nie żądam. Dziewka mi i teraz w głowie, choć mnie nie chce. Mówi, że duchom ślubowała.

Wizun głową potrząsał.

— Trzeba ci inną wziąć; o tej zapomnisz... Porwać jej stąd się nie godzi — mówił stary — wszystkie one jednakowe, kwitnie to, póki młode a na starość kole. Weź inną, weź inną. Niewiasty ci potrzeba, bo bez niej nie wyżyje człek.

— Mój ojcze — odparł Doman — nie łaj mnie, inne mi nie do smaku.

Wizun ręką gwałtownie potrząsł.

— Spróbujże wziąć inną — rzekł — zobaczysz. Młodość ma takie chuci, ale one wystygają prędko. Dopóty za tą tęsknić będziesz, póki innej nie weźmiesz.

Tak się poczęła ze starym rozmowa, który ciągle do swojego wracał, ściskając dawnego wychowańca. Godzinę siedzieli u chaty, chodzili po ostrowiu, jeden się skarżył, drugi zawsze toż samo lekarstwo podawał. Rozeszli się wreszcie, Doman usiadł do łodzi i na ląd powrócił. Stary Mirsz siedział jeszcze w swej wierzbie.

Zobaczywszy powracającego, zadziwił się, że tak prędko nazad przybywał. Doman wysiadł, gryząc liście, które był zerwał na wyspie, ale weselszy był. Przybliżył się znowu do starego.

Gość, Obyczaje

— Hej! Stary zdunie — zawołał — gdybyście też mi dali co zjeść a przenocować?

— Jak odmówić? — rzekł stary. — Choćbyś kmieciem czy żupanem nie był, na to chata, aby gościom się otwierała. Chodźcie.

I wstał.

Właśnie w chacie wieczerzę podawać miano i córka Mirszowa ku ojcu wyglądała, gdy oczy Domana na nią padły. Dziewczę było wypieszczone, bo ani około roli bardzo, ani koło gospodarstwa nie chodziło, lubiła się stroić, bo wiedziała, że była piękną, szyła ręczniki nićmi krasnymi i czasem kądziołkę[122] przędła.

Oczy kmiecia i zdunówny spotkały się jakoś tak, że oboje poczerwienieli. Jej się podobał żupan czy kmieć, który pańsko wyglądał, on pomyślał, że dziewka była ładna — a nużby mu, jak Wizun radził, za lekarstwo posłużyła?

Weszli ze starym do chaty, gdzie ich stół biało pokryty czekał. Mila służyła sama, nosiła misy i kubki, a ile razy weszła, spojrzała na żupana i on też na nią. Raz nawet w uśmiechu zza różowych ustek białe ząbki pokazała. A była i na co dzień zdunówna

[122] *kądziołka* a. *kondziołka* — kłąb włókna lnianego lub runa zwierzęcego. [przypis edytorski]

strojna; srebrne pierścionki na wszystkich palcach, niektóre z oczkami, pod szyją miała guz ogromny złocisty, we włosach szpilki, kolce w uszach, kolce na rękach, wianek na głowie, a w oczach śmiech i pustotę.

„Gdybym tę był wprzódy spotkał", myślał, patrząc na nią, Doman, „może bym ją sobie był wziął".

Jedli tedy a rozmawiali. Gdy misek już przynosić ani zabierać nie było potrzeba, młoda gospodyni z komory, uchyliwszy drzwi trochę, patrzała niby ukradkiem, czy ojciec jej nie zawoła, a w istocie coraz to na młodego żupana z ukosa.

„Wziąłbyś mnie sobie", mówiły figlarne oczy, „ja bym się nie bardzo broniła".

Mrok już padł szary i gesty, gdy Doman poszedł do szopy na posłanie. Mirsz stary córkę wywołał z komory i pogroził jej palcem.

— Ty, dzierlatko jakaś — rzekł surowo — co ty oczyma strzelasz na takich ludzi. On nie z takich, co garnki robią, ale z tych, co je tłuką, tobie do niego nic.

— Nie patrzałam.

— Patrzałaś! Tobie co po nim? U niego takich, jakeś ty, doma pewnie ze sześć do wyboru. Czy chcesz siódmą być?

Bystrymi oczyma Mila spojrzała na ojca, groził jej ciągle.

— Jutro rano, gdy będzie odjeżdżał, żebyś mi się nie pokazywała! — dodał. — Pamiętaj!

Poszli spać. Nazajutrz Doman wstał rano, konie stały pogotowiu, usiadł na ławie.

— Coś mi się pod skwar jechać nie chce — rzekł chmurno.

— Poczekajcie do jesieni, przyjdą chłody — odparł zdun — ja wam nie bronię.

Nic nie odpowiedziawszy, kmieć powlókł się nad jezioro. Czółna stały u brzega, kazał się na ostrów wieść, pojechał do chramu.

Mila, widząc go wychodzącego, pobiegła pod tyn, spojrzała przez szpary, na pół się zgiąwszy, aby jej nie widziano, śledziła go oczyma. Ojciec to widział, zżymnął się[123], zmilczał. Czółno odbiło od brzega.

W kontynie siedziała Dziwa i na ogień patrzała, ale w oczach od wczora jakoś się jej majaczyło dziwnie; nie widziała nic oprócz jakichś ciemności i iskier. Ludzi pełno było w chramie i szmer w nim głuchy panował. Stary guślarz wróżył i przyjmował ofiary, siwowłosa stróżka odczyniała czary, rozdawała ziele.

Uchyliła się opona. Doman znowu stanął przed nią. Zarumieniła się Dziwa, wstrzęsła cała, w drugą stronę odwróciła oczy i siedziała nieruchoma, patrząc na ognisko. Doman stał a stał przed nią, sparł się o słup, rozglądał się po chramie.

Pocałunek

Pomyślała dziewczyna, że mu koniecznie powiedzieć było potrzeba, aby precz szedł sobie — wstała z kamienia, wysunęła się drugą stroną chramu, aby z nim nie spotkać się u wyjścia. Między tynami nagle stanął przed nią. Nie było tu nikogo oprócz ich dwojga, chłopak pochwycił ją silnymi rękami i w twarz pocałował. Dziwa krzyknęła, zasłaniając oczy — ale go już nie było, gdy je odkryła.

Uciekł. Gniewna bardzo powróciła nazad do chramu. Obmyła się wodą ze źródła świętego, ale twarz jak ogniem ją paliła, a im myła dłużej, tym paliło mocniej. Aż się jej na łzy zebrało i płakać gorzko poczęła.

— O dołoż ty moja, o dolo!

Spojrzała na czarny posąg Nijoły, czerwone jej oczy gniewnie w nią były wlepione. Zdawały się pałać zemstą. Ogień przygasał, rzuciła się go podsycić. Z chramu się rozchodzili ludzie, nucąc pieśni o Ładzie i Nii, śpiewy rozlegały się na jeziorze i zaroślach, dziwnie brzmiąc smutno.

Dziwa też wyszła i śpiewać poczęła, sama nie wiedząc co — ot, jakąś dawną w dzieciństwie słyszaną piosenkę.

Zza drzew widać było chodzącego Domana, który z dala kręcił się między gromadami ludzi, zrywał liście, gryzł je — i rzucał. Potem położył się na trawie, pół drzemał, na pół czuwał. Nie wiedział, co robić ze sobą.

Wizun, który się między gromadami przechadzał, nadszedł i stanął nad nim.

— Ty tu jeszcze? — spytał.

— Sam nie wiem, jak się przywlokłem — rzekł Doman.

---

[123] *zżymać się* — niecierpliwić się, gniewać się. [przypis edytorski]

— Gdzieżeś nocował?

— U zduna, który ma dziewkę ładną.

— Weźże ją, a nie chodź darmo około tej, która cię nie chce.

— Nie zechce może i tamta!

— Zdunowa dziewczyna za żupana? — roześmiał się stary Wizun.— Ot, wieczór bliski — dodał — wracaj nazad do Mirsza, tak lepiej.

Doman ziewnął, przeciągnął się, wstał, posłuchał, siadł do czółna i popłynął, a po drodze myślał: „Stary zna, co robić trzeba, lepiej oszaleć, jak się truć".

Gdy czółno przybiło do brzega, stary Mirsz siedział w swej wierzbie; wychylił się z niej.

— Przez cały biały dzień nie jadłem nic prócz liści jak koń — odezwał się Doman — głodny jestem jak pies. Ojcze, ulitujcie się jeszcze dziś, dam wam skórę niedźwiedzią na posłanie, będziecie po kneziowsku na niej odpoczywać.

— Skóry mi nie trzeba, siano lepsze — rzekł stary — a do chaty chodźcie.

Wskazał ręką na drzwi. Mila z dala poznała czółno i przybywającego, klasnęła w ręce, poprawiła rucianego wianuszka, przeglądając się w cebrze wody, pierś się jej podnosiła.

— Ojciec mówi, że ich ma sześć! — poczęła w duchu mówić do siebie. — Co mi tam? Będzie musiał mnie najlepiej miłować. Powypędzam wszystkie. Czym nie młoda? Czym nie hoża? Hej! Na koniku przy nim, kołpaczek czarny, łańcuszki na piersi, łańcuszki na ręku, krzno[124] na ramionach; to ja, pani żupanowa! Kłaniajcie się swej pani!

Wybiegła do świetlicy — nie było nikogo, wróciła do komory, wianuszek się obsunął, musiała przymocować.

Czary, Miłość, Rośliny

— Jak popatrzę na niego, jak popatrzę, to mnie musi wziąć! Hej, dziewanno! Krasopani[125]... A! Gdybym lubczyk miała, tobym mu go dała w miodzie, ażby snu i jadła pozbył, póki by mnie sobie nie wziął.

Wzdychała jeszcze, gdy tuż za drzwiami, za chatą śpiew się dał słyszeć jękliwy. Wyjrzała okienkiem. Drogą od brzegów szła, zataczając się, podśpiewując, stara Jaruha, wiedźma, co wszystko znała: i lubczyki, i grabki, i wszelkie miłosne tajemnice. Komu kogo chciała, temu go dała.

Duchy ją umyślnie tu niosły. Skoczyła Mila co prędzej drzwiami tylnymi, palcami ją wabiąc ku sobie.

— E! E! — zawołała Jaruha. — Toż już dola, kiedy hożej zdunównie jestem potrzebna.

I pośpieszyła do płota. Mila stała na przełazie, fartuszek trzymając przy ustach.

— Matuniu Jaruho — szepnęła — ty znasz wszystko, nieprawda?

— Oj!Oj! Czemu by nie? — przyglądając się jej, poczęła stara. — Gołąbko ty moja! Znam wszystko, a nawet i to, że ci się hożego jak ty chłopca chce.

Mila się zaczerwieniła, pochylając aż do ucha Jaruhy.

— Daj mi lubczyku! Dam, co chcesz!

—- Tobie! — rozśmiała się stara. — Taż ty sama jesteś lubczykiem, kto by ciebie nie miłował, choćby kneziem był, ślepym by musiał być chyba.

— Lubczyku mi daj, matuniu! — powtarzała gorączkowo Mila, odpinając srebrny guz od koszuli i rzucając go starej na ręce.

Jaruha się zdumiała, czoło się jej namarszczyło, powoli ściągnęła torbę z pleców, siadła na ziemi u przełazu, poczęła z węzełków dobywać ziół i korzonków pąki. Mila, drżąc i bojaźliwie oglądając się dokoła, czekała.

Uschłe jakieś ziółko Jaruha wsunęła jej do ręki...

— Zetrzyj na proszek, daj mu pić, a gdy pić będzie, patrz mu w oczy, ani mrugnij. Jak mrugniesz, przepadło.

Roześmiała się głośno. Mili już nie było, pobiegła do chaty, w niecierpliwych dłoniach starła na proch ziele, rzuciła je do kubka dla gościa.

Ojciec wołał o wieczerzę — zwinęła się żywo. Doman siedział, zamyślony jak noc, na obu rękach oparty, aż go oczyma obudzić musiała ze snu. Chlebem się łamali, mięso na stole stało. Ojciec miód nalewał.

„Choćby się ojciec pogniewał!", pomyślała. „A choćby uderzył", rzekła w duchu.

---

[124] *krzno* — futro. [przypis edytorski]

[125] *krasopani* — nazwa ta obejmuje gatunki jednej z rodzin motyli. [przypis edytorski]

Chwyciła kubek nagotowany, prędko weń miodu nalała i sama go podała Domanowi, patrząc mu w oczy. Przyjął go, począł pić — Mila z sercem bijącym patrzała nań, nie mrugnęła, choć ojciec, czuła, jak groźno na nią poglądał. Wypił! Kraśna jak wiśnia pobiegła do komory.

— Teraz on mój! On mój! — wołała i tylko że nie plasnęła w ręce. — Jaruha wszystko zna!

Burza

Stary zdun nierozmowny był dnia tego, jedli cicho. Nad wieczór burza się z wichrem zerwała straszna. W jezioro pioruny biły jeden po drugim, a deszcz lał strumieniami. Doman poszedł spać do szopy. Szalało na niebie do północy, a ludzie, jak to zwykle bywa w burzę, kamiennym snem spali.

Pod okienko pod chatą ktoś podszedł nieznacznie, okienniczka była odsunięta, sparł się o ścianę, głowę pochylił, ktoś wyjrzał ku niemu. Szeptali, ale wiatr był i nic słyszeć nie dawał, szeptali długo, prawie do dnia — kto może wiedzieć, co radzili i co uradzili.

Na samym końcu odezwał się głos z okienka.

— Swaty trzeba słać, ojca trzeba prosić, inaczej nie pójdę z domu, nie pójdę inaczej.

Rano po deszczu i burzy oślizło po drogach, kałuże stały wielkie, ze strzech ciekło, strumienie wezbrane biegły do jeziora, po niebie wałęsały się chmury białe górą, szare dołem. Zbierało się na pluchę, słońce piekło, choć go widać nie było.

— Ojcze Mirszu, ja dziś do domu nie pojadę, drogi grząskie, koń się ślizga.

— Czekajcie do zimy — odparł stary — jak mróz schwyci, będzie sucho.

Doman został. Siadł nad jeziorem i dumał. Mila przez tyn wyglądała; stary Mirsz w wierzbie coś mruczał. Nad wieczór podszedł kmieć ku niemu.

Oświadczyny, Serce, Obrzędy, Konflikt wewnętrzny

— Ojcze stary — rzekł — gdybyście mi swatów nie odpędzili z grochem, tobym wam ich przysłał.

— A wiele żon masz? — zapytał stary.

— Żadnej.

Mirsz nań popatrzał.

— Córka moja pieszczona, biała, godna i żupana, na żoną ci ją dam, inaczej nie. Ślijcie swaty uroczyste, po obyczaju starym.

Doman się skłonił.

— Do domu jadę, drużby uproszę. Zgoda, stary gospodarzu?

Zmierzchało dobrze, gdy się ta rozmowa toczyła, Doman coś nucić poczynał, na duszy mu było weselej i myślał: „Hej, Wizunie stary! Będzie li to lek czy trucizna? Inną biorę, a o innej myślę, gdzie indziej swaty, a serce gdzie indziej!”.

Wtem stary Mirsz palcem ukazał na bory.

Nad borami, nad lasami gorzały łuny, jedna, dwie, dziesięć na wsze strony. Doman spojrzał i krzyknął:

— Ogniste wici!

Nadbiegła czeladź jego, wołając:

— Wici ogniste!

Ruszyło się, co żyło, a Doman w podwórko niepostrzeżony skoczył pod okienko komory i zapukał.

— Dziewczyno! Malino! Bywajże mi zdrowa! Ogniste wici na górach płoną, na wojnę muszę. Jak z wojny powrócę, to ci przyślę swaty. Ojcum się kłaniał i prosił, będziesz moją.

W okienku czy śmiech, czy płacz się dał słyszeć, może razem oboje?

— O miły mój, miły, sokole jedyny, wróć mi cały z wojny! W oknie siedzieć będę, w niebo patrzeć i płakać, póki z wojny nie wrócisz, póki swaty nie przyjadą.

— Na koń! — krzyczał Doman do czeladzi. — Na koń! Bądź zdrów, gospodarzu, dziękujemy za gościnę, nie czas odpoczywać, gdy ogniste wici płoną. Zdrowi bywajcie wszyscy!

Zatętniało, zaszumiało, ruszyli cwałem, a przed chatką stał Mirsz stary i patrzał na łuny, stała Mila z rękami załamanymi i płakała, coraz to fartuszkiem ocierając łzy. A zza łez widać było uśmieszek i serce biło, biło — biło.

— Powróci! Powróci! Swaty przyjadą. Moim musi być!

X

Wieczór, Rodzina, Zamek

Na wieży, na wierzchołku stała pani biała, patrzała dokoła; wieczór był, ten sam wieczór, którego zapalono wici ogniste. Jeszcze na zachodzie słońce po sobie zostawiło czerwoną łunę, dokoła lasy i doliny spać się zdawały.

Kneź za nią, oparty o mur, poglądał na gród pod nogami, na chodzących po wałach ludzi, na smerdów, co sprawiali drużynę grodową, na jezioro, w którym daleko łuna się niebieska odbijała. Nie widać jeszcze było nic... Nic...

Poza kneźną dwoje chłopaków, prawie równych wzrostem, stało. Widać z nich było, spojrzawszy, że z obcego przybyli kraju. Suknie mieli z sukna cienkiego i inaczej szyte, obuwie ciężkie i mocne, u boku po mieczu długim każdy. W oczach im się jeszcze młodość śmiała i życie, ale dziko jakoś i zwierzęco. Na wojaków wyglądali, choć młodzi, na drapieżnych i chciwych łupu wojaków.

Właśnie tego dnia zarania, gdy u wrót kładziono zaborole[126], nadjechali dwaj chłopcy, przebrani w proste gunie, na nędznych koniach i do zamku się prosili. Tu ich puścić nie chciano, aż wyszedł starszy smerda, popatrzył, krzyknął i kazał kłody odwalać, a prowadził ich do wnętrza zdyszany, radując się i łamiąc ręce.

Wwiódł chłopaków do świetlicy. Kneź leżał na ławie, bo tej nocy spać nie mógł po gościnie u Piasta. Zerwał się, mrucząc, spojrzał, chłopcy mu u nóg leżeli i za kolana ściskali. W dłonie plasnął z przestrachem.

— Kto was tu wysłał w tę godzinę? — zawołał.

Nim czas odpowiedzieć mieli, otwarły się drzwi i wpadła biała pani z krzykiem, ze łzami, z radością i rozpaczą.

— Dzieci moje! Po coście przybyli!

Stały chłopięta nieme, jeden na drugiego patrzając[127].

— Stęskniło się za światem żyć — rzekł starszy — dziad pozwolił jechać, siedliśma na konie i jechali nocą, lasami, manowcami, aż tu, aby wam uścisnąć nogi...

— A tu wojna u progu! — zakrzyknęła pani. — O! Dzieci moje! Kto wie, co się stanie z nami, niechbyście się choć wy przy życiu zostali... Po mirach wszędzie chodzi burza, na gród się ludzie gotują...

Łamała ręce kneźna, a Chwostek mruczał:

— Nie będą śmieli! Poburzą się, pokrzyczą... Na rozmowę przyjdą i zgodę zrobimy... A potem tych, co głowy podnosili... — Ręką pokazał do góry. — Na dęby!

Stało się na zamku wesele właśnie, gdy najgroźniejsza nadeszła godzina. Cały dzień musieli poić się pociechą, strachem zatrutą. Ledwie śmiech przyszedł na usta, trwoga go odpędzała. Słano ludzi na zwiady chyłkiem i co godzina wracali.

— Co słychać? — pytał Chwostek.

— Coście widzieli? — pytała biała pani.

Smerdy się po głowach skrobały.

— Groźby chodzą po polu... Po dworach się gotują, po chatach zbierają... Kmiecie mruczą, Myszkowie od zagrody do zagrody biegają.

Powrócił drugi około południa, prawił toż samo; trzeci nad wieczorem i oznajmił, że na noc przyjdą wici ogniste.

Chwostek się rozsierdził i do wieży go zamknąć kazał.

— Łże niepoczciwy, kmiecie go przekupili... Nie będą śmieli wici ognistych zapalić... A zapalą je... Ja na wieży stos każę zażegnąć, bo się ich nie boję.

Kneźna padła mu do nóg.

— Panie miłościwy! Dzieci nazad odprawcie, niech jadą. Dać im czółen, odprawić daleko... Niech jadą do dziada i burzę przesiedzą, kto wie, co nas od tej czerni czeka...

Płakała i prosiła. Chwostek się gniewał. Odłożono wyprawę do wieczora.

Stali teraz wszyscy na wieży i czekali a patrzyli, ukażą się li wici ogniste. Chłopcy między sobą szeptali:

— Niechby wojna była! Uprosimy ojca, matki, zostaniemy z nimi i krwi się kmiecej napijemy... Niech znają, jak u Sasów wojują...

---

[126] *zaborol* — kłoda. [przypis edytorski]

[127] *patrzając* — dziś: patrząc a. spoglądając. [przypis edytorski]

Nad lasami, dolinami cisza była i ciemności; patrzali z wieży, tylko zorza po słońcu powoli gasła i w jeziorze odblask jej blednął. Chwostek powtarzał:

— Czerń plugawa! Nie będą śmieli!

Wtem nad lasy, nad dolinami, zarumieniło się coś, na chmurze, która górą płynęła, trysła jakby plama krwista... I znikła... Kłębami buchnął dym czerwony, a za nim płomię żółte wspięło się wysoko. Pierwszy stos zapalono...

Ogień, Wiadomość, Niebezpieczeństwo, Wojna

Biała pani zbladła i oczy zakryła.

— Pastuchy ogień z chrustu zapalili... — rzekł kneź i śmiać się począł.

Wtem chłopcy krzyczeć zaczęli:

— O! Jeden, drugi, trzeci...

Stosy z kolei zapalały się po górach, ogniste łuny odbijały na obłokach. Cały kraj usiany był dokoła wiciami. Chwostek się ruszył i krzyknął:

— Stos zapalić! Niech znają, że ich się nie zlęknę...

Na kamieniach u góry leżała ogromna kupa łuczywa, pachołki wnet z węglami i żagwiami przybiegli, zapalono ją. Chwostek się uśmiechał. Biała pani nie mówiła nic, skinęła na chłopców i poczęła schodzić z wieży. Dzieci za nią szły posłuszne.

Chwostek się obejrzał ponuro, plunął z wieży na świat i począł też spuszczać się na dół do dworu.

Tu w świetlicy Brunhilda chodziła krokami wielkimi.

— Dzieci tu nie zostaną... — mówiła.

Na to nadszedł Chwostek.

— Czemu zostać nie mają? — zawołał. — Chcesz ich teraz wyprawić, aby pochwyciła czerń i zadała im śmierć. Nie, bezpieczniejsi oni tu w grodzie niż w polu!

Dzieci rzuciły się matce do nóg, aby im zostać dozwoliła. Nogą tupnęła, brew się jej namarszczyła.

— Nie — rzekła — nie, pytałam się dziś wróżki, patrzałam na powietrzne znaki, wszystko złe nam zapowiada... Sprawdziły się już ognie, którym nikt wierzyć nie chciał, sprawdzi i reszta... Ja więcej wiem... Zginiemy my, niech się będzie pomścić komu...

Chwostek się gniewać począł, rozgniewała żona, oboje niemal skoczyli ku sobie, aż kneź, mrucząc, spuścił głowę, odstąpił i rzekł:

— Dziej się, co chce!

Kneźna chłopcom się do drogi kazała gotować. Muchę zwołano, aby czółen gotował. Zdjęto im suknie pańskie, a dano proste siermięgi, musieli miecze pochować. Obu im z oczów ciekły łzy, ale matka kazała.

Chwostek poszedł, milczący, i synów do piersi przycisnął.

Dziecko, Strach, Niebezpieczeństwo, Matka, Rozstanie, Ucieczka, Zemsta

— Niech choć zostaną do jutra...

— Nie, nie... Ani godziny, jutro cała okolica zatętni, zaczną nadciągać... Gromady gród opaszą, brzegi jeziora obsadzą...

I załamała ręce.

Oba chłopcy milczeli, łzy im ciekły po twarzy. Chwostek patrzył na nich, mruczał gniewnie jak niedźwiedź, gdy go ruszą z łożyska.

Biała pani wyszła i wróciła. Głowę zawinęła płachtą, płaszcz prosty zarzuciła na siebie.

— Ja z wami — rzekła — aż do brzegu popłynę... Póki nie siędziecie na konie, ja z wami...

Po jednemu wzięła ich za głowy i pocałowała.

Chwost stał milczący. Przez otwarte okno zewsząd biły łun blaski i wpadały do świetlicy.

— Widzicie — odezwała się Brunhilda — to zapowiedź wojny... Jutro może się ona rozpocznie. Gród będzie się bronić... Wezmą dwór i grodzisko, schronimy się na wieżę... Miesiąc, dwa, trzy wyżyć możemy... Jedźcie do dziada i przybywajcie z odsieczą. Śpieszcie... — Tu głosu jej zabrakło. — A gdyby nas i dworu, i grodu, i wieży nie stało... Mścijcie ojca i matkę... Mścijcie życie całe na tym plemieniu jaszczurczym.

Chwostek mruknął:

— Nigdy stołba wziąć nie mogą... Prowadźcie Sasów, my wytrzymamy...

Rzucili się synowie jeszcze raz do nóg ojcu, do nóg matce, a potem szli posłuszni. Za kępą u grodziska czółen stał gotowy, Mucha i drugi silny chłop z wiosłami w nim

siedzieli. Brunhilda weszła pierwsza, chłopcy skoczyli za nią, Chwostek patrzył z brzegu, czółen popłynął...

Jezioro całe od łun się paliło, a łódka po nim mknęła czarna i widać ją było zwracającą w zarosłe brzegi, w cień, aby się prześliznęła niepostrzeżona. Chwostek oczyma potoczył po okolicy długo, pogardliwie i do izby powrócił.

Późno w noc biała pani przybyła nazad, we łzach jeszcze po dzieciach; Chwostek już spał. Ona siadła u ognia, wpatrzyła się w węgle żarzące i tak nade dniem usnęła dopiero.

Nazajutrz rano pytano strażnika na wieży:

— A nie widać tam gromad zbrojnych?

— Nie rusza się nic! Nie widać nic... Cicho wkoło i spokojnie.

Chwost zaśmiał się.

— Nie będą śmieli, nie ważą się...

Czekali dzień cały, do wieczora, nie było nic. Kneź powtarzał swoje:

— Nie śmieją...

Noc zeszła spokojnie, rankiem strażnik z wieży nie zobaczył nic jeszcze. Nadszedł znowu mrok wieczorny, cisza panowała wkoło. Biała pani chodziła trwożna, Chwostek mówił:

— Nie śmieją.

Wtem na stołbie zatrąbiła straż, raz, drugi i trzeci. Pochwycili się wszyscy na nogi, czeladź z szop, pachołkowie z legowisk pod okopem, smerdowie z przyzby na przedsieniu. Przy brzasku wieczora coś niewyraźnego widać było. Majaczało pod lasem z jednej i z drugiej strony coś jakby żywego, ogromnego; jak smok dźwigało się z wolna i toczyło po ziemi.

Strażnik znowu w róg począł trąbić, ale dech mu zabiła trwoga i sił brakło. Biegli zewsząd ludzie na wały, na drabiny, na dachy... I kneź z żoną wyszli na przedsienie.

Pod lasem stały gromady, które nagle z niego się wyroiły.

— Kmiecie na gród ciągną! — wołali smerdowie, wskazując rękami.

Tłum, Lud

Coraz wyraźniej o wieczornej zorzy dojrzeć było można pod lasem tłumy, które się poruszały, sunęły, powiększały. Las z głębin swych wyrzucał lud na dolinę. Ziemia tętniła. Na prawo, na lewo, na wsze strony sunęły się gromady, ciągnąc bez pośpiechu, uroczyście, powoli. Wśród ciszy chwilami dochodził gwar z daleka, jakby jezioro mruczało. A nie jezioro mruczało, ale gromady dychały i konie stąpały, a na dzidach wysoko wpięte widać było stanice boże, wojenne godła święte.

Gdy tak stali a patrzyli Chwostek i żona jego, lica im pobladły, zbielały niemal jak tych trupów, które niedawno przez ten sam próg za nogi ze świetlicy wywleczono. Kneź sobie miodu kazał dać, wypił i kubek precz rzucił na ziemię.

— Ludzie, na wały! Kto żyw! — zakrzyknął — Most spalić!

Rzucili się ludzie wnet za wrota, do mostu, niosąc smołę i łuczywo. Podlano pale smołą. Smerda sam na cztery rogi ogień podłożył, a ludzie z mostu uciekać zaczęli do grodu, za zaborole.

Mrok wieczorny już w dali nic widzieć nie dawał, aż płomię się rozpostarło i sycząc, dyle poczęło obejmować, a podniosło się i buchnęło do góry. W czerwonych blaskach ukazała się wieża i dwór, i cała okolica daleka; strugi ognia popłynęły po jeziorze. W dali nic już widać nie było, cisza w koło, tylko trzask palących się belek i dym czerwony ku obłokom się kłębił wysoko jak druga wieżyca.

Smerdy kazali most walić kołami[128], aby się zapadł i obalił prędzej. Z trzaskiem zaczął padać do wody, kłody dymiące, na wpół spalone, sycząc, się po falach toczyły.

Łodzie i czółna od brzegów ściągano do grodu i chowano w okopie. Ruch na zamku panował, Chwostek w boki się wziąwszy patrzył. Czoło mu się marszczyło tylko i usta przeklinały cicho: „Ród jaszczurczy".

Ciemność, Noc, Wróg

Powoli dopalały się pale, ogień przygasał, ciemność po nim wydała się czarniejszą, noc nieprzejrzaną. Co się w tych martwych kryło ciemnościach, któż mógł odgadnąć?

Stał długo zdrętwiały jakby Chwostek, potem się ruszył nagle, odzyskując życie, na ludzi krzyknął. Począł wydawać rozkazy.

[128] *koł* — drąg. [przypis edytorski]

Wnet coś się potoczyło przez podwórze do brzegu, mały człeczek odwiązał czółen--pławiczkę[129], drobny jak orzechowa łupina, i plusnęło coś a znikło. Znosek z postrzyżoną głową, z wystrzelonym okiem, leżąc w tej łupinie, nie poruszając się prawie, rękami wodę rozgarniał z wolna i płynął. Czółenko posuwało się, nie pluszcząc, nie drgając, jakby je spod spodu bogunki na barkach niosły.

Ludzie na wałach pokładli się i patrzą w ciemności. Na wieży straż chodzi i rozgląda się dokoła. Nie widać nic... W górze przebłyskują gwiazdy, u dołu miga jezioro, w głębi lasy stoją czarne i dolina niema. Na niej też leżą mroki, żadnego ogniska, jakby gromady w ziemię gdzieś się zapadły.

Człeczek o jednym oku dobił się do brzegu, łupinkę schował w trzciny, wypełzł na ląd i — nie wrócił.

Tak zeszła noc. Brzask na niebie wschodnim, a po ziemi mgły się powlokły — i nic nie widać — ziemia tylko dyszeć się zdaje i poruszać... Mgła opada nad brzegami jeziora i kryje lasy i pola. Patrzą z wałów we mgły i nic nad nią nie widzą.

Za mgłami na wschodzie czerwieni się i złoci, wiatr poszedł po ziemi, miota leżącą na niej zasłoną, drze ją i precz znów rzuca na lasy.

Ludzie patrzą z wałów, mur stoi przed nimi, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu — jak piasek u brzegu — tłum... Przodem Myszków gromada konna i kmiecia starszyzna.

Chwostek już na drugie stolowanie[130] w wieży wlazł, stoi, liczy i policzyć nie może. Głową potrząsa.

— Niech postoją... Pójdą!

Gdziekolwiek oko zwróci, spotyka znane twarze; tam stoją bracia tych, których pobił, tu synowie tamtych, co ich potopiono w jeziorze, a owo ci, co na zamku z Myszkami byli... Czereda ich cała. Stoją murem i patrzą na gród, jakby go oczyma zjeść chcieli.

— Niech się napatrzą! — zamruczał i zszedł powoli z drabiny.

Tu smerdowie pijani lud rozstawiają a serca dodają.

— Hej! Hej! to czerń nie wojaki, licha drużyna, od sochy[131] to i od radła[132]... Motłoch...

Wyszła Brunhilda, spojrzała dokoła, ręce łamie i oczy zakrywa. Chwost się śmieje, ale blady chodzi jak trup.

Z tamtej strony dziwnie, ani krzyku, ani wołania; stanęli, stoją, posuwają się tylko, coraz bliżej, coraz bliżej. Jedni na plecach czółna niosą, drudzy u brzegu tratwy wiążą. Z tej strony łuki i proce się sposobią.

Słońce weszło, jasny dzień na niebie. Myszkowie wołają z dala:

— Ot tobie dzień ostatni, Chwoście obrzydły! Pokłoń się słońcu, a pożegnaj, bo go nie zobaczysz więcej!

Kneź nie słucha, siadł na ławie i pije. Łuki naciągają. Na prawo, na lewo czółna się gromadzą jakby z ziemi rosły, ludzie się do nich cisną, tratwy spuścili i płyną, czółen z czółnem, gąska[133] z gąską powiązane, szeregiem, aż pod wały.

Walka, Ucieczka

Na okopach leżący lud wstał nagle, huknął okrzyk ze stron obu aż się ziemia zatrzęsła, stado krucze ze stołbu zerwało się z wrzaskiem i uniosło w obłoki.

Świsnęły strzały. Kamienie posypały z obu stron. Na dół toczą się głazy i belki, ludzi ciągnąc z sobą do jeziora, a co pluśnie w głębię szereg cały napastników, to na grodzie okrzyk zwycięski.

Padają odepchnięci i cisną się na ich miejsce drudzy, po zabitych drapią się żywi.

— Na wały! Na wały!

Smerdy biegają, popychają, krzyczą... Dwa razy odparto napaść, toczy się trzecia gromada, nacisnęła grodową załogę, dusi ją w podwórze i do wrót... Ludzie się w pół pozwierali i mocują...

Chwostek spojrzał i zbiegł.

Do izby wpadł i żonę wyniósł na plecach. Niewiasty za nią gonią płaczące...

---

[129]*pławiczka* — płytka, wąska, jednoosobowa łódka. [przypis edytorski]

[130]*stolowanie* — belkowanie; piętro. [przypis edytorski]

[131]*socha* — pierwotne narzędzie do orki z rozwidlonym rylcem, używane przez plemiona prasłowiańskie. [przypis edytorski]

[132]*radło* — pierwotne narzędzie drewniane do spulchniania ziemi, o pojedynczym rylcu. [przypis edytorski]

[133]*gąska* — tu: część tratwy; kilkanaście związanych ze sobą bali. [przypis edytorski]

— Na drabinę! Do wieży!

— Na stołb! Na stołb!

Niosą węzły[134] i opony[135], kto co pochwycił...

— Na wieżę lud doborny[136]!

Na drabinie się roi czarno, gnie się pod ciężarem ludzi, a wieżyca chłonie niesyta i chłonie uciekające gromady.

Z wrzaskiem strasznym załoga wbiegła w podwórze, z wałów wyparta. Nacisnęli ją ze wszech stron, obronić się nie mogła, trupami usłane drogi, trupem pokryte wały... Ciała pływają po jeziorze ze skrwawionymi twarzami.

Kto żyw wspina się na drabinę, a tu już z góry ciągną ją do wnętrza i drzwi zapierają dylami.

Grodzisko opanowali Myszkowie. Co się nawinęło, padło... Co oszczepy rzuciło, związano w peta... Po izbie i komorach rozbiegli się ludzie, zabierać, szukać, wiązać — ale pustkę znaleźli wszędzie.

Kneźna tylko w izbie postawiła żółty dzban z miodem zatrutym, ale Myszko pierwszy wpadł do świetlicy, postrzegł go i o podłogę nim cisnął, aż go roztrzaskał w kawały.

Zwycięstwo, Pożar, Lud

Pełen gród zwycięskiego ludu.

Czapki podrzucają do góry i wołają:

— Łado! Górą Myszkowie! Chwost niech sczeźnie!

Na wieżę teraz patrzą wszyscy. Ani się przybliżyć do niej. Kto przystąpi, ginie. Kamienie się sypią z góry i gniotą. Odstąpili od stołba ludzie.

Wtem ktoś żagiew do szopy rzucił, drugi ognia naniecił w malowanym dworze... Buchają dymy, świetlice się palą!

Niech kamień na kamieniu, niech belka na belce nie zostanie... W popiół Pepełków obrócić. Myszkowie poczęli wołać i otrębywać na swój lud, do kupy... Kazano się położyć w podwórzach — niech dwory i szopy, i do ostatniego wszystko płonie węgła.

Na jeden dzień roboty dość, o wieży pomyśleć czas i jutro.

Suche dwory i budynki chyżo objęły płomienie. Jeszcze ludzie z nich nie pośpieli[137] wyratować, co się zostało, gdy ogień obszedł dokoła i obrócił w jedno łoże płomieni i żaru.

Trup, Ogień, Pobożność, Dusza, Ciało, Pogrzeb

Myszków gromada ze starszyzną radzić poszła. Szli z podwórza na odległy wzgórek. Tu się im okropny widok przedstawił.

Niegłęboko zakopane trupy potrutych stryjów i synowców Chwosta psy powywlekały z ziemi na poły i poszarpane, zdechłszy przy nich, rzuciły. Leżały straszniejsze niż śmierć, zbezczeszczone i z padłym zwierzem razem zmieszane. Wzdrygnęli się idący.

— Ostatni z ich rodu! — zawołał Myszko. — Zgładził ich, aby po nim nikt nie został... Oprócz starca Miłosza i ślepego Leszka...

— I dwu jego synów, którzy na Niemcach się hodują! — dodał drugi.

— Niechże tym ciałom za grobowy stos służy zgliszcze jego domu! — rzekł Myszko.

Zwołano wnet pachołków, aby zebrawszy ciała, zanieśli je, gdzie ogień płonął najgorętszy, by w nim zgorzały, a duchy ich ze skargą do ojców pójść mogły.

— Nieszczęśliwi — mówili ludzie pobożni — po zgonie musieliby się włóczyć po ziemi, ażby nie zgniły ich ciała. Tu stos jakby naumyślnie zapalony, aby na nim zgorzeć mogli.

Patrzał ze stołbu Chwostek, jak czeladź trupy zebrała i obmywszy je wodą, osłoniwszy sukniami, na noszach wzięła na barki, idąc do stosu. Szli przodem ci, co nieśli zwłoki Mściwoja i Zaboja, potem ich dzieci, i przyszedłszy na miejsce, gdzie stała świetlica, na kupę wielką zgarnąwszy głownie i żary, poczęli obok siebie składać ciała, rzędem jedne za drugimi. Najwyżej leżeli dwaj ojcowie, u stóp ich przy sobie dzieci.

Rozżarzone płomię wnet chwyciło pastwę podaną. Stojąc dokoła, pobożnie patrzyli Myszkowie, jak gorzały zwłoki i na ognistym, krwawym łożu w popiół się obracały. Niebieskie ogniki, unosząc się nad nimi, duchy z sobą wyprowadzały.

Z górnych wieży połaci patrzały oczy ciekawe, a płomię od szop, które do stołba przytykały, lizało mury jego i pięło się wysoko, jakby do wnętrza dostać chciało.

---

[134]*węzeł* — tu: węzełek, tobołek. [przypis edytorski]

[135]*opona* (daw.) — płachta; por. opończa. [przypis edytorski]

[136]*doborny* — doborowy. [przypis edytorski]

[137]*pośpieć* — zdążyć. [przypis edytorski]

Dym wciskał się oknami.

Nad wieczór począł pożar przygasać. Gromady położyły się na horodyszczu pod stołbem i spoczywały — daleko od wieży, gdyż z niej ciągle strzały, kamienie i belki ciskano, które ludzi jak słomę gniotły...

Myszkowie ze starszyzną siedli kołem i radzili.

— Co począć ze stołbem i z nimi? Ogniem ich nie pożyć, bo kamień mu się nie da; siekierami i młotami nie rozwalić grubego muru, ptakiem na wierzch nie zalecieć, myszą się i kretem do niego nie podkopać, bo głęboko w ziemi siedzi... A ma go być tyle drugie pod nią co na niej...

Wojna, Głód

— Głodem ich jednym weźmiemy, ludzi nie tracąc na próżno — rzekł Krwawa Szyja. — Położym się obozem dokoła. Strawy na miesiąc mają, leżeć będziemy dwa, mają jej na dwa, posiedzim dłużej... Póki ich nie wymorzym do szczętu... Im więcej ludzi się zamknęło, tym głód ich prędzej wydusi... Gromad rozpuścimy połowę, dość będzie nas, by im nie dać wyleźć z jamy.

Stało się, jak rzekli; część kmieci ciągnęła do domu, druga się położyła pod wieżą, na grodzie i nad brzegami jeziora. Myszkowie zabierali się do jadła, gdy gromada ludzi z bliskiego wyjechała lasu, stanęła na wzgórzu, rozpatrując się około spalonego grodu, i z wolna podjechała ku starszyźnie. Gdy się zbliżyli, poznano Bumira i innych, którzy z Leszkami trzymali i do ich krwi należeli. Nie poszli oni na ogniste wici, tak samo jak Miłosz i jego ród. Bumir, przyjechawszy blisko, z konia nie zsiadł, skinął głową na Krwawą Szyję.

— Pogorzeliskoście zrobili z kneziowskiego dworu — rzekł powoli — a gdzież Pepełek?

Myszko, śmiejąc się, na wieżę wskazał. Bumir głową trząsł.

— Wszystkich Leszków przeto nie wygubicie — odparł — zostanie nas tu do rodu należących po trosze! Czego od nas chcecie?

— Od was? Abyście siedzieli cicho... I panować nam nie chcieli — rzekł Myszko.

— Cóż to? Stara wilcza swoboda wam w głowie? A Niemców ino nie widać i jednego zrzuciwszy, posadzicie drugiego kneziem.

— Ano, nie z waszych! — rzekł Myszko. — Nie z tego rodu, który nas chciał zaprząc i orać nami... Nie! Znajdziemy kmiecia...

Bumir spojrzał na wieżę.

— Dobywać stołba myślicie? — zapytał.

— Nie... — rzekł sucho Myszko Krwawa Szyja. — Posiedzimy pod wieżą, aż wyzdychają z głodu.

Bumir stał na koniu, głowę zwiesiwszy.

— Aby tylko Niemcowie nie przyszli i nie pomścili za nich — rzekł. — Naówczas winny i niewinny odpokutuje... Pójdzie i mój dwór w popiół i nasze pola stratują, a ludzi nam pobiorą w niewolę.

Myszkowie się śmieli.

— Alboż to oszczepów nie mamy? — rzekł młodszy, którego zwano Białym.

— A Sasi żelazo mają na sobie i na strzałach — mówił Bumir — ich dziesięciu na waszych stu stanie.

— Ale też ich stu nie przyjdzie zza Łaby tu... — mówił starszy.

— Pewno nie — zawołał Bumir — ich dziesięciu, zwołają sobie stu Pomorców albo i dwustu, a tym do nas iść niedaleko...

— To z tymi my na oszczepyśmy równi — mówił Myszko. — Nie boim się pogróżek!

Zamilkli trochę, Krwawa Szyja podniósł rękę.

— E... Bumir i wy wszyscy Leszkowie — rzekł — chcecie pokoju, siedźcież w pokoju, a do naszych spraw nie leźcie. Wojować nie chcecie ze swoim rodem, nie ciągniemy was za szyję.... Ano nie wyzywajcie wilka z lasa! Siedźcie spokojnie.

Bumir popatrzył chmurno.

— Ze słowem tu przyszedłem, nie z kamieniem — począł — nie biję się z wami. Mówię wam tylko: nas Leszków i Leszkowych potomków siła jeszcze... Dziś wy mocniejsi, jutro my być też możemy... Na jednej ziemi siedzimy, warto by mir uczynić, a nie zabijać się na pociechę wrogom!

— Mir wam dajemy! — rzekł Krwawa Szyja. — Czego więcej chcecie?

— Puśćcież z wieży i tego, co go tu głodem morzyć chcecie — począł Bumir, ciągle z konia mówiąc i ku wieży oczy podnosząc.

Myszko się śmiać począł.

— A dobrze — rzekł — byle nam oddał tych, co potruł i pozabijał...

To mówiąc, szyję odsłonił i pokazał bliznę.

— I moją krew mi wrócić trzeba!

— A nie dosyć wam tej pomsty, żeście mu zżegli dwór, zniszczyli dostatek, skarby zabrali, ludzi potłukli?

— Albo to jego krew? — zapytał Myszko Biały, który był do słowa prędki. — To jego mienie, nie posoka... Nam krwi za krew trzeba...

Bumir zadumał się.

— A jutro powiecie to nam! I wszystkim Leszkom po całej Polanie[138] naszej...

— Nie wypowiadamyć wam wojny — mówili drudzy — Miłosz siedzi z synem spokojny, wam się nie stało nic... Panować nie damy... A żyć nie bronim...

Znowu pomilczeli chwilę, gdy zaszumiało coś i zastukało od wieży. Chwostek zasuwę od okna w murze odjął i wołał:

— Bumir! Co ty ze zbójcami rozhowor[139] czynić będziesz? Ze wściekłym zwierzem nie gadać, a bić go w łeb! Weźcie ludzi i przychodźcie nas bronić... Nasza sprawa wasza...

Myszko podniósł oczy ku miejscu, skąd głos wychodził. Łuk leżał koło niego, chwycił zań, zmierzył i strzała świsnęła, ale uwięzła w drewnianej zasuwie... I rechotanie z wieży słyszeć się dało, a tuż z okna zaszumiała strzała druga, ogromna, pierzasta i utkwiła w sukni Myszka, który ją wyrwał i odrzucił z pogardą.

— Ród jaszczurczy! — wołał Chwost z góry.

— Psy wściekłe! — łajał Myszko.

— Żmije jadowite!

— Gad przemierzły!

— Ścierw i padło!

Takimi wyrazy homerycznymi nawzajem obrzucali się z obu stron.

— Bumir! — zawołał Chwostek głosem schrypłym. — Jedź do domu, zwołaj swoich... Ginąć nam nie dajcie, bo i was ta czerń plugawa wygubi!

Zawrócił się z koniem przybyły. Myszko nań patrzał, nie spuszczając z oczów.

— Słuchajcie rady Chwosta albo mojej — rzekł — czyja lepsza, do woli. My wam jedno powiemy pod klątwą[140], pod świętą. — To mówiąc, ziemi garść pochwycił w dłoń i podniósł ją do góry. — Pod klątwą, mówię ci, Bumirze... Jeśli ruszycie się w obronie Chwosta... Jeżeli z was jeden wstanie, nie zostawimy duszy żywej... Pamiętajcie!

Bumir i ci, co mu milczący towarzyszyli, spojrzeli ku stołbowi, skąd niewyraźne głosy i wołanie słychać było, z wolna zawrócili konie i stępią[141] odjechali; a Myszkowie spokojnie patrzyli za nimi.

Kto by na wieżę naówczas był wszedł do ciasnego jej wnętrza, przestraszyć by się musiał tym, co się tu już tego dnia działo.

Pozycja społeczna, Kondycja ludzka, Strach, Głód, Cierpienie

Na dole ściśnięty był lud, czeladź, pachołki, niewolnicy, których dla obrony wzięto. Miejsca dla nich było szczupło, zaduch panował wielki, a strach ogarniał czeladź, która mruczała, narzekając, że lepiej nie poszła w niewolę, niżby tu marnie ginąć tak miała. Nad niesforną tą kupą stali smerdowie z kijami i nakazywali ciszę, ale lud mruczał groźno. Ze studni na powrozie ciągniono[142] wodę, której nastarczyć nie było podobna spragnionym, innego napoju nie było. Na drugiej połaci wybrani strzelcy stali i gotowali się do obrony; tu chodził kneź i Brunhilda. W kącie posłanie ze skór służyło im dla spoczynku. Trzecia też połać dla niewiast i do obrony była zajęta, a u góry straże chodziły. Jęki i płacz słychać było w wieży. Z ran przy oblężeniu zadanych dwóch pachołków zaraz umarło, a ze strachu i choroby kobieta. Leżały już trzy trupy, z którymi nie wiedziano, co zrobić... Musiano je otworem górnym rzucić precz z wieży, a ciała te, padające na ziemię, potrzaskane

[138] *Polanie* — nazwa domniemanego plemienia zachodniosłowiańskiego z grupy plemion lechickich, zamieszkującego Pojezierze Wielkopolskie. [przypis edytorski]

[139] *rozhowor* — rozmowa. [przypis edytorski]

[140] *klątwa* — tu: przysięga. [przypis edytorski]

[141] *stępią* — stępa; powoli. [przypis edytorski]

[142] *ciągniono* — dziś: ciągnięto. [przypis edytorski]

i znieważone, były jakby zapowiedzią tego, co się na stołbie dziać miało. Czekał los ten i innych.

Chwost, klnąc, od okna do okna chodził i patrzył, Brunhilda długo leżała jak martwa, nie mówiąc słowa. Nie mówili do siebie, a widać było, że jedno drugiemu w duszy wyrzucało to nieszczęście... Pepełek składał je na żonę, ona na niego.

Głód

Oboje trwali jeszcze w myśli obrony, w nadziei, że synowie odsiecz przyprowadzą. Brunhilda po długiej odrętwiałości, gdy mąż klął, a nic nie przedsiębrał, zawołała Muchy i poszła oglądać zasieki. Zboża było dosyć, ale oprócz dwóch startych kamieni od starych żarn, nic, czym by mąkę przysposobić można. Był piec, ale o pieczeniu chleba pomyśleć nawet było trudno, bo nie na długo drzewa by stało. Starte ziarno na kaszę, mogło z wodą służyć za posiłek głodnym. Żyć tak miesiące!

W popłochu, gdy uciekano na wieżę, mało co kto porwał ze sobą, chleba i placków kawałki suche ledwie się gdzie znalazły. Studnia, z której czerpać musiano, stara była i zapuszczona, a pierwsze wiadra precz wylano. Spragnieni pili potem, ale obrzydliwą znajdowali juchę.

Cała ta czerń zbrojna u dołu, gdy na nią Brunhilda przez szpary patrzała, wydała się jej groźna i straszna. Spytała Muchy, czy ją utrzymać potrafią — ten, milcząc, popatrzał w dół i nie odpowiedział. Ci, co wczoraj na twarz padali przed panem, teraz, gdy on był w niebezpieczeństwie, otrząsali niewolę z karków i mruczeli. Widać ich było leżących na ziemi, zobojętniałych, ledwie na wołanie podnoszących głowy. Niektórzy po kątach, oglądając się, szeptali coś potajemnie.

Wszyscy domagali się głośno jadła i napoju, a kij smerdów z trudnością mógł im nakazać milczenie.

Brunhilda wzięła Muchę, powiernika, na stronę i pokazała mu w dół na ludzi.

— Gąb za dużo, rąk za mało! — szepnęła. — Co czynić?

Szeptali długo. Chwostek to chodził, to padał w kąt na skórę, to do okna szedł i patrzał na Myszków, jak spokojnie piwo przywiezione z kadzi czerpali i nim siebie i ludzi raczyli. Naówczas zębami zazgrzytawszy, odbiegał od okna i wracał na posłanie. Spotykali się z żoną milczący, nie mówiąc słowa do siebie, i mijali.

Brunhilda naradzała się z Muchą, kneź, gdy mu milczenie dojadło, brał zaufanego sługę na stronę i radził się z nim.

Mrok padał, gdy Mucha zszedł na dół i począł ludzi na górną połać, na nocną straż wybierać; dzielił ich tak jakoś po swej woli i stawił osobno, jednych zostawując[143] na dole, drugich śląc na górę. Ci, co pozostawali na zgniłej słomie, nie gniewali się za to, leżeli przynajmniej.

Jedzenie, Sen, Trucizna, Zdrada, Zbrodnia, Śmierć

Wybranym kazano leźć po drabinie i, gdyby się kto do stołba przybliżył, puszczać strzały, wyrzucać kamienie. Zaledwie ci odeszli, gdy na dole wieczorną strawę dwie niewiasty Brunhildy na miskach przyniosły. Była to kasza jakaś ledwie ciepłą zaczyniona wodą, ale i na tę rzucili się skwapliwie głodni, i w chwilę nic z niej nie pozostało. Przez szparę kneźna patrzała, jak jedli, niespokojna, jak po jedzeniu legli i natychmiast się pospali. Zasnęli wszyscy prawie tak, jak kto siedział i leżał, nie poruszywszy się nawet. Zasnęli dziwnie jakoś, snem ciężkim, który ich rzucał, z którego jakby się porywać nadaremnie usiłowali. W godzinę a drugą i te ze snem zapasy ustały, milczenie głuche panowało na dole.

Mucha spuścił się ku nim z łuczywem w ręku, obszedł wszystkich po jednemu, dotknął twarzy każdego, przybliżył się, słuchając oddechu, policzył ich i wrócił na górę.

Ludzie to byli niepotrzebni, których się pozbyła Brunhilda. Z góry ściągnięto kilku na dół i trupy oknami wyrzucać kazano. Oprawcy, nawykli znać do podobnego zajęcia, ani się zdziwili, ani opierali, poobdzierali towarzyszów, popatrzali na blade i sine twarze i zabrali się do roboty.

Myszkowie ze swymi ludźmi siedzieli u ogniska, z dala na stołb poglądając, gdy pierwsze ciała padać zaczęły. Ciekawych kilku podsunęło się pod wieżę, wnet im na głowy sypnięto kamieniem, a jednego padający trup przygniótł do ziemi. Na wszystkie tak strony jak owocem dojrzałym posypało się tymi ludźmi. Oblegający patrzali zrazu zdumieni.

— Zbywają się gąb niepotrzebnych — rzekli— bronić się więc i czekać myślą.

[143] *zostawując* — dziś: zostawiając. [przypis edytorski]

Cała noc potem w milczeniu przeszła, ale na wieży migały światła w otworach i na obozowisku paliły się ognie. Spali jedni, drudzy na straży chodzili. Niekiedy z górnej połaci na upatrzonego świsnęła strzała, zawarczał kamień, ciśnięty z procy, i kaleczył, rył się w ziemię lub rozpryskiwał węgle rozżarzone w ogniskach.

Krucy tym godom pokrakiwali górą, uspokoić się nie mogąc ni do gniazd trafić zajętych. Nade dniem wszystko się usypiać zdało, ale Myszkowie pilne, choć skryte, straże porozstawiali dokoła i ze stołba wymknąć się nikt nie mógł.

Wstał znowu dzień biały nad zgliszczami. Na lasy posłano po zwierza, na dwory po chleb i strawę dla gromad. Ludu odprawiono wiele, nie było go już tyle potrzeba, a odsiecz prędko nadążyć nie mogła.

Reszta pozostała legła szeroko, tak aby ani strzała, ani kamień nie dosięgnął, choć ciągle ich próbowano. Śpiewano pieśni i weselono się przy ogniach.

Na wieży nie było znaku życia żadnego, tylko u góry chodzili ludzie i patrzali w dal. Tych zręczniejsi spędzali strzałami, chowali się za przymurek i nikli. Kilka razy Chwostka tam poznano i powitano urągowiskami i krzykiem.

Ile razy strzała leciała, kamień spadał, śmiechy się rozlegały. Czasem słowami sobie rzucano obelżywymi, to znowu milczano długo.

Trzeciego dnia około południa głos z okna począł wołać pod wieżę. Pomyślano, że się zdadzą. Myszko Krwawa Szyja chciał już iść i wstał, wtem go wyprzedził brat najmłodszy, którego zwano Żurawiem dla nóg długich. Podbiegł i zadarł głowę do góry, patrząc ku oknu. Z wieży rozległ się śmiech i razem z otworu ogromny głaz padł mu na czaszkę; mózg i krew prysnęła, chłopak się zachwiał, padł i skonał.

Krzyknęli, ręce załamując, Myszkowie:

— Krew za krew! Żaden stąd nie ujdzie żyw!

Wołanie i boleść, i gniew był straszny. Chwostek śmiał się coraz głośniej. Skoczyli śmielsi, aby ciało biednego uratować; ciśnięto na nich belkę, która tylko trupa trafiła i przygniotła. Jęczeli Myszkowie bracia nad straconym. Posypali się ludzie i zgniecione wyniesiono ciało, aby je spalić zaraz na stosie.

Na zgliszczu, gdzie wczoraj zgorzały ciała Leszków, złożono teraz biednego chłopaka, naniesiono drzewa i poczęto śpiewać pieśni, a z góry klątwami je przerywano.

Wśród tego palenia o mroku do obozu przywlókł się mały człeczek, z głową postrzyżoną i okiem wybitym. Ukradkiem spoglądał na wieżę, a chodził poza ogniskami i rzucane kości zbierając, ogryzał, bo znać był głodny. Przysiadł sobie razem z psami na pagórku śmiecia — nikt mu nie bronił. Nikt go nie znał. Włóczyło się tak naówczas ubogich, obłąkanych, ślepych dziadów i bab wiele, a było obyczajem ich przyjmować i karmić.

Obłąkanym czasem przyznawano dar jakiegoś jasnowidzenia, niektórzy zabawiali śpiewem, skokami lub wróżyć próbowali. Odarty Znosek właśnie na takie stworzenie bezbronne i dobroduszne wyglądał. Kilku mu rzuciło po chleba kawałku i po niedogryzionej kości, z której on z rozkoszą resztki szpiku wysysał.

Nie uważano, że się wciąż patrzał na stołb i obchodził go dokoła, coś niby po ziemi zbierając. Ciemno się już zrobiło, gdy na darń przyległszy, niedaleko wieży zniknął. Znużeni ludzie u ogniska drzemali, stróże patrzali na jezioro, gdy z jednego otworu na wieży ostrożnie gruby powróz spadać zaczął ku ziemi. Sunął się tak, iż go nie dostrzeżono. Po piasku pełznął do niego Znosek i wkoło pasa go sobie umocował.

Cicho było i ciemno, niekiedy wiatr przeleciał po dolinie, nad moczarami, w trzcinach zaszumiał i gdzieś dalej biegł, niosąc woń spalenizny od zgliszcza. Stróż, stojący nad brzegiem, postrzegł coś migającego na ścianie, coś, co po gładkim murze pełznąć się zdawało, jak pająk olbrzymi. Nie mogło to być nic innego jak duch.

Cień ten podnosił się do góry ciągle, na ostatek zbliżył się do otworu; cicho odsunęła się okiennica i miał zniknąć już za nią, gdy śmiały bartnik puścił strzałę, krzyk się dał słyszeć, znikło wszystko.

Znosek wciągnięty leżał na drugiej połaci w wieży i stękał, strzałę miał w szyi. Wyjęła mu ją niewiasta, która nadbiegła, ale krew się lała. Dano huby i chust, aby ją zatamować. Chwostek podszedł, burcząc, i potrącił go nogą.

— Słyszysz ty, byłeś u knezia Miłosza?

Znosek milczał i syczał.

— Byłem — rzekł w końcu niewyraźnie, bo mówić trudno mu było.

Strzała uwięzła głęboko i poszarpała gardło... Z każdym słowem krew płynęła... Patrzał na Brunhildę jak zdychający pies na pana swego, do nóg jej przypełznął, chwycił jej stopy, pocałował je i skonał.

Parę razy Chwostek go jeszcze nogą potrącił, lecz życia już w nim nie było. Przekleństwem więc cisnął na trupa i odszedł. Biała pani płachtą go narzucić kazała.

Nazajutrz miano go w stronę jeziora niepotrzebnym trupem wyrzucić.

Czwartego dnia Smerda z górnego okna wysunął głowę i kląć a łajać począł, pokazywać pięści, bezcześcić. Odpowiadali mu z obozu śmiechami.

— Psi synu!— krzyczeli nań kmiecie. — Głód ci tak pysk otworzył, trzeba się nad tobą ulitować chyba i jeść ci co dać, abyś nie wściekł się.

Chłopaki więc na długiej żerdzi związanej, kawał mięsa końskiego ukroiwszy ze zdechłej świerzopy, podali Smerdzie, śmiejąc się a szydząc. Mimo, że wiedział, co mu podstawiono, pochwycił oburącz i znikł.

— Już im głód doskwiera! — rzekł Myszko Krwawa Szyja. — Ano, zobaczym!

Nocą, gdy się młodzież ciekawa podkradła pod mury i ucho przykładała do ścian, zdało się, że tam coś mruczało i szemrało, jakby pszczoły w ulu zamknięte, a potem jęki niby i milczenie.

Szóstego dnia posłyszano nagle krzyki, wrzawę i płacze, coś jakby zacięty bój we wnętrzu, bo ściany jęczały tłuczone. Zawrzał kilka razy głos straszny, jakby z nim życie uciekało, przeszył powietrze i zmilkł jak urwana gęśli struna.

Burzyło się i kołatało potem znowu w wieżycy, leciało coś, gruchocząc, padało i trzaskało się. Potem cisza była długa. Niekiedy twarze blade ukazywały się w oknach i nikły, zdały się chcieć napić powietrza usty otwartymi, bo wargi miały rozemknięte i języki wiszące — ale o litość i zmiłowanie nie prosił nikt.

Ptak

Dziesiątego dnia milczała wieża, krucy się do okien cisnęli, obsiadali je, jakby dopominając wnijścia, i krakali straszliwie. Odpędzano je strzałami. Odlatywały na chwilę i powracały, dobijając z drugiej strony. Myszkowie wołać kazali na rozmowę, nie odezwał się nikt. Stali jeszcze dni cztery. Na wierzchołku nie było strażnika, we wnętrzu cisza grobowa śmierci. Niektórym to oczekiwanie dojadło, końca się dopominano. Sprzykrzyło się patrzeć na mur i do ptastwa puszczać strzały, a słuchać — milczenia.

Myszko Krwawa Szyja kazał wiązać drabiny. Czeladź jego w zgliszczach stare wrota znalazłszy, trzy drabiny razem do górnego wnijścia przystawiła i nad głowami je dla ochrony trzymając, aby kamienie spadające moc straciły, leźć poczęła ku górze.

Drabiny mocowano; nikt się nie pokazywał, dostali się do zapartego wchodu, nikt im wnijścia nie bronił. Poczęli go rąbać, bić i łamać, nie odpowiedziano ze środka.

Bunt, Śmierć

Ze wszech stron coraz drabin więcej przystawiać zaczęto, a tuż pod młoty i obuchami padły wrota w głąb i z głuchym grzmotem stoczyły się aż na dno.

W wieżycy ciemno było jak w grobie, cicho jak na żalniku nocą, nie widać nikogo, zgniliznę czuć było i trupy.

Na spodzie, na dnie leżały stosy ciał pogniecionych, połamanych, zsiniałych, gnijących; rusztowanie i belki, z którymi runęli, przybiły jednych, drudzy się, padając, pozabijali.

Na górnej połaci leżały dwa ciała — Chwostka i żony, z głodu czy od trucizny zmarłych, sinymi plamami okryte.

Żyw tu już nikt nie pozostał. Zbuntowanemu znać ludowi z górnej połaci pułap ciśnięto na głowy, kamieniami ciężarny, i zgniótł motłoch, na miazgę gruchocząc. Dwoje ich tylko, Mucha i Smerda, leżący po kątach, zostali na długie konanie.

Gdy się wdarto do wieży, całe obozowisko ozwało się wielkim okrzykiem. Kmiecie i lud tęsknił do domów, powitano zwycięstwo radością i wrzawą. Myszkowie czapki podnieśli do góry, zaczęto grzebać się w gruzach, szukając ukrytych skarbów Chwostka, a rozbiegające się wnet gromady poniosły po mirach wieść, że na grodzie krucy już tylko panowali.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stara-basn-tom-drugi

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Stara baśń: powieść z IX wieku, tom II, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff: M. Glücksberg [etc.], Kraków, 1876

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aleksandra Żurek, Marta Niedziałkowska.

ISBN 978-83-288-0457-9

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.